

1885. XVI. 53

Wzrost. 170

Wydawnictwo
na cele dobroczynne samborskie.

VIII. ROCZNIK.

Nowa Serja ilustrowana,
wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)

Cena 1 zlr. 80 cent.

dla wszystkich nabywców dzieła po upływie prenumeraty, jakoteż dla
wszystkich prenumeratorów z wyjątkiem jedynie prenumeratorów, stałe
w Samborze i w Przemyślu zamieszkałych.

PRZEMYŚL.

Czcionkami S. F. Piątkiewicza.

1884 - 1885.

Lit. nr. 1504. brosz.

Wydawnictwo
na cele dobroczynne samborskie.

VIII. ROCZNIK.

Nowa Serja illustrowana,

wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)



PRZEMYŚL.
Czcionkami S. F. Piątkiewicza.
1884—1885.



Mag. 100322 II

8 (1884/1885)

Biblioteka Jagiellońska



1002905233

Bibl. Jag.

Сказаніе. 692.



JAN KOCHANOWSKI.

Książę poetów, Jan Kochanowski,

jego życie i pisma,

odeczyt

Wilhelma Feldmana,

zaopatrzone wstępem słowem i dodatkowymi uwagami wydawcy „Roczników Samborskich,” oraz ryciną tytułową.

Podajemy niniejszem dla szerszej publiczności, na czele naszego wydawnictwa odczyt o Kochanowskim, miany przez Wilhelma Feldmana we Lwowie dnia 6. Kwietnia r. 1884-go w sali Towarzystwa „Przymierza Braci.” Odczyt ten pierwotnie nie był przez autora przeznaczony do druku. Po przeczytaniu dokładnem jednak uznaliśmy, iż praca o Kochanowskim nie tylko na odczyt publiczny, ale i do druku się kwalifikuje. Źródła, z których autor czerpał a które cytuje, a mianowicie „Bartoszewicza życiorys poety” i wydanie tegoż „dzieł Kochanowskiego” są niezaprzeczenie dobre; sposób zaś opowiadania szanownego prelegenta, jest jasny, popularny i nie nuży wcale. Zrobiwszy zatem potrzebne poprawki, aby odczyt wyż wymieniony do druku kwalifikować, podajemy go w całej jego osnowie, uzupełniony na końcu niektórymi dodatkowymi uwagami o rozmaitych wydaniach Kochanowskiego, oraz zaopatrzone niektórymi przekładami z Kochanowskiego na język niemiecki, dokonanymi przez redakcję „Roczników Samborskich.”

(Przyp. Red.)

Gdy rzucimy okiem na stan dzisiejszej literatury polskiej i cofniemy się pamięcią o 3 wieki w tył do czasów panowania ostatniego z Jagiellonów, jakąż ogromną spostrzeżemy różnicę! Literatura polska, należąca obecnie do najbogatszych w Europie, literatura polska, która chlubi się obecnie mężami sławy europejskiej, stanowiącymi powagę w świecie literackim i naukowym, jakżeż wtedy ubogą i nieznaną była! Język polski, dziś tak już wyrobiony i wykształcony, jakżeż wtedy był twardym, ostrym i szorstkim!... Cóż jednak było przyczyną tego? Dziś nie trudno, odpowiedzieć na to zapytanie.

Polska, to przedmurze, ta strażnica Europy chrześcijańskiej, Polska synów swych więcej w robieniu pałaszem niż piórem uprawiała... Szlachta więc i reszta ludu w głębokiej była pograżona nieświadomości i rzadko bardzo wsławiony w bitwie rycerz władać umiał piórem. Językiem dworskim u Piastów był czeski lub inny jakiś cudzoziemski a kościelnym językiem łaciński, który sobie też w krótkce na dworze królewskim i w dyplomatyce wyrobił prawo obywatelstwa.

Znali go po największej części tylko osoby stanu duchownego, zagranicą wykształceni, bo w kraju odpowiednich po temu szkół nie było. Temu brakowi chciał zaradzić ostatni z Piastów, „król chłopów“, Kazimierz Wielki i założył najwyższą szkołę „akademią“ na jednym z dzisiejszych przedmieść Krakowa. Ale dobre jego chęci spełzyły na niczem. Umarł ostatni Piast, nie zostawiwszy żadnego męzkiego potomstwa i królem obrany został Ludwik, król węgierski. Ten tylko dbał o swe Węgry a zaniedbując Polskę zostawił ją całkowicie pod zarządem matki swej, Elżbiety i krewnego Opolskiego. Za ich to burzliwego panowania akademia zaniedbana — upadła, nie wydawszy prawie żadnych owoców. Krótkotrwałe rządy Jadwigi i początkowe Jagielly, nic też dla oświaty nie przyniosły, a dopiero przy końcu żywota córka Ludwika sprawą tą zajęła się gorąco, nie szczędząc żadnych kosztów i żadnych ofiar (bo poświęciła nawet swe klejnoty), aż wreszcie stanęła w Krakowie akademia, dzisiaj uniwersytetem Jagiellońskim

nazwana. Ale cóż z tego, gdy dla języka ojczystego odrazu bardzo mało tylko działała? Językiem wykładowym był łaciński, nauczycielami ustanowiono samych prawie cudzoziemców, a język polski i polska literatura i nadal leżały odłogiem.

Pierwszy, który się odważył pisać po polsku, był Mikołaj Rej. Za młodu zaniechawszy nauki, po łacinie umiał bardzo mało, to więc było przyczyną, że w ojczystym języku pisać zaczął. Sam powiada o sobie:

„Jam prosty Polak nigdzie nie jeżdżając
Tum się paś na dziedzinie jako lecie zając;
Z granicy miłej Polski nigdzie nie wyjechał,
A z młodu bardzom długo nauki zaniechał.“

A chociaż wielkie zasługi oddał literaturze polskiej i niemało napisał, prawdziwym poetą nie był jednak. Język jego szorstki, rubaszny, rym ladajaki a większa część jego poezyj, to tylko rymowana proza.

Prawdziwym dopiero poetą w całym tego słowa znaczeniu był Jan Kochanowski, zwany księciem poetów polskich. Zupełnie on na to chlubne imię zasługuje pięknnością języka i stylu, ilością dzieł i różnością a bogactwem pięknych myśli. To są główne jego zalety, które spowodowały, iż pomimo upłynionych trzech wieków imię i pisma jego nie spoczęły jak wielu innych w zapomnienia łań, lecz po dziś dzień bywają czytane z tem samym zajęciem i pożytkiem, jak podczas pierwszego ich ukazania się. Zasługi też, jakie położył Kochanowski około literatury i wpływ, jaki wywarł na nią, nie dają się ocenić. Czytano go wszędzie, tak na dworze króla i magnatów, jak i w skromnym dworku szlacheckim, a wszędzie z tym samym błogim skutkiem. Rozchwytano każde jego pismo, powtarzano edycje, przepisywano i uczono się ich na pamięć, a wziętość jego była tak wielką, że gdy raz czytano w towarzystwie mierny wiersz chudego wierszoklety i powiedziano, że jest utworem Kochanowskiego, każdy tę lichotę chwalił.

Warto więc trochę bliżej zapoznać się z życiem i pismami tego genialnego człowieka.

Jan Kochanowski urodził się w roku 1530-m we wsi Sycynie z ojca Piotra i matki Anny z domu Białoczkowskiej. Ojciec jego, szlachcic ziemi sando-

mierskiej, posiadał ładny szlachecki majątek, 5 synów i córki, a z pomiędzy tych dzieci Jan był drugim według starszeństwa. W 17-m roku życia swego, t. j. w r. 1547-m poeta nasz stracił ojca; ale sieroctwo nie bardzo mu się czuć dawało, bo spoczywało na nim troskliwe oko matki. Ta kobieta, sama wykształcona poczuciem niewieścim, odgadła w młodym, dowcipnym i pojętnym Janku wyższe zdolności i zmarnieć im nie dała, lecz sama umiejętnie kierowała dalszem jego wykształceniem.

Okolo r. 1551-go wysłała syna swego na naukę za granicę. Zwiedził więc nasz poeta Niemcy, Włochy i Francją. O swem życiu tamże tak się wyraża:
„Gdziem potem nie był? Czegom nie skosztował?
Jażem przez morze auzońskie żeglował,
Jażem Francuzy, ja Niemcy, ja Włochy,
Jażem nawiedził Sybylińskie lochy.“

Za granicą poeta nasz nie próżnował wcale. W Padwie, w mieście włoskiem, zapisał się w poczet słuchaczy sławnej akademii i tam kolegował z Janem Zamojskim, późniejszym hetmanem i kanclerzem i z Łukaszem Górnickim, późniejszym mowcą sławnym. Tam też studiował historją, filozofją i języki starożytne, a przytem poszedł za pociągiem serca i zaczął pisać wiersze — po łacinie. W Paryżu dopiero napisał pierwszy wiersz polski: „Czego chcesz od nas Panie! za twe hojne dary,“ który czytany w obecności Mikołaja Reja następującą od tegoż uzyskał pochwałę:

„Temu w nauce dank przed sobą dawam
I pieśń bogini słowieńskiej oddawam.“

Pracę Kochanowskiego przerwała atoli bolesna wiadomość o śmierci matki, którą poeta całym sercem ukochał. Więc w r. 1557-m wrócił do Polski, odebrał przynależną sobie część majątku i postanowił kształcić się dalej i oddać się służbie krajowej.

W owych to czasach młodzieńcowi miłującemu szczerze nauki i obdarzonemu rzeczywistym talentem, łatwo też było znaleźć protekcją. I nasz poeta przez protekcją podkanclerzego, księdza Padniewskiego, przyjęty został i zapisany w poczet sekretarzy królewskich. Jak na początkującego młodzieńca był to

urząd bardzo znaczny, gdyż najpierwsi mężowie od uzyskania jego karierę swoją liczyli. Kochanowskiemu też pewnie nie źle się wiodło na nowym urzędzie, poznać to z kilku wierszyków, przypisanych królowi Zygmunutowi Augustowi.

W tym też czasie zdolności jego poetyckie rozwinęły się w całej pełni i zajaśniały w poematach: „Szachy, Satyr i Zgoda i Proporzec, czyli hołd pruski.“ Największym protektorem i dobrodziejem poety z tego czasu był ks. Piotr Myszkowski, podkanclerzy koronny. On to młodemu poecie wyrobił probostwo poznańskie i zwoleńskie; udzielanie bowiem probostw osobom stanu nieduchownego tytułem synekury w owych czasach jeszcze uchodziło, miano bowiem nadzieję, że człowiek niezonały jeszcze, choć ze stanu świeckiego, łatwo da się namówić, aby został księdzem. Z tą też myślą nosił się zacny ks. biskup-podkanclerzy, kiedy wyżwymienione probostwo wyrobił Kochanowskiemu, ale nadaremnie.

Kochanowski bardzo mu wdzięczny i wdzięczność swą okazuje mu to napisaniem doń kilka wierszów, to znowu dedykowaniem mu Psalterza. W dedykacji tej powiada nawet:

„Zniwa swego pierwszy snop tobie ofiaruję,
Cny Myszkowski, którego dobrodziejstwem czuję
Uwiązane swe serce; bo komu jest tajna
Twa łaska przeciwko mnie i chęć niezwyczajna?“
Ale wcale nie czując w sobie powołania do
stanu duchownego, dziękuje mu za życzliwe rady i
przenosi spokojne życie we wsi nad wszystko.

„Przeto ty tęskniącego za wczasy wiejskiemi
Nie wstrzymuj, o Myszkowski! rady życzliwemi,
Pozwól niech nadal zbywające lata
Płyną wśród muz orszaku przy księgach Sokrata.“
I już naprzód sobie opisuje poetycznie przyszłe
życie na wsi:

„Nic wielkiego nie pragnę, w kochanej swo-
[bodzie

Z małej roli wyżyję przy źródlanej wodzie“.

Wkrótce też wystąpił z dworu i osiadł w dziedzicznej wiosce Czarnolesia. O swem przeszłym życiu dworskiem powiada później:

„Dziś żak spokojny, jutro przypasany
Do miecza rycerz — dziś między dworzany
W pańskim pałacu — jutro zasię cichy
Książd w kapitule, tylko że nie z mnichy.“

Osiadłszy na wsi szczerze wziął się do gospo-
darki. Wtedy uczuł potrzebę towarzyski życia, która
by z nim dzieliła dostatki i sławę. Nie małe on miał
wyobrażenie o kobietach, skoro mówi:

„Może kto ręką sławy dostać w boju,
Może wymową i rządem w pokoju,
Lecz jeśli żona męża nie zdoła,
Mąż próżno robi.

Kto z gospodarstwa a kto zaś z wysługi
Zbierze pieniądze, i z kupiectwa drugi;
Jeśli się żona nie przyłoży k'temu,
Zginać wszystkiemu.“

W ożenieniu zaś nie szukał korzyści materialnej,
t. j. posagu, twierdzi bowiem:

„A ja zaś rozumiem, że do ożenienia
Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia,
Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba,
Jako wstydu a cnoty, darów przednich z nieba.
Bo acz to wszystko dobre i ma swe przysmaki,
Ale z cnoty złożywszy pójdzie między braki.“

Takichto przedmiotów duszy i serca szukał nasz
poeta i znalazł je rzeczywiście w osobie Doroty Po-
dlodowskiej, zwanej w pismach jego Hanną. Jaką
zgodną, troskliwą, szlachetną i miłą towarzyszkę
w niej znalazł, okazują liczne wzmianki w jego
pismach, n. p. w wierszu do biskupa Myszkowskiego:

„Jaką rozumiesz zazdrość zjednałeś sobie,
Zacny biskupie! w mej małej osobie,
Żeś mnie z domu wyciągnął w te dalsze strony
Od małych dziełek i od tęskliwej żony?
Nie myśleć ona o tem, że ja przy tobie
Głowy nie ufrasuję bynajmniej sobie,
Że w twym pałacu mieszkam, że przy twym
[boku

Siadam, koń mój, sługa mój na twym obroku.
Rychlej niesposobnego będąc świadoma
Zdrowia mego, frasuje swe serce doma,

Żebych jakiej choroby nagłej nie użył,
Nie mając, ktoby mi w tem jej sercem służył.”

Albo na innem miejscu:

„a ja i ona
Nie pragniewa do śmierci być rozdzielona.”

Jaką zaś gościnną gospodynię w niej znalazł,
świadczy o tem następujący wiersz do Myszkowskiego:

„A wdzięczna Hanna moja, co przez lato zbierze,
Tak miłemu gościowi poznosi w ofierze,
Przy stole na skinienia twoje będzie czuwać,
I z winem napoczęte kielichy posuwać.

Skromnie poprosi, abyś chciał ubóstwu przebaczyć.
Gdyby mogła, radaby nektarem cię raczyć.”

Od tego czasu Kochanowski nie opuścił prawie domu, chyba czasem na znaczniejsze zjazdy szlacheckie lub sprawy ojczyste. Za to jego dom nigdy prawie pustką nie stał. Liczni znajomi odwiedzali go ciągle, a on ze szczerą gościnnością staropolską przyjmował i gościł wszystkich. Imię jego tymczasem stało się znanem i sławnem w całej Polsce tak, że już poeta bez przesady o sobie mógł mówić:

„Bo gdy nie fortuna miała mię na względzie,
Ażebym obok możnych siadł w wysokim rzędzie,
Przecież dowcipem moim przy Feba pomocy,
Zrobiłem imię swoje sławnem na północy.”

W Polsce wtedy panował król Stefan Batory. Ten król, który mimo ducha na wskrós wojennego nie mało przyczynił się do podniesienia oświaty w Polsce, zakładając akademię w Wilnie, miał przy boku Zamojskiego, kanclerza i hetmana, który niegdyś kolegował z Kochanowskim. Teraz wielcy ci dwaj mężowie, nie zapomniawszy o minionych dawno latach wspólnego pożycia koleżeńskiego, coraz serdeczniejsze między sobą zawierają stosunki. Kochanowski pisze dla kanclerza „Odprawę posłów greckich” i kilka innych poezyj, a król Stefan Batory daje poecie za wstawieniem się hetmana kasztelanią połaniecką. Ale poeta, chociaż rzeczywiście na tę chlubną nagrodę zasłużył, nie przyjmuje jej, mówiąc żartem, iż nie chce, by pan kasztelan to zmarnował, co Kocha-

nowski zebrał. Chociaż to był urząd bardzo zaszczytny i nawet intratny, poeta go odrząca, bo

„Za nic u mnie starostwa, okazałe sprzęty
I skarbiec misternymi kluczami zamknięty,
Bo ja ni żądzy złota w piersi mej budzę,
Ani z gminem niebacznym bogi o nie trudzę.
Błoga mi mierność moja ; przy niej ani stoję
Przemożny niegdyś Krezie ! o królestwa twoje.
Ja lemiem ubogą włość przewracać wolę
I ufną ręką ziarno na wierną siał rolę
I nadziejom się oddać, aż w upały letnie
Pochylone starością, zniwiarz kłosa zetnie.“
Woli więc siedzieć w Czarnolesiu i mówić :

„Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocno dzbana,“

bo i na cóż szukać zaszczytów i bogactw, gdy

„Ten pan zdaniem mojem,
Co poprzestał na swoim.“

Ażeby go zaś nie obwiniano o samolubstwo lub o niechęć do służby publicznej, przyjmuje na siebie urząd wojskiego, opiekującego się podczas wojny wdowami i sierotami poległych rycerzy. Był to urząd wprawdzie nie bardzo znaczny, ale przypadający do jego usposobienia i trybu życia.

W tym właśnie czasie poeta dokonał swego tłumaczenia Psalmów Dawidowych. Tłumaczenie to jest mistrzowskie a na jego pochwałę dość będzie przytoczyć słowa Adama Mickiewicza, największego poety polskiego, iż „Psalmów Kochanowskiego każdy Polak na pamięć umieć powinien.“

Te lata są najszcześniejszym i najpiękniejszym kwiatem jego życia, sam wtedy tak się modli do Boga :

„Panie ! To moja praca a zdarzenie Twoje :
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje !
Inszy niechaj pałace marmurowe mają
I szczerym złotogłowem ściany obijają,
Ja Panie ! Niechaj mieszkam w tem gnieździe
ojczysem,
A ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystem,

Pożywieniem poczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajami znośnymi, nie przykrą starością."

W istocie godzien był, aby Pan Bóg skromne
jego życzenia wypełnił, ale

"Kto tak mądry, że zgadnie,
Co nań jutro przypadnie?"

Pan Bóg więc i jego jak drugiego Joba, chciał
wypróbować, chciał doświadczyć jego stałość i wier-
ność i spuścił nań cios — ale cios okrutny.

Poeta nasz miał sześcioro dzieci a same dzie-
wczątka. Z tych najmłodsza, bo zaledwie 30-miesię-
czna Urszulka najwięcej serce ojcowskie pozyskała. A
była to według świadectwa ojca dziecina, jakiej dru-
giej w całym świecie nie znaleźć.

"Ochędożne, posłuszne, karne, niespieszczone,

Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone,

Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,

Obyczaje panięskie umieć i zabawę:

Roztropne, obyczajne, ludzkie, nierzewniwe,

Dobrowolne, układne, skromne i wstydlive.

Nigdy ona porami karmie nie wspomniała,

Aż pierwej Bogu swoje modlitwy oddała;

Nie poszła spać, aż pierwej matkę pozdrowiła,

I zdrowie rodziców swych Bogu poruciła,

Zawždy przeciwko ojcu wszystkie przebyć progi,

Zawždy się uradować i przywitać z drogi.

Każdej roboty pomódz, do każdej posługi

Uprzedzić było wszystkie rodziców swych sługi"....

Takim to aniołkiem Bóg obdarzył poetę. Nic
więc dziwnego, że Urszula serce jego pozyskała całe,
że Kochanowski ją pokochał całym uczuciem ojca-
poety, że to dziecko było jego pociechą, chlubą i
nadzieją. Ale niezbadane drogi Opatrzności!

W roku 1579-m Bóg powołał czystą duszyczkę
Urszuli do swojej chwały. Jak ten cios dotknął Ko-
chanowskiego, trudno wysłować! Odrazu jakby na
skinienie różczki czarodziejskiej znikła cała wesołość
i radość z jego domu a zapanowała głęboka boleść
i smutek. Zrozpaczony ojciec chodził pognębiony,
powtarzając: „Nie masz cię, Orszulo moja!" Po kilku
dniach niewysłowionej boleści uderzył jednak w struny
swej lutni i wyspiewał cudne w swym rodzaju „Treny."

Nie widzimy tu już przed sobą poetę dawnego, przyzwyczajonego do krotocwil i żartów, znikły wszystkie maksymy i frazesa szumne o nadziei, ufności w Bogu i t. d., a przed sobą mamy tylko zrozpaczonego ojca, skarżącego się na okrutny los i szafarza tegoż.

Trenów Kochanowskiego jest 19, ale każdy zupełnie odmienny i jeden piękniejszy od drugiego. W pierwszych kilku mówi o swym żalu głębokim i opisuje śmierć swej córeczki:

„Jako oliwka mała pod wysokim sadem,
Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem,
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
Sama tylko dopiero szczupłym prętkiem wscho-
[dząc,

Ta, jeśli ostre ciernie lub rodne pokrzywy
Uprzątając sadnik ów podciął ukwapliwy,
Mdleje zaraz, a zbywszy siły przyrodzonej
Upada przed nogami matki ulubionej...

Takci się mej najmilszej Orszuli dostało....“

Następnie wylicza wszystkie przymioty córki i tak rozrzewniony mówi o jej ostatnich chwilach:

„ matkę ucałowawszy takżeż żegnała :
Już ja tobie matko moja! służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde ;
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Dom rodziców swych miłych wiecznie zanie-
[chać...“

Czyż to można czytać bez rozrzewnienia ? Albo gdy w trenie siódmym poeta, patrząc na ubiory swej córki, takim wykrzyknikiem serce rozdierającym opis kończy :

„ niestetyż i posag i ona
W jednej skrzynce zamkniona.“

Niepodobna wyliczyć tu wszystkich piękności tego jęku rozkrwawionego serca, wspaniałego ogromem żalu i smutku. Ręka drży przy pisaniu a z ócz łzy się mimowoli leją. Kogoż nie wzruszy ta skarga :

„Pańska ręka mię dotknęła,
Wszystką radość mi odjęła,
Ledwie w sobie czuję duszę,
I podobno tę dać muszę.

Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie,
Mnie jednako serce boli
A nigdy się nie utoli.

Oczu nigdy nie osuszę,
I tak wiecznie płakać muszę.
Muszę płakać, o mój Boże!
Kto przed tobą skryć się może?

Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.

Wiodłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie;
A zazdrość i złe przygody
Nie miały mi w co dać szkody.

Lecz Pan, który gdzie tknąć widzi
A z przestrogi ludzkiej szydzi,
Zadał mi raz ten znaczniejszy,
Czemem już był bezpieczniejszy.

A rozum, który w swobodzie
Umiał mówić o przygodzie,
Dziś sam ledwie wie o sobie,
Tak mię podparł w mej chorobie.

• • • • •
A ja zatem łzy niech leję,
Bom stracił wszystką nadzieję,
Bo mię rozum miał ratować,
Bóg sam mocen to hamować.

I rzeczywiście Bóg zesłał mu pociechę. W tre-
nie 19-m „Sen” opisuje poeta widzenie nocne:

Matka ukazała mu się, trzymając na ręce córkę
Urszulę i zaleciła mu nadzieję i ufność w Bogu, bo
Urszulę zobaczy, jak nie na tym, to na drugim
świecie.

W krótkce po Urszuli Bóg Kochanowskiemu
zabrał drugie dziecko, Hanneę. Dopisał więc:

„I tyś Hanno! za siostrą prędko pospieszyła
I przed czasem podziemne kraje nawiedziła,
Aby ojciec nieszczęsny zaraz odżałował
Wszystkiego, a na trwalsze rozkoszy się cho-
[wał.”

Ale tych rozkoszy zasłużonych poeta już na tym świecie nie zaznał. Głęboki smutek zaległ cichy i spokojny jego dworek, a chociaż lutni swej nie porzucił, przecież w późniejszych jego utworach znać życie złamane i pognęzione, nie ma tam już dawniejszej siły.

W r. 1584-m poeta udał się do Lublina, gdzie chwilowo przebywał król Stefan Batory, na skargę na Turków, którzy szwagra jego, Podlodowskiego, koniuszego królewskiego zabili byli. Tam to jeszcze przed otrzymaniem posłuchania umarł nagle na apopleksję dnia 21. Sierpnia. Zdrowia stałego poeta nasz nigdy nie miał, dowodem tego są liczne wzmianki w jego poezjach, jakoteż i wiersz zatytułowany: „Do zdrowia,” w którym powiada:

„Klejnocie drogi!
Mój dom ubogi
Oddany tobie,
Ulubuj sobie!”

Stratę bolesną, wynikłą z powodu śmierci „księcia poetów” uczuł cały naród, a Sebastjan Klonowicz, znakomity poeta-satyryk, w rok po śmierci Kochanowskiego wydał: „Żale nagrobne,” w których powiada: „Trzebaby wzbudzić z krajów podziemnych Homera.” I rzeczywiście porównanie to stosunkowo nawet nie jest przesadne.

Najznacześniejszemi z dzieł Kochanowskiego są: Pieśni (ksiąg czworo), Szachy, Treny, Fraszki, Psalterz Dawidowy, Proporzec i różne wiersze łacińskie. O psalterzu już wyżej mówiliśmy, przetrwał on trzy wieki i dotąd jeszcze używany jest w kościele katolickim, a nawet niektóre psalmy jak n. p. „Kto się w opiekę poda Panu swemu” przeszły w usta ludu. Pisma Kochanowskiego są wiernym obrazem jego czasu. Sam Kochanowski powiedział o sobie: „Ja inaczej nie piszę, jeno jako żyję.”

I rzeczywiście to jego życie pocziwe, pracowite i wesołe przebija się w jego pismach a najwięcej w pieśniach. Świeci z nich czasami humor prawdziwie staropolski. Ale prócz miejsc tych wesołych, z tych pieśni niejednokrotnie wyziera myśl poważna. Jaka głęboka nauka tkwi n. p. w tych słowach:

„Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tego nie wydrze nieprzyjaciół srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkim inszem panuje przygoda.”

Czyż te proste słowa nie są wymowniejsze i więcej przekonujące niż całe księgi filozoficzne i długie kazania? Albo:

„Stateczny umysł pamiętaj zachować,
Jeśli cię pocznie nieszczęście frasować;
Także i góry nie radzęc wylatać
Kiedy się szczęście z tobą umie bratać.”

Jakaż głęboka nauka tkwi w tym czterowierszu!
Gdy nieszczęście na kogoś spadnie, wtedy człowiek
schyla się pod tem brzemieniem, wołając: Zginąłem!
Nie! tak być nie powinno!

„Nie porzucaj nadzieje,
Jakoż się kolwiek dzieje.

Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złej chwili piękny dzień przychodzi.”

A gdy znów ten piękny dzień nadchodzi i nie-
jeden człowiek hardziej, wtedy trzeba pamiętać, że:

„Bądź się kto zacnym rodził i bogatym,
Bądź niewolnikiem, u śmierci nic na tem.”

O miłości Ojczyzny tak Kochanowski mówi:

„A jeśli komu droga otwarta do Nieba,
Tym, co służą Ojczyźnie, wątpić nie potrzeba.”

Prawda to wielka i święta! Miłość Ojczyzny
jest prawdziwą cnotą i czy prędko ziemskim wa-
wrzynem, czy później niebieską koroną, ale zawsze
wynagrodzoną bywa. A Ojczyźnie różnymi sposobami
można się zasłużyć: czy za nią ktoś walczy na polu
sławy mieczem, czy w pokoju piórem, czy w zaciszy
wiejskiej pługiem, czy pracując pilnie i szczerze w o-
branym raz zawodzie, czy jako rzemieślnik, czy jako
kupiec, zawsze inni też z tego mają korzyść i Oj-
czyzna chętnie to przyjmie.

„Służmy pocziwej sprawie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże,”

powiada nasz poeta. Ale kto by mógł streścić
wszystkie piękności, w doniosłych słowach jego za-
warte. Trzebaby chyba przytoczyć wszystkie, bo prócz
kilku ustępów humorystycznych trochę rubasznie

wyglądających, wszystko możnaby złotemi literami przedrukować. Ale warto jeszcze przytoczyć jeden ustęp z poematu, zatytułowanego: „Pieśń świętojańska o Sobótce.” Tam Kochanowski w ten sposób mówi o zachowaniu świąt:

„Dzieci! rady mej słuchajcie!
Rząd ojcowski zachowajcie.
Święto niechaj świętem będzie,
Jak bywało przed tem wszędzie.
Święta przedtem ludzie czcili
A przed się wszystko zrobili,
A ziemia hojnie rodziła,
Bo pobożność Bogu miła.
Dziś bez przestanku pracujem,
I dniom świętym nie folgujem,
Więc też tylko zarabiamy,
Ale przedsię nic nie mamy.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy,
Próżno bez Boga pomocy.
Boga dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.
Na tego my wszystko włożmy,
A z sobą sami nie trwóźmy,
Wrócić się i dobre lata,
Jeszcze nie tu koniec świata.”

Takiemi to prostemi słowy przemawiał wieszcz Czarnolaski i trafiał niemi do przekonania wszystkich. Dla tego też sława jego nigdy nie zaginie tak między nami, jak i między obcymi, którym znany Kochanowski ze swych poezyj łacińskich.

Poezje te przełożyli w naszym stuleciu na język polski Kazimierz Brodziński i Ludwik Kondratowicz, znany pod pseudonimem Władysława Syrokomli.

Kochanowskiego pisma przeszły rozmaite koleje. Za życia jego wielbione i czytane były. Następnie po tej epoce, zwanej słusznie wiekiem złotym literatury polskiej, inny smak zapanował w narodzie. Literatura upadła i zapanował makaronizm. Język polski, za czasów Kochanowskiego tak czysty, zaczęto psuć wyrazami a nawet całymi frazesami łacińskimi, wmięszanymi w rozmowę. Nic też nie ma dziwnego w tem,

że i o Kochanowskim i o jego dziełach zapomniano do tego stopnia, że dziennik polski z końca 18-go wieku obiecuje przytaczać w swych łamach wyjątki z poetów mniej znanych, a między nimi także z Kochanowskiego. Za to w naszym wieku oceniony należycie, odbiera genialny poeta przynależne sobie hołdy i zachwyca licznych czytelników.

Do niniejszej pracy p. Feldmana dodaję jako uzupełniającą uwagę, że istniały i istnieją rozmaite wydania dzieł Kochanowskiego w języku polskim. Wydania dawniejsze, a nawet wydania z pierwszej połowy obecnego stulecia są już bardzo rzadkie i po części nawet wyczerpane. Istnieją wydania pojedynczych prac Kochanowskiego, podjęte staraniem księgarni polskiej we Lwowie i ogłoszone w „bibliotece Mrówki”; niektóre prace z osobna wydał także Gubrynowicz we Lwowie w swojej „bibliotece kieszonkowej klasyków polskich.” Wydania zbiorowe w języku polskim dzieł Kochanowskiego ogłosili w ostatnich czasach prawie równocześnie Kazimierz Bartoszewicz w Krakowie i Herman Altenberg we Lwowie.

Jakkolwiek mocno potępiamy i ganimy sposób kupieckiej i literata zupełnie niegodnej reklamy, z którą p. Bartoszewicz wydawnictwo swoje poleca, poniżając równocześnie wydanie Altenberga, nie możemy jednak zaprzeczyć, że wydanie Bartoszewicza jest bardziej wyczerpujące, obszerniejsze i uzupełnione poezjami łacińskimi Kochanowskiego, podanemi w polskim przekładzie Brodzińskiego i Syrokomli.

Wszystkie te zbiorowe wydania przewyższa co do wartości, wytworności i rozmiarów zbiorowe wydanie jubileuszowe, przeprowadzone w Warszawie za staraniem osobnego komitetu. Wydanie to jednak, aczkolwiek przepyszne co do powierzchowności, nie jest przystępne dla ogółu z powodu ceny wygórowanej.

W niemieckim przekładzie dotąd mało co z prac Kochanowskiego okazało się w druku. Trzy treny: 7-my, 8-my i 10-ty przetłumaczył na język niemiecki nieznany nam autor i ogłosił takowe w „Mnemozyne“, dzienniku literackim, wychodzącym w języku niemieckim we Lwowie w latach 1824—29. Tłumacz jednak niewłaściwie wyraz „treny“, czyli „skargi pośmiertne“ tłumaczy przez „Thränen“, czyli „łzy“. Zdaniem naszym wyraz „Klagelieder“ byłby stosowniejszy. Michał Suchorowski w swojej (?) gramatyce podaje wyżwymienione tłumaczenia.

Wydawca „Roczników Samborskich“ przetłumaczył na język niemiecki większą część „Psalterza Dawidowego“ i niektóre inne poezje Kochanowskiego wesołej lub poważnej treści i podaje dla zaokrąglenia niniejszego szkicu kilka z tych przekładów:

EINIGE GEDICHTE

von Johann Kochanowski

(geb. 1530, † 1584),

deutsch von G. Kohn.

Aus Kochanowski's „Dawidpsalter.“

(24. Psalm.)

Sonn' und Mond, die auf-, und niedersteigen,
Erd' und Himmel, alles ist Gott eigen,
Sein ist alles; Ehre sei ihm, Ehre,
Der aus Nichts schuf Himmel, Erd' und Meere.

Wem, o Herr, bezeigst du Wohlgefallen?

Wer soll eingehn in des Himmels Hallen?

Der dem Ew'gen Herz und Hand geweihet,

Der die Lüge und den Meineid scheuet.

Der nur wird vom Herrn gesegnet werden,

Wird erlangen, was er wünscht auf Erden.

Nur auf dem Weg werden seine Frommen

Gott sehn, in des Herren Himmel kommen.

Öffnet Pforten, öffnet euch, ihr schweren!

Öffnet euch, dem Könige zu Ehren,

Ihm zu Ehr'n, der stark ist im Vergelten.

Wer ist's, wer? es ist der Herr der Welten.

Öffnet, Pforten, öffnet euch, ihr schweren!
Öffnet euch, dem Könige zu Ehren.
Wem soll solche Ehre wiederfahren?
Wer ist's, wer? der Herr der Heeresschaaren.

(54. Psalm.)

Zu dir, o Herr! — o Herr der Himmelshöhen,
Fleh' ich, dein Knecht; — nimm deiner Allmacht wegen,
O Ewiger! — nimm gnädig auf mein Flehen,
Schaff' mir mein Recht, — verleihe mir deinen Segen.
Die Feinde mein, — die die mich heimlich hassen,
Sie stell'n mir nach, — sie stell'n mir nach dem
[Leben.

Nur du allein, — du wirst mich nicht verlassen,
Wahrst mich vor Schmach, — wirst deinen Schutz
[mir geben.

Die nachstell'n mir — in ihre eig'nen Schlingen
Lass' fall'n, o Gott! — lass' fallen, die mich höhnen;
Dank spend' ich dir, — ich will dir Opfer bringen,
Bis in den Tod, — stets will ich dich bekennen.

Dir, der mich stützt, — dir will ich Weihrauch
[streuen,

Der fort und fort, — so lang' mein Leben währet,
Mich stets beschützt, — dich will ich benedeien,
Mein Gott, mein Hort, — du, der mein Fleh'n
[erhöret!

Aus Kochanowski's „Klageliedern“

UM DEN TOD SEINES TÖCHTERLEINS URSULA.

(13. Klagelied.)

Ursula mein! o gingst zu Hades Thoren
Du niemals ein, o! wärest du nie geboren!
Gar kleine Freud' zahl' ich mit grossen Leiden
Durch deinen Tod, dein unerwartet Scheiden.
Du täuschest mich gleich nicht' gen Traumes Winken,
Der täuscht die Habgier durch des Goldes Blinken,
Und schwindet, um noch tiefer zu verletzen
Den, der die Hand schon ausstreckt nach den Schätzen.
So bist, Ursula! du mit mir verfahren,

Da Hoffnungen du wecketest in Schaaren,
Und schwandest und entführt'st nach Himmelshöhen,
Die Trost mir boten in des Herzens Wehen,
Der Seele Hälfte hast du mir genommen: —
Was blieb, es muss in Schmerz und Gram verkommen.
An diesem Ort mög' sich mein Grabstein wölben,
Und solche Inschrift prange auf demselben:
„Ursula liegt hier, ihres Vaters Lieben,
Nach dem nur Gram und Thränen ihm geblieben.
Unachtsam löst der Tod des Lebens Fragen;
Nicht ich, nein! sie sollt' nach mir Trauer tragen.“

Aus Kochanowski's „Liederbuche.“

AN EINE KOKETTE.

(IV. Buch, 33. Lied.)

Lass' dir's mal gesagt sein! 's Übel mög' dich treffen!
Willst du mich nicht lieben, hör' auf mich zu äffen.
Weh' mir! ohn' Erbarmen mit mir armen Mann
Hast behext mich Armen, hast mir's angethan.

Säh' ein Andrer dich ihm so viel Reize zeigen,
Wie du mir, er nenn'te längst dich schon sein
[Eigen.

Weh' mir! ohn' Erbarmen mit mir armen Mann
Hast behext mich Armen, hast mir's angethan.
Ohn' was zu versprechen, ohn' was zu verwehren,
Hältst du mich mit Worten stets nur hin, mit leeren.
Weh' mir! ohn' Erbarmen mit mir armen Mann
Hast behext mich Armen, hast mir's angethan.

Fürcht'st dich vor mir, ob auch Niemand uns
[nachsetlet;
Fürcht' dich nicht, nicht jeder Hund beisst, wel-
[cher bellet.

Weh' mir! ohn' Erbarmen mit mir armen Mann
Hast behext mich Armen, hast mir's angethan.
Unter Sorgen geht mir hin der Tag, der ganze,
's ist mir wie der Katze, die man zieht beim Schwanz: :
Weh' mir! ohn' Erbarmen mit mir armen Mann
Hast behext mich Armen, hast mir's angethan.

Lass' mich nicht mehr hoffen, ohn' dass sich
[was biete,
Sag' mir lieber offen: „Dass dich Gott behüte!“

Weh' mir! ohn' Erbarmen mit mir armen Mann
Hast behext mich Armen, hast mir's angethan.

Aus Kochanowski's „Epigrammen.“

AUF DIE WARSCHAUER BRÜCKE.

O König! für den Bau der Brück' geb Gott dir Segen,
Sonst musst' 'nen Schilling ich bei Seite immer legen,
Dass über'n Weichselfluss der Fährmann mich spedir'—
Heut gab statt dessen ich den Schilling aus auf Bier.

Myśli Kraszewskiego, *)

(fantazja).

Z WIECZORNÝCH DUMAŃ.

Noc! Opona z błękitów przetykanych gwiazdami
roziewa się nad ziemią. Pieśni ptaszęce harmonią
swą uroczą niosą pociechę w zmęczone serce czło-
wieka. Pasma gór — ciemne i tajemnicze snują się
milczącym szeregiem ponad brzegami rzeki. W po-
wietrzu cisza. Jasne blaski iskrzą się po ciemnem tle
niebios, tu i owdzie migotne światelka błyszczą w o-
knach mieszkań ludzkich. Zresztą cisza, pokój i cienie
nocy. Świat w sennym spoczynku — człowiek żyje
duchem chyba tylko, bo ciało pogrążone w uspieniu.
A wszędzie cienie, a wszędzie cisza i pokój i tchnie-
nia wiosenne. Niby Anioł pokoju białem powionął

*) Pod tym tytułem ogłaszamy precudny ustęp ze zbioru
„Z wieczornych dumań“ utalentowanej autorki „Wakacyj“ i „Roz-
maitych“, który to zbiór kiedyś w całości wydany, niewątpliwie
niepospolicie podniesie imię i znaczenie szanownej autorki w kraju.
(Przyp. Red.)

skrzydłem. Lekko i błogo każdemu. Lekko i błogo w myśli i sercu i w duszy! Sen, spoczynek, noc letnia, cicha, uspiły ciała i ukoily w sennym pokoju bole, walki, zgrzoty i lzy ludzkości całej.

Jedna tylko rzesza widm czarnych nie znachodzi pokoju. Jeden rój nocnych straszyleł płynie po łalach ciemności i płasa i szmery jakieś tajemne a wstrętne rzuca w około! Tu i owdzie na czarnem tle nocy miga blade światelko w okienku, wyziera wązkim pasemkiem w nocne ciemności, drzące, nieśmiałe i smutne jakieś niezmiernie. A w drżących tych bladych płomykach dostrzeżesz roje tych widm skrzydlatych. Migotnym rojem wiją się w około okienka, płasają i śmiechem się śmieją szyderyczym. Patrz przez to okno do wnętrza. Patrz okiem i sercem i sercem słuchaj tych jęków boleści, tych płaczów tłumionych i ucz się „mieć serce i patrzeć w serce“, byś umiał kochać twych braci. Tu oczom twym zdumionym ukaże się trumna obstawiona kwiatami i światłem jarzającym — tam głód wyszczerza lica kościotrupie — owdzie wstyd i hańba łamią ręce kurczowo, tam troski szarpią stroskanego ojca rodziny — owdzie opuszczona kochanka łzami mroczy urodę młodości. A nad tem wszystkim gwiazdzista szata nocy, strojna koroną światel księżycowych, iskrami blasków zodjakalnych, płonie rozkoszą. A nad tem wszystkim narcyzowe wonie i uroki wiosny i kwiecica i szczęścia i życia.

Lecz chodźmy dalej jeszcze, o dalej za tymi zwiastunami bólów i nieszczęść ludzkich, za tymi bladymi prążkami światel, wykradającymi się nieśmiało w powietrzne cienie. Chodźmy, pokażę ci domek biały w ogrodzie wśród kwiatów i zieleni. Patrz! ściany bieleją w oddali, po ścianie bluszcze się pną zielone, weranda strojna wieńcami powojów, i ścieżki wysypane piaskiem z dna Elby i żwirzem i muszelkami z nadelbiańskich wybrzeży. Chodź, patrz! Z okien tych dwu na rogu — dwa pasma, dwie smugi drzące światel się wysuwają.

Niepewne siebie, lękliwe — walczą z cieniami nocy i mimowoli głoszą światu nieszczęście. Tu patrz, a uzbrój się w dziką szaloną odwagę, bo ujrzysz zbro-

dnię poczwarną i tak obrzydłą, tak wstrętną w nagości swej bezwstydney, iż lękam się, byś raz jej wprost w lica wejrzawszy nie stracił wiary we wszystko, co być może wzniosłem dla duszy ludzkiej. W bładem światelku migają widma rozpacz i zgryzot. Płasają w owej czarnej szacie nocy, czepiają się szyb szklanych w okienku i szmerem złowrogim drażnią ci uszy.

W pokoju cisza. Na stoliku płonie lampa smutna jakaś, nieswoja. Zegar wskazuje trzecią po północy. W kącie pokoju na łożu spoczywa starzec siwowłosy. Czoło wyłysiałe, poźółkłe opiera na wychudłej dłoni, a oczy iskrzą się gorączką niepokojów. Od czasu do czasu męczący kaszel porywa go gwałtownym napadem.

Zda się iż mu piersi zapadłe rozerwie. Łza mimowoli wypłynie na twarz okrytą zmarszczkami, spadnie na srebrną brodę starca i na białe poduszki. I znów spokojnie spoczywa na łożu, lecz od duszy jego odbiegł Anioł spokoju, i ten rozstrój wewnętrzny szarpie mu serce w piersi na kawały, targa myśli zwichrzone boleścią, chorobą. I nie dziw. Na progu domu tego stoją pachołki na warcie, by nie umknął ten starzec siedmdziesięcioletni. Naród wielki, możny, bogaty — uląkł się starca chorego i aż w mózgu jego zwierzchnika powstała dzika myśl zemsty, a sklnąwszy berłem swej władzy, postawił zbrojnych pachołków na straży i pragnie zamęczyć ofiarę.

Cóż to za niezmierna potęga duchowa, przed którą władcy zadrżeli! Chodź, patrz, czytaj te myśli pod czołem poźółkłem, patrz! płyną nad głową jego, a myśli jasne jak aureola nad głową męczenników, jak dym kadzideł ofiarnych płyną ku niebu. Aniołowie je biorą na skrzydła swe śnieżne i plotą wieńce nieśmiertelności. Bo te myśli jak kwiaty — czyste i barwne i wzniosłe, godne nieba i Aniołów i Boga samego. Słuchaj! lecą lekkie jak pieśni, wonne jak róże, jasne blaskami brylantów, powiewne miłością.

MYŚLI STARCA:

„Za mną szereg dni długich i lat całych strawionych w pracy ciężkiej, mozolnej. Kraj mój i braci

moich ukochałem nad siebie samego. Bóg mi dał jasny promień genjuszu na drogę życia mego, i promień ten jasny nie ścnniony niczem, nie przytłumiony lenistwem lub myślą zdrożną, płonie do dzisiaj nad moją skronią, a gdy umrę, nad grobem moim będzie ta fala jasności a z grobu mego blaski rozchodzić się będą dokoła, by bracia moi którzy są ciemni jeszcze, przejrzeni. Ojczyzny mej nie widziałem w szacie z purpury i złotogłowiu, w królewskiej koronie na skroni, wzniesionej po nad wszystkimi; lecz gdym światło ujrzał dzienne, ujrzałem matkę moją ojczyznę w czarnej szacie żałoby. Karmiłem się łzami jej i boleścią, a kwiaty moje i pieśni moje niosłem na groby cmentarne i pieśniami pogrzebów budziłem do czynu braci moich. A jednak ta matka moja w żałobie, w tym smutku bez granic stała mi się droższą nad wszystko.

Z tego bożego promienia jasnego, który płonął nad mojem czołem, z tej tęczy świetlanej brałem po jednym promyku i dawałem braci ukochanej. Myśli moje rozesałem po całej ziemi od tronów monarszych aż do strzechy wieśniaczej, rozesałem je jako gońce moje i słowem mojem niosłem im wszystkim wiedzę i światło i miłość i wołałem do obcych: „Patrzcie! jesteśmy, mamy swój język, mamy swoje dzieje!“ I wołałem do moich: „Jesteście, uczcie się, czytajcie! Patrzcie tylko na kraj swój własny, patrzcie z miłością a skarby ducha znajdziecie w koło siebie hojną dłońią bożą rozsiane. Uczcie się dziejów waszych, czytajcie „Witoldowe boje“ i „dzieje Bolków i Mieszków“ i uczcie się na smutnych przykładach „Warszawy“, co znaczą swawole i zbytki.“ I myśl moja wszędzie znalazła gościnę, bo twoje błogosławieństwo, o Panie! było jej przewodnikiem, osłoną, jasnością świętą. Zabrano nam szable i trony i wolność naszą, lecz mamy pługi jeszcze i pióra i mamy takie blaski promienne nad czołem, iż wszyscy w około zdumiewają się niemi! Więc żyjmy! Żyjmy miłością i pracą, a dzień wolności zaświta. Jak dziecku za karę odbierają zabawki, tak Polsce odebrano wolność za karę swawoli — lecz to tylko na chwilę — na chwilę dziejową wielkiej doniosłości. A jeśli tę chwilę próby czy kary godnie

przeżyjemy, to w nagrodę otrzymamy złotą gwiazdę wolności.

Poznali mię bracia moi i wieńcami kwiatów i uczuć swoich zasypali skromną izdebkę moją i słowem uczili i miłością swą nadgrodzili hojnie za wszystkie trudy i prace mego życia. Lecz teraz? teraz czarne nadeszły godziny. Grób mię woła ku sobie i nęci do spoczynku i radbym już spoczął na puchowem posłaniu, lecz żal mi jeszcze i pióra i czasu i tych myśli, które mógłbym przesłać na karm duchową dla braci moich. Lecz wróg mój dyszący nienawiścią chce mnie pchnąć prędzej do zimnej mogiły za to, że budził braci moich do życia — do prawdy. Ha! nie lękajcie się starca, nie drżycie mocarze. Dziwna, iż wam rumieniec wstydu nie wyżre ciała z policzków, nie spali waszej skroni spodlonej, — kiedy włożyliście kajdany na wolność mą osobistą i postawili zbrojne pachołki u drzwi mych na straży. I jutro znów pójdę pod tych sędziów, srogich i okrutnych, posadzających mnie, mnie syna prawości i cnoty o zdradę. Ha! cierpieć potrzeba i mężnie do końca, i siły pozbierać ostatnie, by nosić z godnością tę koronę cierniową, również jak wieńce laurowe." Tu znowu porwał kaszel gwałtowny starca na łożu boleści. Kobieta młoda jeszcze i piękna z włosiem czarnym i lśniącym zbliżyła się do niego i poprawiła poduszki, podała lekarstwo. On jej dziękuje uśmiechem lekkim, niedostrzeżonym prawie, oko wciąż błyszczący gorączką i niepokojem. Na dworze chłodno, gwiazdy blednieją, ptaszki ucichły a czarnych widm roje pierzchają — nikną niby dym lekki w powietrzu, światełka w oknach coraz bledsze i radsze. Starzec męczy się bezsennością, czeka niecierpliwie jutrzeńki.

Patrz! Widziałeś!? Po życiu całym pracy trudów, poświęceń niewymownych nadchodzi chwila doświadczeń. Zbrodnia, zemsta, okrucieństwo, pastwi się nad tym, który śmiał ideę narodu swego śmiało i głośno wyznać przed światem całym.

Przez niego naród zyskał chwały i sławy tak wiele, więc go potrzeba poniżyć, by wskazać, że on nie jasność lecz cienie rzuca na ten kraj, który go tak wielbi i kocha, a tem samem upokorzyć tych, c o

żyją — po śmierci, co się znicestwić nie dają, lecz wciąż są i żyją.

Darmo! męczarnie będą najjaśniejszym klejnotem promiennej aureoli, opasującej skroń jego. A słowo jego jest pośród nas, żyje i żyć będzie, bo my na jego dziełach uczymy czytać młodzież naszą całą, całe pokolenia. Bo z dzieł jego uczymy się całej przeszłości naszej, bo z tej smutnej izdebki jego czerpiemy otuchę miłości i wiary i nadziei, bo z grobu jego dojdzie nas nawet promyk bożej światłości.

Jutrzenka lekka już się przebija, różowe blaski posyła na chmury i na powoje rozwinięte i na wieże kościołów. Starzec podnosi się z łoża i niecierpliwie wyczekuje wschodu słońca i godziny posłuchania sądowego. Tak mu spieszo zrzucić ten ciężar czarnych podejrzeń ze siebie. Tak radby czystym stanąć przed światem, jak czysty w swoim własnym sumieniu — lecz godziny te wloką się tak pomału. Tak leniwie posuwają się wskazówki na białej tarczy zegarowej.

I znów wschodzi słońce i świat cały budzi się do życia, a gwary i śmiechy zagłuszają jęki cierpiących, a migotne barwy wesela rozrzucone po świecie zasłaniają czarne szaty żałoby — i tak dobrze, tak wesoło — tak swobodnie na świecie wszystkim — tacy weseli, zadowoleni, szczęśliwi po dniu przy jasnym świetle słońeczka na pozór! Tak na pozór tylko, bo cierpienie ucieka od gwarów i blasków, a kryje się w cień i samotność podobnie, jak najczarniejsze zbrodnie ludzkie na świecie.

Czortków, 17. maja 1884.

Janina Antonowiczówna.

POLKA,

ballada.

Słońce ostatnie swoje promienie złociste
Rzuciło w pożegnanie śpiącej już naturze,

A księżyc wysuwając swe oblicze mgliste
W połowie jeszcze tonął w ozłoczonej chmurze.

Smutno wszędzie i głucho — a grobowej ciszy
Głos ludzki nie rozerwie, tylko w dali z chmury
Dochodzą głuche jęki, a kto je posłyszysz.

To mu się zda, że z grobu jęki te ponure.

Tu usłyszysz brzęk kajdan, co serce rozdziera,
Tam — głuchy jęk z podziemia mordowanych braci,
Myślisz, żeś świadkiem bitwy, że brat twój umiera,
A za każdym tym jękiem Polska syna traci. —

Zaiste, jak wśród bitwy, grzmot, gdyby wystrzały
A zwykle błyskawicy ogniem poprzedzony,
Co się przedziera szybko, między chmurne wały
I jak ogniste węże pada w różne strony.

Żywej duszy nie widać, tylko hen! z daleka
Kędy las się zieleni, gdzie rozstajna droga,
Gdzie na wzgórzu krzyż stoi, w dali płynie rzeka,
Kłęczy postać dziewicy przed obliczem Boga.

Żałobne szaty skryła splotem bujnych włosów,
Głowę wznosi wysoko, załamuje dłonie,
Znów je niesie do góry z prośbą do niebiosów
I znowu jak w zachwycie, cała prawie tonie.

A gdy księżyc wyglądnie z poza chmur ciekawie,
Później spojrzy jej w oczy, w ten obraz jej duszy,
Tyle spokoju ujrzy, co boleści prawie,
A boleść ta, do głębi głązy nawet wzruszy.

Schyl czoło przyjacielu! u stóp tej dziewicy,
Podziwiaj spokój duszy, co z boleści kona!
Lecz patrzaj! Już się zrywa! Lotem błyskawicy
Do krzyża Zbawiciela rozpięła ramiona. —

„Jezu! woła, najświętsza wola Twoja wszędzie.
Jam tej woli posłuszna była zawsze, Panie!
Jeśli zechcesz, to znowu Polska wolną będzie
I Staś powróci wolnym! Co chcesz, niech się stanie!

Lecz jeszcze jedną prośbę zanoszę w pokorze:
Jeśli za okup Polski potrzeba ofiary,
Jeśli moją ofiarę raczysz przyjąć, Boże!
Ofiarę z serca swego leję w ofiar czarę. —

I życie Stasia Tobie oddaję w ofierze,
Jeśli wart jest męczeństwa, daj mu je w udziale!
Nie odrzucaj ofiary, bo ją daję szczerze —
W męczeńskiej śmierci Stasia wolę Twoją chwale!“ —

„Wola Twoja!” — powtarza, i jakby zemdlona
Upada u stóp krzyża, bladeść kryje czoło,
Bezwładnie zwiesza głowę, opuszcza ramiona:
„Wola Twoja!” natura wtoruje jej w koło.
„Wola Twoja!” powtarza huk grzmotów dokoła,
„Wola Twoja!” wyjęknał szum jodeł z daleka,
„Wola Twoja!” po trzykroć echo z za skał woła,
„Wola Twoja!” szepnęła z cicha szemrząc rzeka.

Felicja z T... Ł...

Biały Narcyz.

... Zamilkli razem... spojrzeli przed siebie
Oczyrna duszy natchnieniem promiennej!...
Przed nimi w koło na ziemi i niebie
Jasny się urok rozlewał wiosenny!
Ciszę poranku mąciło jedynie
Pluskanie rybek w srebrnej stawu fali,
Dźwięczny śpiew ptasząt w poblizkiej gęstwinie
I dzwon kościółka wzywający z dali
Do rannych modłów....

....piękna, uroczysta
Była to chwila, dla ich duszy młodej
Co się ku niebu unosiła, czysta
Spojrzeniem onej anielskiej pogody
Jasnej wśród bolu! — bo to były dzieci
Łez i niedoli! — tęsknych sierot dwoje,
Którym tak blade słońce życia świeci
Patrząc jak niosą krwawe ciernie swoje! —
— Oboje byli młodzi i nadobni, —
Strojni wyższości duchowej znamieniem,
A tak we wszystkim do siebie podobni
Każdem uczuciem, myślą i marzeniem,
Ze patrząc na nich mógłbyś zadziwiony

Uwierzyć w prawdę arabskiej powieści
O dwóch połowach duszy rozłączonej,
Która w postaci męskiej i niewieściej
Schodzi się znowu. —

— A przecież — na wieki!

Dzisiejszy piękny rozłączał ich ranek —
On, spieszył w bitwy wir krwawy... daleki
Na głos Ojczyzny, po laurowy wianek
Sławy lub śmierci, — może los kaleki,
Może go czekał nędzny kij tułaczy,
Albo — Sybiru otchłanie śnieżyste
I chwile długiej... samotnej rozpaczy! —

— Ona, na święty ołtarz wspólnej matki
Składając cicho swe uczucia czyste,
Ostatnie życia poświęcała kwiatki! —

A — jednak — nawet w godzinie rozstania,
W ostatniej z sobą spędzonej tu chwili,
Z drżącym na ustach słowem pożegnania
O! jakże jeszcze szczęśliwymi byli! —

— Miłość ich w sercu rozwita żalobie
Wzrosła na zgliszczu ich ziemi ojczystej,
Była jak drzewko mirtowe na grobie!
Jak nad otchłanią krótki sen kwiecisty.

Wierni cierpieniu, co więzły świętami
Łzą ich współczucia ze sobą złączyło,
Widzieli oni że nigdy na ziemi

Dla tej miłości — nadziei nie było!

Lecz będąc duchem na wieki złączeni
Błądzili z sobą po światach marzenia

Snując swą przedzę z dźwięków i promieni
I patrząc w chmurne niebo przeznaczenia
Pogodnym wzrokiem, dziecięcej ufności!

Tam im świeciła jedna gwiazdka złota,

Przyszłość za grobem! co po śnie żywota

Wrócić im miała — raj pierwszej miłości!

Młodzian pochylił głowę — pewnie marzył

O swej przyszłości na bojowym polu!

Bo mu w źrenicy, to zaął się żarzył,

To ją przysłaniał — posępny cień bólu.

Nie był on pięknym, i tylko natchniona

Szlachetna duszą, tylko myśl głęboka,

Ta, ludzkich skroni prawdziwa korona,

Co zwierciadliła się w błękanie oka —
Tajny swój przechód znacząc mu na czole,
Ona swym blaskiem je rozpromieniła,
Strojąc w wyższego piękna aureolę! —
— Dziewczyna ręce na piersiach złożyła,
Jakby przytłumić chciała serca drżenie,
Smętność oblekła twarzyczkę uroczą,
Białe, powiewne stroiło odzienie
Postać jej lekką, jak chmurkę przeźroczą.
Dwie łezki ogniem brylantu jaśniały
W cichym, łagodnym jej źrenic kryształe
I była cała jak ów narcyz biały,
Co się w jej złotych tulił włosów fale,
Lśniący od rosy. —

— Tak oboje stali

Tłumiąc wzburzone w piersiach uczuć morze,
Patrząc w gasnące swego szczęścia zorze,
Co ich żegnało — z nieznanej oddali!...
— I chwila ciszy przeminęła długa —
Piękna!... jak cuda czarodziejskiej baśni,
Chwila niebieska! której równa — druga
Może im nocy życia — nie rozjaśni!
— Wśród niej, omglonym spotkali się wzrokiem,
Ręce ich w silnym sploty się ściśnieniu
I w jednym sobie przesłali spojrzeniu
Jak księżycowa noc — smętnem głębokiem
Wszystkie uczucia, co duszą wstrząsały! —
Nagle z dziewczęcia pochylonej skroni —
Wiatrem strącony upadł narcyz biały
Na łańcuch drżących splecionych ich dłoni —
— Oni wzrok razem utkwili wzruszony
W kwiat nieskalany... w drżące krople rosy,
Co jak łzy zwisły u jego korony —
— Luba! rzekł młodzian: patrz! oto niebiosy
Czynią go naszej miłości symbolem —
Co ma jak kwiat ten pozostać nietkniętą
I niesplamioną żadnem życia bolem, —
Odtąd jak droga pamiątka — schowany
Będzie tę chwilę przypominać — świętą!
I jej nadziemskim urokiem owiany,
Gdy nas obejmie zwątpienie i trwoga,
Będzie nam długie rozjaśniać męczeństwo

Jak promień łaski! jak błogosławieństwo,
Na drogę trudów zesłane od Boga!
A gdy nas wieczność z tej ziemi odwoła,
Złożymy razem tam!... przy prawdy tronie
Z niedotkniętego ziemskim brudem czoła
Ten biały Narcyz w cierniowej koronie!

.

II.

...Nad mogiłami wiejskiego cmentarza
Zawisnął wieczór... posepny jesienny —
Słońce konało w cichym majestacie
Jak srebrna, blade lampa u ołtarza —
Ostatni ziemi szląc uścisk promienny!
A ziemia, w wdowiej przyodziana szacie
W zapadające chroniła się cienie —
Liść tylko uschły, co smutnie szeleści
Tuląc do łona w spokojnej boleści,
Jak — dni szczęśliwych tulimy wspomnienie.
— Ponad sinemi, promiennemi mgłami,
Co zwolna ścmiły krajobraz dokoła —
Lśniło gwiazd parę — jak oczy anioła,
Co na świat patrząc zapływają łzami,
A wicher czasami zajęczał tak smutnie,
Jak gdyby zgodnie w jeden hymn żałobny
Sfer niewidome ozwały się lutnie. —
— Mężczyzna jakiś w tych miejscach nieznany,
W płaszczu wędrownym, jakby duch pogrobny
Cichym wśród mogił przesuwiał się krokiem...
— Nagle się wstrzymał, wsparł o drzewo drżący,
Skrzyżował ręce w milczeniu głębokim
I wzrok przed siebie wyteżył — błyszczący...
— Przed nim, na grobie jaśniała złamana
Kolumna, wieńcem cierniowym owita —
Nad nią szumiała brzoza rozplakana, —
A przed nią w czerni klęczała kobieta,
Piękna spokojem, — jej usta milczały,
Nie było skargi, nie było w nich jęku,
Jak gdyby struny jej piersi zboleły
Pęknięte dawno... nie miały już dźwięku!
I w oczach tylko wzniesionych ku niebu

Lśnił niezmacony jasny promień wiary,
Co od nadziei i szczęścia pogrzebu
Wzłatał do Boga! jak płomień ofiary.
— Długo w nią patrzył nieznany wędrowiec
Jak posąg blady, jak posąg milczący —
Aż gdy powstała — na zimny grobowiec
Kładąc rozstania całunek gorący —
Zaśmiał się nagle, tym śmiechem rozpaczy,
Co z takiej piersi jedynie wybucha,
Gdzie ból już wszystko wykrzywi i spaczy,
Gdzie w mrok zapadnie jasna gwiazda ducha.
... Drgnęła kobieta — ten głos obłąkany,
W którym goryczy ozwało się tyle —
Był jej znajomy... był jej ukochany!...
Niema... bez ruchu stanęła na chwilę
Patrząc przed siebie nieprzytomnym wzrokiem,
Potem usiadła na darń.. w pół omdłona,
A On — powolnym przybliżył się krokiem
I jakiś zwiędły odpiął kwiat od łona! —
— Więc się raz jeszcze zeszli na tej ziemi!
Sami... jak niegdyś... u progów wieczności —
Czas — skrzydłem burzy przeleciał nad nimi,
Unosząc z sobą wszystko — prócz miłości!
Ona, silniejsza od losów zawiei
Zawsze niezmienna, przeczysta i święta
Bez celu, jutra, przyszłości, nadziei!
W tych dziwnych sercach przetrwała nietknięta.
Czy mnie poznajesz? — spytał cichym głosem:
Patrz! to liść uschły z najświętszej pamiątki
Młodości naszej, przegrawszy bój z losem
Wracam ci oddać smutne jego szczątki!
Pamiętasz jeszcze pożegnania chwilę? —
Tę, na Ojczyzny złożoną ołtarzu? —
Dziś cię jak upiór śmiechem przy mogile,
Śmiechem szaleńca witam na cmentarzu.
O tak! jam upiór do ziemi jedynie
Należę nędznem schorowanem ciałem —
Duchem się błąkam po złudzeń ruinie,
Pod którą wszystko, wszystko pogrzebałem,
O czym śnił niegdyś młodzieniec — poeta —
A co do krzyża przybiło mu duszę!

. . . Czy mnie poznajesz ? —

Powstała kobieta

I obie drżące podając mu dłonie

Rzekła : wiedziałam że ujrzeć cię muszę,

Muszę powitać, o! choćby przy zgonie —

Po ciężkich walkach, po męki żywocie,

Po tej rozłące tak długiej, okrutnej

Bóg naszym modłom, Bóg naszej tęsknocie

Niemógł odmówić tej pociechy smutnej!

Pocóż mnie ranisz? poco trwożysz, luby?

Męty ci życia serca nie skalały —

I wszystkie dawne dochowałeś śluby;

Bo na twych piersiach widzę narcyz biały.

— O Bogu mówisz?! — o! tego imienia

Próżno dziś dla mnie wzywasz jak zaklęcia...

Dawna ta przeszłość... dalekie wspomnienia,

Kiedym z szczęśliwą ufnością dziecięcia

Patrzył w to niebo, myśląc że tam mieszka

Ten, co jest prawdy i miłości Bogiem! —

Próg życia dla mnie był świątyni progiem,

Do której wiodła twarda zasług ścieżka! —

— Mamże ci zwykłe opowiadać dzieje?

Wszystkie zawody, trwogi i cierpienia,

Nim mnie ostatnie rzuciły nadzieje,

Zanim upadłem w tę otchłań zwątpienia?

Widziałem bolem miotany bezsilnym,

Jak światło prawdy zwyciężała ciemność!

Widziałem Polskę pod głazem mogilnym,

A nad nią, dziką w tryumfie niktzemność!

Naród mój biedny idący w stos męki

Z modlitwą rzewną, spokojem niebieskim,

A nigdzie Boskiej sprawiedliwej ręki!

Z współbraćmi mojej walki i rozpacz

Długo więzienna nękała mnie krata,

Zanim mi w dłonie dano kij tułaczy

Zmuszając błądzić po obszarach świata.

Błądziłem długo!... zemsty oburzenia

Mogę ci skreślić całe dusze piekło?!

Ile w pierś moją łez cierpkich przeciekło,

Gdym bliżej spojrział w oblicze stworzenia.

Widziałem gmachy wspaniałe, gdzie złotem

Sięją bezmyślni, lecz dumni próżniacy,

Gdy u ich progów krwawym zlaui potem

Konają ludzie natchnienia i pracy!
W świetnych stolicach pod pysznymi mury
Czyliżem jedną widział śmierć głodową,
A odgłos balu słyszałem u góry!
Huczne toasty szumiały nad głową!
Widziałem przepych dumy i rozpusty,
Nędzę ofiarnych a występnych świetność,
Ciała blademi modlące się usta —
Duchy ginące przez własną szlachetność...
Widziałem wszystko! — a dzisiaj powracam,
Skroń pałającą pod głąz złożyć chłodny —
W ciszę nicości!... ten narcyz ci zwracam!
Bom potępiony!... bom go już niegodny! —
— Zamilkł... i spuścił ku ziemi źrenice,
Nieśmiejąc patrzeć na kobietę zbladłą —
Co w drżących dłoniach zanurzyła lice...
A z pod tych dłoni kilka łez upadło —
Wielkich... gorących! — Więc wszystko skończone?
Spytała cicho, na taką odpowiedź —
Czekały wszystkie przyszłości rzucone —
Pytania nasze? — Nie! — na tej mogile —
Klęknij, o biedny! — i módl się przez chwilę,
A teraz słuchaj — oto — moja spowiedź; —
. . . Życia kobiety zdroj — cicho upływa,
Bez burz widocznych, bez wstrząśnień szalonych,
I nikt nie dojrzy tych łez utajonych,
Tych ran.. co w głębi przed światem ukrywa!
— Takim męczeństwem — było moje życie —
Odpędzać każde od czoła marzenie...
Zniszczyć musiałam każdy szczęścia — szczątek
I zabić każde promienne wspomnienie,
Co ulatało do — rajy pamiątek! —
— Bo tak mi kazał — obowiązek żony —
Co skrzydła duszy w zimne ujął pęta —
Podczas gdy w głębi tlił żar niezgaszony,
Jak blada lampa w grobowcu zamknięta!
. . . Lecz jeszcze głębiej.. żyła miłość inna!
A dla tej wszystko... wszystko się poświęca —
Choćby i szczęście!... to miłość dziecięca!
Jam się sprzedała! — ale jam niewinna!
Konałam także na krzyżu ofiary,
Chcę łzy ukoić — najdroższej istoty,

Łzy mojej matki schorzałej i starej!
 Co się trwożyła przyszłością sieroty —
 A której praca mych zwątlonych dłoni
 Od walki z nędzą nie mogła ochronić!
 Chciałam spokoju dla jej siwych skroni —
 Wygód — dla ciała... zwiędłego chorobą!...
 O! dosyć! przerwał z ponurem wejrzeniem,
 Gdybym mógł jeszcze jaką łzę uronić —
 Tobym ją dzisiaj uronił nad tobą! —
 — Ona skończyła z stłumionem westchnieniem:
 — Więc wszystkim jęki w głąb serca zawarła,
 Szczęście mej matki było mi osłoda —
 Jeden jej uśmiech — najwyższą nadgroda,
 A ona... ona... o zadrzyj! — umarła! —
 — Tutaj spoczywa, dziś... zbolełe łono
 Do zimnej chyba przycisnę mogiły,
 Co pierś przygniata — najzacniejszej z matek —
 A jednak jeszcze nie brakuje mi siły,
 By wytrwać wierną — choć nieszczęsną — żoną!
 Aby spokojnie dojść kresu mej drogi,
 Bo serce moje to nie wątlę kwiatek,
 Aby je złamał — jeden promień burzy!
 Wzywa mnie smutny... wzywa mnie ubogi!
 A w walce z losem kto duszę unuży —
 Jeszcze się jemu wśród pustyni życia
 Jedna oaza uśmiecha zielona! —
 Ostatnią deską w godzinie rozbicia
 Cierpiącą ludzkość przygarnąć do łona!
 Kojąc jej — bole, własne serce koję —
 O! bo z łzy każdej nieszczęsnym otartej,
 Z ulgi niesionej jasne pociech zdroje
 Płyną na rany mej piersi rozdartej! —
 I idę dalej... spokojna i cicha
 Patrząc w mą gwiazdę, co blado już świeci,
 Czując że życia gałązka... usycha
 I duch niedługo... już w wieczność uleci! —
 — Do stóp się krzyża rzucić, o mój jedyny!
 I obmyj duszę w łez gorących zdroju —
 Nie badaj życia... nie badaj przyczyny,
 Dlaczego rzucon na tortury łoże —
 Każdy duch wyższy! — patrz w te męki — boże,
 Co się promienią uśmiechem spokoju —
 I gdzie powinność wielkie serca wzywa

Idź! znaczyć drogę czyny szlachetnemi,
A znajdziesz „prawdę”, co w cnocie spoczywa,
A znajdziesz szczęście w szczęściu bliźniej ziemi —
Nie trwóż mnie próżno, o duchu mój bratni!
Te słowa cierpka podała ci żalność —
Białość narcyza, to węzeł ostatni,
Który nas łączy — to dusz naszych białość! —
Chcesz - że go stargać?!...

... Ciszy uroczystej

Minęła chwila.. jak zimną.. zakrzepłą
Bryłę lodową — wiosny oddech czysty
Roztopia w blasku, niosąc życia ciepło,
Tak słów kobiety władza tajemnicza
Topiła czoło surowe i dumne —
Spędzając chmury z mężczyzny oblicza...
— Długo stał wsparty o grobu kolumnę —
Ze łzami w oczach.. z pochylonem czołem
Aż — w uścisk silny ujmując jej dłonie —
„Przebacz! zawołał, przebacz grzeszną twogę
I.. pobłogosław na daleką drogę!
Bom tylko człowiek! — ty jesteś — Aniołem!”
— Ukląkł i czoło pochylił ku ziemi —
Kobieta nad nim z modlitwą się zniża —
I na skroń jego rękami drżącemi
Złożyła narcyz i święty znak — krzyża!

... Minęły lata!.. bo wiem że spytacie,
Czem się skończyło to życie ofiarne? —
I gdzie zniknęły te jasne postacie —
Rzucone trafem na tło świata czarne!
On — gdzieś zaginął bez echa i wieści...
A kto go pragnie wśród tłumu wyszukać --
Musi do twardych drzwi nędzy zapukać,
Gdzie się lzy kryją — nieznanymi boleści!
Musi zapytać — wdowy i sieroty —
I wszystkich cierpień.. co równie pod strzechę,
Jak pod dostatku się kryją dach złoty,
Bo on tam niesie — pomoc i pociechę!
— A na cmentarzu samotnym.. wśród włości
Przybyła.. jedna zielona mogiła —
Którą nieznaną dłoń — godłem czystości
Więcem narcyzów — co wiosny zdobiła!

Marja Bartus.

Zgasły pochodnie!

Zgasły pochodnie — spłowiły sztandary,
W koło się których naród skupiał wielki.
Stare idee złożono na mary,
Przebrzmiały hasła i zgasł blask wszelki.
I stare dzieje całunem przykryto,
I stare cnoty ze serc wydobyto,
I stara miłość, stare poświęcenie,
Stare braterstwo, — poszły w zapomnienie! —
Był czas, gdy ginąć na walecznych polu
Od kuli wroga, nie sprawiało bólu,
Było zaszczytem i sławę jednało.
Dziś — zgasły światła i w duszach ściemniało.
A w sercach pustki i duch upodlony
I światło Znicza świętego zgasło,
A głos bez dźwięku jak rozbite dzwony,
Głos potępińczy nowe głosi hasło:
Nic nie jest świętem! — ni praojców kości,
Ni dawna wiara — ni dawne świętości.
Nikt nie jest bratem — nie potrzeba wiary.
Ojczyzna, wolność — to znikome mary.
Miłość, to pęta; przyjaźń, poświęcenie,
Cnota, braterstwo, — Bóg — to urojenie!
Serce, to tylko mięsa cząstka mała,
Namiętność panem, duch służalcem ciała.
A dźwigać małych, gdy ich nędza tłoczy,
Nieść dla nich światło, gdy ich ciemność mroczy,
Natchnąć ich czuciem i wiarę rozbudzić...
Kto użyć nie chce, może się tem trudzić.
To nierozsądne, to obciąża życie.
Idea pieniądza, — użycie.
I cóż dziwnego, że mnożą się zbrodnie?
Zgasły pochodnie!

Potok złoty, 9. września 1884.

Julian Nowakowski.

Pomnik Kazimierza Brodzińskiego.

w Tarnowie

(z drzeworytem, wykonanym według fotografii L. Majewskiego z Tarnowa)

Daleko rzadziej niż w innych szczęśliwych krajach, na ziemi naszej spotykamy pomniki zasłużonych mężów. Przecież naród nasz wydał ich tak wielu — a pomniki i posągi im postawione, na palcach prawie rzecz można, wyliczyć by zdołano. Kiedy za granicą każde miasto szczyi się takimi pamiątkami, a większe miasta i stolice bodaj każdy wolny plac zdobić pośpieszają artystycznie wykończonym pomnikiem, u nas wręcz przeciwnie: jak mało miast co jakieś kroki czynią, aby w tym względzie dorównać miastom państw ościennych, co tablicami, posągami, monumentami zaznaczają cześć swą dla wielkich mężów, dla pamiętnych wydarzeń swego narodu! A moralne znaczenie takich pomników jest ogromne! na tysiące i tysiące przechodniów, na pokolenia całe wywierają one czarowny wpływ. Chociaż ten i ów przejdzie obok pomnika nieczuły, nieciekawy albo jak mówią mechanicznie — przecież w duszy niejednego pobudza on do życia tkwiące tam niepostrzeżenie ziarno, wydobywa z serca idee, myśli, zamiary szlachetne i wzniosłe. Dowodów na tak zbawienne działanie pomników stawianych wielkim mężom, ktoby nie ufał własnemu rozumowaniu, znajdzie obficie na kartach życia wielu wielkich ludzi, których młodość pod wpływami takimi się kształciła. Któż n. p. nie słyszał podania, jakto młody Temistokles mawiał, że Miltjadesowa trofea spać mu nie dozwalała! Zaiste myśl w tem jasna i prawdziwa...

Pomnik Kazimierza Brodzińskiego, który rycina nasza przedstawia, wzniesiono niedawno w mieście Tarnowie.



Pomnik Kazimierza Brodzińskiego

w Tarnowie

(według fotografii L. Majewskiego z Tarnowa.)

W Tarnowie jak wiadomo, szlachetny piewca „Wiesława“ do gimnazjum uczęszczał, tam pierwsze swe wiersze tworzył, tam napisał ową łzawą elegią, pamięci przyjaciela-rówieśnika poświęconą. To też nikt nie zaprzeczy, iż stare gniazdo Tarnowskich jest bardzo stosowną miejscowością na pomnik Brodzińskiego — a trudno w mieście tem o odpowiedniejsze jego umieszczenie jak przed gimnazjum. Młodzież uczęszczająca do zakładu, przypomni sobie każdej chwili, że ten czczony tak powszechnie, tak gorąco mistrz słowa, ten dzielny patriota i najzacniejszy mąż tutaj pracował, tutaj się przysposabiał do życia na chwałę narodu: nie jestże to wzór wzniosły, ponętny, potężny! — —

Przed nowym, wszelkim wymogom dzisiejszej pedagogii odpowiadającym, a zewnątrz okazale i poważnie prezentującym się gmachem gimnazjalnym ustawiono po lewej stronie pomnik tego największego ucznia szkół tarnowskich. Na wysokim piedestale z kamienia ciosowego, u spodu szerokim, ku górze zwężającym się bardzo znacznie ornamentyką liściową skromnie a poważnie ozdobnym, spoczywa duże popiersie z białego kamienia pińczowskiego. Biust przedstawia spokojne, pogodne rysy wzniosłego oblicza, szyja naga, pod nią płaszcz na piersiach zarzucony. Marmurowa tablica podłużna, w przednią ścianę piedestału zagłębiona, ma napis: „Kazimierzowi Brodzińskiemu, uczniowi gimnazjum tarnowskiego, żołnierzowi za sprawę ojczystą, nauczycielowi-poecie, wdzięczni rodacy.“

Cały pomnik jest dziełem profesora Walerego Gadomskiego, który tu już nie po raz pierwszy dowiódł niepospolitych zdolności i studjów. Myśl zaś postawienia tego pomnika wyszła od dyrektora gimnazjum tarnowskiego, Bronisława Trzaskowskiego, który przez lat kilka nie szczędził zabiegów, by ze składek, z koncertów i przedstawień amatorskich i t. d. zebrać potrzebną kwotę. do czego się także czcigodny Bohdan Zaleski i rodzina poety przyczynili. Wkrótce po prawej stronie przed gimnazjum, więc naprzeciw pomnika Brodzińskiego stanąć ma taki sam biust Szujskiego, także ucznia szkół tarnowskich

— dzielny i nie spoczywający dyrektor Trzaskowski rozpoczął już działalność w tym kierunku.

Uroczyste odsłonięcie pomnika odbyło się we czwartek d. 17. lipca 1884 r. Był to pierwszy dzień walnego zjazdu Galicyjskiego Towarzystwa Pedagogicznego, który po raz siedemnasty zbierający się, po raz wtóry gościł w murach miasta Tarnowa. Jak kilka lat temu na walnym zjeździe w Brodach nauczycielstwo galicyjskie odsłonięciu tablicy pamiątkowej Józefa Korzeniowskiego, tak i tą razą zgromadzeni pedagogowie, oddając cześć wielkiemu poecie przyczynili się do uświetnienia uroczystości.

Dnia 17. lipca śród pięknej pogody zgromadziła się około godziny 4. z południa liczna publiczność i młodzież szkolna przed gmachem gimnazjalnym i na ulicach sąsiednich. Pomnik był jeszcze zasłonięty — chorągwie powiewały z umajonych masztów naokoło pomnika ustawionych. Na krzesłach tuż obok pomnika zasiedli prezes Akademii Umiejętności Dr. Józef Majer, który uwiadomiony od dyrektora Trzaskowskiego na uroczystość przybył, starosta Tarnowa c. k. radca Namiestnictwa Ludwik książę Poniński, burmistrz i wice-burmistrz miasta, zięć poety obywatel ziemski Karol Rucz, członkowie Zarządu głównego Towarzystwa Pedagogicznego i korespondenci dzienników.

Kiedy już wszyscy się zebrali, na zaproszenie dyrektora Bronisława Trzaskowskiego, inicjatora pomnika, ksiądz infułat kapituły Gwiazdoń, dokonał według rytuału poświęcenia pomnika. Późem prezes Towarzystwa Pedagogicznego, radca Zygmunt Sawczyński wstąpił na trybunę w tym celu przygotowaną, i mową jędrnie wyrażoną, pełną uroczystej powagi i serdecznego ciepła zwracając się do zgromadzonych a w szczególności do młodzieży, przedstawił i scharakteryzował Brodzińskiego jako ucznia, żołnierza, patriotę, poetę i nauczyciela. Słowa znakomitego mowcy wywarły głębokie wrażenie.

Kiedy zstąpił z trybuny, zabrzmiała kantata, a równocześnie opadły zasłony, które przed oczyma widzów pomnik dotąd ukrywały. Tak się skończyła

piękna uroczystość, która śród wielu pięknych wspomnień ze Zjazdu Towarzystwa Pedagogicznego trwałem i doniosłem znaczeniem swoim pierwsze miejsce zajmuje.

Dr. Albert Zipper.

Kantata

na uroczystość odsłonięcia pomnika

Kazimierza Brodzińskiego

w Tarnowie, d. 17. lipca 1884.

Gdy nas trapią klęski nowe,
Sławim męża starej doby.
Piersi nasze granitowe,
Nie pękły nam śród żałoby!
Niebo źródła łask otwiera
Duchom wiarą uzbrojonym,
Więc choć los ich poniewiera,
Mężom pieją cześć wślawionym!
Złoto daje twarda ruda,
Gdy ją silna dłoń dotknęła;
Póki zapał tworzy cuda,
„Jeszcze Polska nie zginęła!”
Brodziński! bądź pochwalony
I pomnikiem bądź poczczoney,
Do spraw zacnych polską młódź
„Posłaniem” swem zawsze budź!
Nad ludem niech duch „Wiesława,”
By nie zginął pełni straż,
Panie! ojców gdy mrze sława,
Naród Brodzińskimi darz!

Fr. H.

Jakie są właściwe zasługi

Kazimierza Brodzińskiego?

studjum.

Poeta, o którym nam w niniejszem studjum mówić wypada, urodził się w Korolówce w okręgu bocheńskim w r. 1791-m, a umarł w Dreźnie w r. 1835-m. Jeśli zasługi i znaczenie wybitnych autorów li tylko według długości wieku tychże mierzyć będziemy, toż i o Brodzińskim nie wiele wypadło by nam mówić: tak samo jeśli zdolności ich zmierzmy według ilości tomów, zostawionych potomności. I tych dzieł nie zbyt wiele zostawił nam Brodziński w spuściznie, a zgodzilibyśmy się nawet chętnie na to, gdyby niektóre prace, umieszczone w zbiorowem wydaniu jego dzieł, to przez Glücksberga w Warszawie, to znowu przez innych podjętem, wcale nie zostały unieśmiertelnione drukiem. Również — nie zaprzeczając mu przez to zasług — nieuważamy za największą zasługę, że może jeszcze przed Odyńcem zapowiadał Polsce przybycie nieśmiertelnego Adama i torował mu drogę.

Liczymy za jedną z największych zasług Brodzińskiemu, że on pierwszy może czuł potrzebę pisania dla ludu i kształcenia go a więc pisania w duchu ludowym; że wychowany w tradycjach klasycyzmu, tak obcego narodowi i nie zgadzającego się z jego zapatrywaniem, pierwszy zatknął sztandar romantycyzmu, czyli poezji ludu przeciwstawiając go klasycyzmowi, czyli poezji dworskiej, chociaż pierwsze jego kroki jeszcze były niepewne i widzimy nieraz płody romantycznej jego muzy, odziane niewłaściwą szatą klasycyzmu.

Później i ta niepewność ustała: Brodziński, świadomszy już celu swego, obdarzał naród pracami nawskróś swojskimi, jakoto nieśmiertelnym swoim „Wiesławem,” którego nazywa tak skromnie sielanką krakowską, „pieśniami rolników,” elegiami.

Duch jego spokojny i cichy nie lubował się w potężnej epopei; więc kreślił po części na tle pasterskich pieśni Greków i Rzymian swoje sielanki i pieśni, z których niejedna następnie stała się piosnką ludową. Przypominamy n. p. znaną pieśń „Sroga matka złota chciwa“, śpiewaną przez lud, który śpiewając ją, może już i autora jej nie pamięta, co właśnie jest cechą prawdziwej pieśni ludowej.

Niepospolite zasługi około literatury narodowej kładł Brodziński przez to, iż przestrzegał czystość języka i kształcił ogół pisząc dlań i tworząc bez ustanku to jako poeta samoistny, to jako tłumacz obcych poetów, to jako estetyk i krytyk. Jego tłumaczenia Göthego i Szyllera są nieocenione, również wyborne są jego tłumaczenia z serbskiego, z czeskiego i z innych słowiańskich, germańskich i romańskich języków. Jeśli nas nie zadowalają z wszystkim niektóre jego poezje, naśladowane z francuzkiego, jego tłumaczenie nieznannej ogółowi tragedji Ducisa „Abufar“, niezasługującej na zaszczyt, aby ją Brodziński przełożył na język polski, to natomiast jesteśmy mu wdzięczni za przekład łacińskich poezij Kochanowskiego.

Największe zasługi zdobył sobie jednak Brodziński przez to, że starał się budzić ducha w uśpionym i długoletnią niewolą i rozpasaniem obyczajów upodlonym narodzie. Jedną z najpiękniejszych jego poezij pod tym względem jest jego „polski legionista,“ w którym unieśmiertelnia miłość ojczyzny młodego Polaka, tęskniącego pod gorącym niebem Włoch, w przybytku sztuki starożytnej za skromną ojczystą strzechą swoją. Aie małem arcydziełem pod względem poetycznej piękności jest jego „Żal za polskim językiem.“ Tu zdaje nam się, że wystąpił na ambonę nowy Skarga, aby nawoływać naród do pokuty. I woła: „Grzeszyliście! zaprzepaszczaliście przeszłość narodu i chcecie jeszcze zaprzepaszczać jego przyszłość. Nawróćcie się, grzesznicy! i pokatujcie, bo tylko w zachowaniu narodowych jego obyczajów, narodowych jego cnót, narodowej tradycji jest zbawienie dla narodu.“

I poeta ten, który naród swój tak miłował serdecznie, który plody literackie obcych narodów

przyswajał Polsce, do niedawna nawet nie miał tłumaczy, którzyby jego myśl godnie oddali w szacie obcego języka i zaznajomili narodowości, otaczające nas, o życiu Brodzińskiego!

Jeden z pierwszych czuł potrzebę tej wzajemności literackiej profesor Kornicki w Tarnowie i wydał w r. 1883m „Wiesława“ w języku niemieckim. Tłumaczenie jego jest staranne, język poetyczny nieskażony, niemieczna czysta. Moglibyśmy jednak i to nie bez słuszności zarzucić jego przekładowi formę zimną i sztywną klasyczną, nie nadającą się wcale do płodów muzy Brodzińskiego.

Wydawca „Roczników Samborskich“ przetłumaczył także na język niemiecki kilkadziesiąt drobnych poezyj Brodzińskiego i podaje celem zaokrąglenia niniejszej rozprawy „Żal za polskim językiem“ w przekładzie własnym:

KLAGE

über den Verfall der polnischen Sprache

von Kasimir Brodziński

(geb. 1791, † 1835)

Mitgetheilt nach einem Jugendentwurfe des Dichters
in deutscher Uebersetzung von G. Kohn.

¶uch, Musen! fleh' ich an! rasch schwindet hin die
Zeit,

Nur ihr bleibt ewig jung in alle Ewigkeit.

Was unsre Väter einst in heissem Kampf erstrebet,
In euerm Schutz hätt' Polens Ruhm erst aufgelebet,

Und unsre Sprach,' die bei den Ahnen stand in Ehren,
In euerm Schutze möcht' sie unverkümmert wahren —

Allein wie stell' ich's an, um noch durch ihre Töne
Zu rühr'n Polonia's verdorb'ne, schlechte Söhne?

Statt zu besingen sie mit meines Liedes Hall,

Lasst lieber trauern mich um ihren jäh'n Verfall. —

Der Dichter Sinnen selbst, es bleibt jetzt ohn Erfolg,

Womit, womit soll'n sie verewigen ihr Volk?

Die Sprache, die in Ehr'n die Väter hielten, die
 Mag jetzt der Pole nicht, der Fremde höhnet sie. —
 O! vaterländ'sche Sprach', du Polens höchste Zier,
 Die unter Sigismund*) geblüht, was ward aus dir?
 Du, die verherrlichet Polonia's grosse Thaten,
 Beim eig'nen Volk bist du jetzt in Verruf gerathen.
 Nachkommen jenes Volks, dess Fall ich jetzt besinge!
 Gott geb', dass diese Klag' euch nie zu Ohren dringe,
 Ihr müsset, hättet ihr noch Ehrgefühl, erröthen,
 Theil'n müsset ihr mit mir den Abscheu des Poeten! —
 Die Sprache, deren sich die Väter einst bedient,
 Sie, die stets ihr Gefühl zu offenbar'n gedient,
 Dies Denkmal unsres Ruhms, das unsre Ahnen echt
 Im Lauf der Zeit vererbt aufs späteste Geschlecht,
 Die Sprache, dieser Schatz, dies Denkmal Gott
 [geweiht,
 Dies Bindeglied des Jetzt und der Vergangenheit,
 Die Sprache, welche uns're Kön'ge hochgeschätzt,
 Zur Dienersprache ist entwürdiget sie jetzt. —
 Es sprechen polnisch zu den Eltern nicht die Söhne,
 Fremd sind den Müttern schon des Mutterlandes Töne,
 Fremd klingt der Ahnen Sprach' in ihrer Enkel Ohren,
 Ein kleines! und bald geht die letzte Spur verloren. —
 Die Tochter drückt's Gefühl in fremder Sprache aus,
 Und eine Fremde ist sie in dem eignen Haus,
 Nur Mägde sprechen in der Sprach' des Vaterlands,
 An ihre Mutterpflicht vergisst die Mutter ganz.
 Von einer Fremden, die nicht kennt des Landes Sitte,
 Lässt sie erziehn ihr Kind, lässt leiten seine Schritte,
 Sehr wenig müssen wir von Pflicht und Tugend wissen,
 Dass wir von Fremden sie zu Haus erst lernen müssen!
 Der Ritter, der sein Blut im Kampf für Pol'n vergiesst,
 Nicht polnisch wird er jetzt von Polinnen begrüsst.
 Der Väter Sprach', in der sich aussprach ihr Gefühl,
 Sie, die so innig ist, sie scheint jetzt zu kühl! —
 Siehst du den Jüngling dort voll Kraft u. Jugendgluth?
 Kühn blickt sein Aug', es strahlt die Stirn' v. Edelmuth.
 Wie herrlich sieht er aus: doch täuscht sein Angesicht.

*) Sigismund I., der Alte († 1548). Unter ihm begann das goldene Zeitalter der polnischen Literatur.

Du glaubst: ein Pole sei's? O nein! er ist es nicht.
 Er weilte noch als Kind in seiner Eltern Mitte,
 Und musst' verlernen schon des Vaterlandes Sitte.
 Ein fremder Lehrer, der des Kindes Sinn berückt,
 Hat in ihm das Gefühl für's Vaterland erstickt.
 Ein fremder Gauner lehrt die Sprach' es, die man spricht
 Dort in der Fremd' und kennt die hiezulande nicht.
 Was kümmert's ihn, wenn er nur Geld zusammenrafft?
 Er kennt nichts Polnisches, als Polens Gastfreundschaft.
 Der aus der Heimat sich geflüchtet gleich dem Diebe,
 Einflößen soll dem Kind er Vaterlandesliebe. —
 Fremd sind dem Kinde, fremd der eignen Ahnen Siege,
 Der Ahnen, die gegläntzt im Frieden und im Kriege,
 Auswendig weiss es die Geschichte der Maitressen
 Von fremden Königen, die eigne hat's vergessen;
 Der Jüngling, der verlor den vaterländ'schen Sinn,
 Als Fremder ziehet er dann in die Fremde hin,
 Um sich des Lebens in dem Ausland zu erfreu'n
 Und büsst den letzten Rest der heim'schen Sitten ein.
 Auf jenem Wege, der zum Ruhme einst geführt
 Die Ahnen, die ihr Land durch ihren Geist geziert,
 Auf jenem Wege, trägt er aus der Fremd' den Keim
 Der Fäulniss, trägt er die Verderbniss mit sich heim. —
 O Polens Gastfreundschaft, der Heimat höchste Zier,
 Die uns einst heilig war. was ward doch jetzt aus dir!
 Die Thore, durch die sonst stets Gäste eingegangen,
 Sie öffnen sich nicht mehr, um Gäste zu empfangen,
 Die Jugend Polens strömt nicht mehr zusammen dort,
 Der Ahnen Andenken, vergessen bleibt's hinfort.
 Willst du ein Gast sein dort, wo Fremde wohlgelitten
 Stets weil'n, lern' ihre Sprach', erlerne ihre Sitten.
 Verlern' die Biederkeit der Ahnen, werd' gemein,
 Lern' lästern, spötteln lern', willkommen wirst du sein.
 Was nutzt die Tugend dir, was nutzt dir dein Verstand?
 Ein Fremder gilt weit mehr, als all das hiezuland.
 Was fremd ist, wird geehrt, was fremd ist, wird geschätzt,
 O Pole! schäme, schäm' dich deiner Sitten jetzt.
 In deiner Heimat, wo das Licht der Welt du sahst,
 Schäm' deiner Sitten dich: sie sind verhöhnt, verhasst. —
 Gelehrte (denn bald bricht die Zeit an, die verkehrte,
 Dass man Schalksnarren aus der Fremde nennt Gelehrte),
 Gelehrte achten das gering, was uns vor Jahren

In uns'rer Sprach' vermacht die Väter hochehrt,
Uneingedenk des Ruhms aus der Vergangenheit,
Vertauschen sie die Sprach' sowie ein altes Kleid. —
Dort, wo die Tugend einst hatt' ihren heil'gen Sitz,
Macht fremder Spott sich breit u. fremder Hohn u. Witz,
Gedanken hüll'n wir ein in fränkisches Gewand,
Nichts Polnisches erzeugt man mehr im Vaterland,
Wir lieben es nicht mehr, wir sprechen — o der

[Schmach! —

Von Polens Dichtern selbst nur mehr in Galliens
[Sprach'. —

Der Pole, welcher noch — es sind dem wen'ge Jahr'! —
Stolz auf sein Vaterland und seine Sprache war,
Vergisst, sobald er aus der Fremde rückekehrt

An seine Heimatsprach', die er einst hochgeehrt. —
Er, der sein Vaterland geliebt mehr als das Leben,
Er, der im Kampf sein Blut für es dahingegeben,
Sein theuerst Erbstück, das allein ihm blieb von allen,
Der Väter Sprache lässt anheim dem Spott er fallen. —

Schon lange nistet' sich in unserm Herzen ein
Dies Übel, aber wir, wir achteten nicht sein,
Für unsre Freiheit gehn wir muthig in den Tod,
Indess wir Sprach' und Sitt' hinwerfen in den Koth,
Wir, die gekämpft für Pol'n, wir geben ohne Sinn
Für nichts und wieder nichts sein höchstes Gut dahin,
Wir geben aller Welt, wir geben Tag für Tag
Das Beispiel höchsten Muths, das Beispiel höchster
[Schmach.

Statt bessernd uns, die eig'nen Fehler in den Winkel
Zu stellen, ahmen wir nach fremden Eigendünkel,
Und treiben's fort, sowie wir es bisnun getrieben
Einbüßend durch uns selbst, was uns bisnun geblieben.

Przemyśl, 4. lutego 1885.

G. Kohn.

ROZMAICI.

POWIEŚĆ

na tle psychologicznem osnuta

przez

Janinę Antonowiczównę.

Wielmożny Pan

GOTHILF KOHN,

Wydawca i Redaktor „Roczników samborskich“

łaskawie przyjąć raczy jedną z pierwszych prac autorki.

I.

Gdyby tak Pan Bóg w jednej godzinie
Miłość chciał zabrać światu,
Świat by się zmienił w głuchą pustynię
Dziką, bez kwiatu.

Obie były ładne, młode, wesole, bo siedmnasta dopiero wiosna zajrzała w ich jasne, młodzieńcze źrenice. Zdawało się nawet, iż różnicy w nich niedopatrzysz, tak się wydawały podobne z usposobienia i humoru, i z owej pustoty młodzieńczej. Ale to na pozór tak tylko się sądzić mogło. Różnice usposobienia i zapatrywań ich były tak znaczne, iż chyba kontrastem właśnie, dałby się usprawiedliwić łączący ich węzeł iście siostrzanej miłości.

Olga miała włos czarny, miękko wijący się w długich warkoczach; oczy jej były prześliczne, łagodne i głębokie jakieś a pełne słodkiej melancholii w spojrzeniu. Kochali ją też wszyscy — pieścili, lgnęli do niej sercem, a ona też sercem odpłacać

umiała. Marja zaś ciemne włosy nosiła krótko ucięte i miała zwyczaj od czasu do czasu poprawiać je palcami. Oczy miała siwe, zwykle dość spokojne, pogodne nawet, ale w chwili najmniejszego wzburzenia lub rozdrażnienia, migwały w nich jakieś zielonawe płomyki, a usta zaciskały się tak silnie, iż patrząc na to dumne i stanowcze ich zacięcie, trudno było uwierzyć iż to te same usteczka, które przed chwilą tak rozkosznie i młodzieńczo się uśmiechały.

Nie miała też Marja tylu przyjaciół co Olga. Nie lubiły jej dzieci ani sługi; koleżanki nazywały ją dumną, a młodzi panowie sfinksem. Oryginalne jej usposobienie, niezwykle sposób postępowania i ekscentryczne pomysły wyróżniały ją stanowczo od innych młodych panien a kochającego ją ojca napępniały dumą i radością, bo sądząc po wielkich zdolnościach dziewczyny, złotą śnił dla niej przyszłość.

Olga nie miała już ojca. Mieszkała z matką na odległym przedmieściu, a skromne fundusze zaledwie wystarczały na pokrycie niezbędnych potrzeb codziennego życia. Ubogie ich mieszkanie wyglądało bardzo porządnie i wszedłszy tam, nie poznawało się nawet ubóstwa, tak w niem było schludnie i strojnie, miło i wytwornie nawet. Bo i czegoż to młode dziewczę czarem młodzienczej poezji nie rozjaśni, czego wdziękiem wiosennego oblicza i wiosnianej piosnki nie ozdobi? Na oknach było bogactwo zieleni i kwiecica — nad tem białe firanki. Ściany ozdobione były pięknymi obrazami, a wszędzie rozstawione były rozmaite fraszki, ozdoby, figurki a wszystkie prawie ręką Olgi robione. Na podłogę rzucono przed kanapką dywanik, zrobiony z płateczków różnobarwnych i wykończony bardzo zręcznie i pracowicie. Patrząc nań, każdy musiał podziwiać dobry smak, zręczność, a nade wszystko cierpliwość w wykonaniu.

Matka Olgi, kobieta zacna i rozumna wychowała wzorowo swą ukochaną jedynaczkę. Pieściła ją, prowadziła sercem, a przytem potrafiła wszczepić pogląd na życie ze strony rzeczywistej i wlać praktyczne zasady w młodocianą jej duszę, bez ujmy niewinności i świeżości uczuć młodej dziewczyny. Pod wpływem tego ciepła macierzyńskiego rozwinęła się Olga prze-

ślicznie, wszystkie władze serca i umysłu nabrały życia i siły. Wychowana sercem, wypieszczona, nabrała owej łagodności i słodczy obejścia, odbijającej się w każdym słowie, w każdym spojrzeniu. Mimo to jednak nie była ona zbyt uczuciową. Matkę kochała serdecznie, namiętnie nawet, ale to było jedyne silniejsze uczucie — inne miały lżejszy, łagodniejszy charakter. Lubiła tylko wiele osób i wiele rzeczy, ale przywiązania swego do nikogo, ani też upodobań swych w niczem, nie podnosiła do egzaltacji. Nie unosiła się nigdy nad niczem. Prócz miłości dla matki, wylaniało się żywiej ze spokojnego tła jej uczuć, silne uczucie dla Marji, pierwsze jakim obdarzyła jakąkolwiek istotę. Marzenia jej nie wybiegały po za obręb rzeczywistości i zadowoloną była zupełnie ze swych stosunków. Wrodzonym poczuciem piękna rozoznawała dobro od zła i szanując pierwsze brzydziła się drugim. Wcześniej już swe myśli skierowała na to, że przyszłość jej na jej własnych zamiarach spoczywać będzie. Uczyła się starannie, była wzorem pilności i pracowitości, a chociaż nie miała wielkich zdolności, wytrwałością i pracą, prześcignęła zdolniejsze swe koleżanki. Matka obrała dla niej zawód nauczycielki, a Olga przyjęła tę myśl z tym samym spokojem, z jakim była by się i na wszelką inną zgodziła — ufała matce, nie sprzeciwiając się jej nigdy i oddała się nauce z całą energią i wytrwałością, do jakiej spokojny umysł jej był zdolny.

Tam to w zakładzie kształcącym przyszłe pogromczynie ciemnoty, poznały się Olga z Marją, a choć różne zdaniem, dążnościami, myślami, powierzchownością, strojem nawet, snąc serceni się zrozumiały, i obie niewinne, młode, wesole zawiązały z sobą jedną z owych rzadkich dzisiaj przyjaźni — przyjaźni prawdziwą. Boć to często ludzie nadają miano przyjaźni jakimś przelotnym chwilowym związkom, łączącym ich na chwilę i rwącym się również prędko jak się zawiązały. Marja i Olga nie wiedziały same nawet o tem, że taki święty, taki trwały sojusz przyjaźni łączyć ich będzie przez długie lata a nawet życie całe. Podając przyjaciółce dłoń do pierwszego siostrzanego uścisku Olga czyniła to jak zwykle, z właściwą sobie

dobrocią, tylko serdeczniej trochę, bo Marją polubiła więcej niż innych. Marja przeciwnie, gorącą wyobraźnią obdarzona, unosiła się myślami w krainie fantazji i marzeń, a kochała nie wielu, lecz kochała namiętnie. Do tych wybranych zaliczyła i Olgę, ustroiwszy ją w cudne barwy swych poetycznych illuzij, przylgnęła do niej z całym ogniem gorących i świeżych uczuć młodocianych. Była to jej pierwsza przyjaciółka.

Ojciec Marji, wdowiec, mieszkał w małym miasteczku, a mimo usilnych starań nie mógł się dostać do większego. Chcąc zaś koniecznie dać wyższe wykształcenie córce, postanowił oddać ją do większego miasta. Przebolawszy ciężką chwilę rozstania pocieszał się tem przekonaniem, że jako ojciec pragnący szczęścia swojego dziecięcia, uczynił dla tegoż wszystko co było w jego mocy. Chciał on wychowując jedyne swe dziecię zastąpić mu matkę zupełnie, i zastąpił ją sercem, ale do wychowania wkradło się mnóstwo wad i usterek. Umysł dziewczynki był bystry, temperament żywy i gwałtowny pociągał ją do innych zabawek aniżeli do zwykłych zabawek dziewczęcych. Lubiła konia, szabelkę, ołówek, piłkę, a na ślizgawce śmiałością i zręcznością wszystkim chłopcom imponowała.

Śliczne bo też było dziecię ta mała Marylka; długie złote splety bujnych warkoczów przy ślicznej cerze i błękitnych oczętach czyniły z niej lubego aniołka. Ale w tem małym dziecięciu przebijają się już dziwne jakieś usposobienie. Rzadko bardzo kiedy przyjęła jaki podarek lub zabawkę, a obce dotknięcie i obcy pocałunek tak ją raził, że uciekała zawsze i wymykała nie będąc bynajmniej nieśmiałą, bo rozmawiać z każdym lubiła. Wyrastając z dziecka zmieniała się bardzo. Oczy błękitną barwę straciły, a włosy zciemniały. Odjeżdżając prosiła ojca, by jej pozwolił obciąć te nieznośne jak mówiła warkoczce, bo ciężą jej i zawadzają, ale ojciec oparł się temu stanowczo. Niedawno dopiero przebyła ciężką gorączkę nerwową i tak jej włosy wypadły, że była zmuszoną pozbyć się reszty przez obcięcie ku wielkiemu swemu zadowoleniu. Poznawszy się z Olgą i jej matką, zamieszkała z niemi razem, a pani Solska serdecznie ją polubiła i często

jej uwag i rad swych udzielała, prostując pod niejednym względem zbyt oryginalne jej zapatrywania. Marja nazywała panią Solską najukochańszą mateczką swoją i dziecięcem odpłacała się jej przywiązaniem. Pokój ich cichego życia nagle został zamącony niespodzianą śmiercią dalekiego krewnego pani Solskiej, który w znacznej części materialną pomocą ją zasiłał. Dochody nagle się zmniejszyły i p. Solska ujrzała się bez środków do życia.

Lecz nadto wiele hartu i mocy posiadała ta wątpla na pozór kobieta, by się poddać losowi. Postanowiła mimo ciężkich warunków życia w stolicy nie rozłączać się z córką, i postarała się przez znajomych i przyjaciół swych o kilka studentów, najęła obszerniejsze pomieszkanie i rozpoczęła nową tę praktykę gospodarczą, na której, jak wkrótce się przekonała, wcale nieźle wychodzić poczęła. Pomiedzy chłopakami było dwóch takich, którzy koniecznie korepetycji potrzebowali. Przyjęła więc dwóch starszych studentów, którzy przychodzili codziennie. A dla spokoju i uwagi jeden z nich musiał odbywać swą lekcję w bawialnym pokoju, ponieważ obaj przychodzili równocześnie. Z saloniku wychodziły jedne drzwi do pokoju p. Solskiej, a drugie do pokoiku Marji. Mimo to Marja nigdy żadnego z tych studentów nie widziała i wcale się nimi nie interesowała. Olga wspominała jej nieraz o pięknym blondynku, który jej pisze notatki i najpiękniej wypracowuje rysunki, ale Marja słuchała tego obojętnie, wzruszała ramionami i dziwiła się temu, jak można zajmować się studentem. Pewnego razu wróciła wcześniej jak zwykle do domu, bo uczennica jej wyjechała. Rada była temu, bo czuła się chorą, leniwą, nie swoją jakoś i tak smutno jej było, że siedząc w swym pokoiku mimowoli rzewnymi zalała się łzami. Był to pogodny wieczór listopadowy. Siedziała długo w zadumie, a zmroki wieczorne już cieniem swym otuliły ziemię całą i dzwony odśpiewały „Ave Maria“ wieczorne, a ona zapomniała o całym świecie i utonęła w marzeniach.

W tem przez szparę lekko przyrukniętych drzwi do drugiego pokoju, wpadła do jej samotnej izdebki smuga światła, a wraz z tem światłem jakiś głos miły i

dźwięczny. Drgnęła, podniosła głowę i łyzy oschły w jej oczach. Całą duszą słuchała tych dźwięków melodyjnych. Dreszcze jakieś gorące przebiegły po całym ciele a nieznane jej dotąd nieopisane objęło ją całą wrażenie. Po długim przeciągu czasu przyszła do świadomości rzeczywistego stanu rzeczy. To lekcja — pomyślała sobie, słysząc głos drugi chłopięcy — ale który to być może? Niepodobna, aby ten głos mógł należeć do pięknego blondynka.

I siedziała tak długo jeszcze, pieszcząc swe ucho czarowną melodią, a zdało się jej nawet, że wraz z tym dźwiękiem wpływa jakiś prąd nowy, i przenika całą jej istotę. Księżyc rzucił swe blaski na skroni rozmarzonej dziewczycy, całował zwoje włosów nad czołem, aż splotła dłonie na piersi, uśmiechnęła się do swych marzeń rozkosznych i szepnęła:

— O! gdyby go zobaczyć!

Po chwili wbiegła Olga, miła i wesoła jak zawsze, ujęła za ręce swą przyjaciółkę i spytała, dla czego siedzi tak sama zupełnie, a w dodatku bez światła jak gdyby za karę.

— Mylisz się, Olo! — odpowiedziała Marja poważnie; nigdy jeszcze tak jasno mi w duszy nie było jak teraz, żadne światło ziemskie ni niebieskie z tą jasnością porównać się nie da i żadna noc najciemniejsza pochłonąć jej nie jest w stanie.

Olga spojrzała na nią zdziwiona i poruszyła już ustami chcąc jej odpowiedzieć, ale Marja wstała z kanapki i ścisnęła zimnemi palcami miękkie Olgi rączęta i uśmiechnęła się mówiąc:

— Już chcesz mię moralizować. Olo! nie czyn tego, mnie tak dobrze teraz, tak błogo — nie psuj mi chwili. Ot tak siedziałam, marzyłam, zostanie wspomnienie, a wspomnienie może być ogniwem dla przyszłych chwil równie błogich... o! bo ja będę szczęśliwą — Olo! słyszysz? ja będę szczęśliwą!

— Marylko! co mówisz! nie wyzywaj losu, bo...

— Cicho, Olo, cicho! nie mów nic takiego! to dźwięki fałszywe w mej cudnej harmonii... Słuchaj, a jeślibym nie była szczęśliwą, to zamknę tę jedyną chwilę w pamięci mej, jak owa zaczarowana księżniczka kropelkę rosy w kryształowem pudełku

ukrywała, a był to talizman piękności. Gdy kryształ się rozbił, księżniczka w jednej chwili stała się starą i brzydką, tak i ja, a raczej piękność i świeżość duszy mej — zginie, skoroby mi odebrano wspomnienie tej chwili.

— Chodź Maryniu — rzekła Olga — tve ręce zimne jak lód, tu za chłodno w pokoju, zaraz każę zapalić, chodź do mamy.

— Nic mi nie jest, Olo droga, nic..

— Krew zbiegła się w skroniach i w głowie i w sercu, ręce ostygły, nic to... chodź do mamy... Ale nie wiesz może, że dziś mamy gości. —

— Któż taki?

— Pani Leonowa z Zosią i Władysławem, Walerka, Roman i obaj nasi korepetytorowie.

— Tak — rzekła Marja przeciągle — chodźmy... Zaczekajno Olo... kto uczył dziś w bawialnym pokoju?...

— Karol, on zawsze tu uczy —

— To ten blondyn...

— Ależ nie — odparła Olga, zdziwiona że można tak być nieświadomą, że blondyn nazywa się Sylwerym i że oddawna już ukończył lekcję i pokręcając małego wąsika, rozmawiał z Olgą i z innymi pannami. Jak można było tego nie słyszeć — pomyślała sobie.

Wezwano do herbaty w tej chwili. Pani Solska przedstawiła Marji Sylwerego i Karola. Po herbacie tańczono trochę, i Marja zapanowała nad swem usposobieniem i tańczyła, ale mimo udanej wesołości widać było, że myśl jakaś poważna do głębi ją przenika. Oczy jaśniały niezwykłym blaskiem, policzki płonęły, a ręce wciąż były zimne jak lód.

Karol nie zbliżał się do niej, a nawet wzrokiem nie prześladował. Raz tylko zbiegły się jego źrenice z oczami Marji i tak się poity wejrzeniem miłości, iż długo, długo w niemym zachwycie rozmawiały się dusze, aż Karol spuścił oczy ku ziemi, a Marja zbladła jak płótno.

Zwolna wracały kolory na twarz dziewczęcia, zwolna myśli rozbujane zniżyły się do prozy całego otoczenia, aż całkiem zapanowała nad sobą i mogła być wzorem towarzyskiego zachowania, i to aż do tej

chwili, w której Karol skazany wyrokiem niewieściego trybunału na deklamacją, stanął na środku pokoju i skłoniwszy się wszystkim rozpoczął „Ojca załdumionych“.

Karol był wzrostu miernego. Włosy nosił długie, a był brunetem. Rysy twarzy dziwnie wyraziste, a oczy tak piękne, jakich rzeczywiście nie wiele bywa na świecie. Porywający był wyraz tych źrenic, błyszczących ogniem, dumą, uczuciem i czemś nieokreślonym, co chyba blaskiem genjuszu być może. Nawet białka oczu odbijały jakieś promienie światła, które wychodząc od nich napowrót na twarzy jaśniało niby fosforycznie. Być może iż są lepsi deklamatorowie od niego, być może iż mu brakło scenicznych ruchów i artystycznego sposobu, ale wszelkie możliwe braki zastąpił uczuciem. Słowa poety płynęły mu z ust jak lawa gorąca — zdawało się iż to sam wieszcz tworzy albo rozpowiada swoje przecierpiane bole.

Marja płomienną źrenicą śledziła każdy ruch Karola, każde drgnienie jego twarzy, i nieruchoma jak posąg z twarzą marmurową, bladą i zaciętymi usty siedziała, łowiąc duszą całą każdy dźwięk głosu, który od dziś dał jej poznać niebiańskie zachwyty.

W końcu rozległy się oklaski i szmery pochwalne i wyrazy podzięk, a Karol skłoniwszy się w około, podszedł ku Marji i usiadł na krześle tuż obok stojącym. Rozpoczęła się rozmowa, iście poetyczna, urocza, młodzieńcza. Taka rozmowa — to wylanie się duszy, do jakiego tylko istoty wybrane, wyższym obdarzone umysłem mogą być zdolne. Rozmawiali niedługo, godzinę może, a duchem tak się poznali, jakby ich lata znajomości łączyły. Nagle Karol powstał, skłonił się Marji, pożegnał p. Solskę i Olgę i odszedł nie żegnając się z nikim więcej.

Marja pobladła, i z wielkiem tylko wysileniem na resztki poprzedniej wesołości zdobyć się mogła. Około dwunastej rozeszli się goście, a Marja serdeczniej niż zwykle uściśnęła p. Solskę i Olgę i poszła do swego pokoju.

I znów rozpoczęło się życie — takie jak dawniej na pozór, ale ileż to zmian pod spokojną jego powierz-

chnią się kryło. Niby tak samo było jak dawniej, bo cóż to nadzwyczajnego, że Karol przeciągnął lekcje z Tadzkiem trochę dłużej, a Marja wcześniej wracała niż przedtem. Cóż w tem nadzwyczajnego, że poważny i surowy mentor zmienił miejsce przy stole siadając tak, aby mieć drzwi wchodowe na oku. Gdy Marja wchodziła — powstawał Karol na jej powitanie, a przez czoło mu jakaś krwi fala przepływała niby różowe obłoki. Przeprowadzał ją przez pokój wejrzeniem, aż mu z oczu znikła za ścianą swej komnatki dziewiczej. Prowadził dalej swą lekcją, wykladał z zapalem i otwierał przed okiem chłopięcia wznioślejsze poziomy myśli ludzkiej i kuł to miękkie żelazo na stal hartowną. A lekko mu było i łatwo mówić tak wiele, i nie męczył się wcale wykładem, bo wiedział że tuż za ścianką obok niego prawie, siedzi dziewczę w zadumie i upaja się słowem jego i melodją głosu, nabrzmiałego uczuciem. Za nic w świecie nie byłby wstał od stolika, zanim Marja nie przeszła, a i ona nie zamieniłaby jego milczącego pozdrowienia za anielskie uśmiechy. Zapraszano go nieraz na herbatę — zostawał chętnie, ale nie wiele się zbliżał do Marji i daleko więcej, serdeczniej i poufalej rozmawiał z Olgą, ale ilekroć rzucił wejrzenie na Marję, nie trudno było dostrzedz, co się tam dzieje w tej duszy młodej a burzliwej i namiętnej. Dostrzegła tej niemej, a tak wynownej gry oczu p. Solska, i zatrwożyła się ogromnie; tem więcej, że poznała gwałtowne usposobienie Marji i jej skłonność do egzaltacji. Nie wiedziała jak sobie poradzić w tej mierze, obawiała się wszcząć rozmowę z Marją, aby jej nie rozdrażnić i rozbudzić nieufności ku sobie, postanowiła więc czekać, czy Marja sama nie zwróci się ku niej i nie zapragnie zwierzyć się jej ze swych uczuć. Tymczasem obserwowała ją pilnie i badawczo.

Upłynął miesiąc. Znów księżyc w pełni stanął na niebie, a Marja w zadumie siedziała w swym pokoiku. Wszyscy wyszli na przechadzkę, ona zaś miała u siebie gości a mianowicie swą koleżankę Walerkę, którą dosyć lubiła. Walerja odeszła przed chwilą, a Marja została sama w domu ze służącą tylko, która krzątała się w kuchni.

Serce jej biło, niespokojnie wyglądała przez okno, jakby oczekiwała kogo. I doczekała się. Są przecucia, które nie zwodzą — jest wiara, która siłą swą — pragnienia w czyny zamienia. Za kilka minut stanął przed nią, w jej dziewiczej izdebce, w całym blasku piękności i siły ukochany młodzieniec. Promienie księżycowe podnosiły błądź twarży i fosforyczne blaski migotliwej źrenicy.

— Pozwolisz mi pani usiąść obok siebie? — zapytał metalicznym swym głosem.

— Proszę — szepnęła Marja.

Usiadł, ujął jej rękę, przycisnął do ust namiętnie i utulił w swych dłoniach. Siedzieli długo milcząc i patrząc sobie w oczy, a dusze ich rozmawiały się spojrzeniem i pieściły się i całowały i cieszyły się cudną harmonją uczuć, zbiegających w jedno cudne spojenie dusz wybranych. Czuli jak im krew żywiej krążyła; w dłoniach ich złączonych uściskiem, tętno życia ich drgało namiętnie, a i zimne palce Marylki rozgrzały się w gorącym uścisku.

— Pani! mam panią o coś prosić.

— O cóż? — spytała Marja.

— Proszę, aby mi pani szczerze odpowiedziała na pewne zapytanie, które obecnie uczynić zamierzam.

— Odpowiem panu całkiem otwarcie i szczerze.

— Choćby się pani zapytanie moje dziwnem wydało lub niewłaściwem?

— W każdym razie.

— Więc proszę panią o krótką odpowiedź, byle szczerą — wystarczy tak lub nie.

— Dobrze.

Karol badawczo spojrział na Marję, widać było iż rozważa w myśli, czy postawić owo zapytanie, czy nie, ale to co wyczytał w duszy kochanki, widocznie go ośmieliło, bo odgarnął ręką włosy z bladego czoła i spytał:

— Czy pani mnie kocha?

Tego nie mogła się Marja spodziewać. Ile słyszała i co słyszała o miłości — zawsze mężczyzna wpierw o swoich uczuciach mówił, wyznawał swą miłość, a potem dopiero zapytywał lub prosił o wza-

jemność. Jej zaś postawiono tak jasno sformułowane, takie stanowcze zapytanie. Cóż więc dziwnego, że oblokła się purpurą twarz cała, by zblednie następnie do kredowej białości. Rysy niby zmartwiały, tylko w oczach mignęły zielonawe płomyki, a palce zziębniały i zacisnęły się kurczowo. Czuła i wiedziała, iż kocha go całą potęgą namiętnego swego serca, i to od chwili kiedy po raz pierwszy głos jego przez uchylone drzwi usłyszała. Ale cóż zrobić na razie? powiedzieć tak — a jeśli to wyznanie za złe weźmie i wyszydzi — zaprzeczyć, o nie — zaprzeczyć niepodobna. Więc podniosła pobladłe czoło w górę, i uczuła się tak szczytnem natchnioną objawieniem — objawieniem miłości, iż nie podobna go było sprofanować inną odpowiedzią, jak tylko otwartem swych uczuć wyznaniem.

Uczucie to wyższe było nad wszelkie względy ludzkie, nad formy światowe, nad samą nieśmiałość dziewiczą, i nad zwykły wzgląd niewieściej dumy. Dumna i wyniosła, spojrziała w oczy Karolowi i dobitnie wyrzekła :

— Tak! — —

W jednym i tak małym słowie odbiła się cała namiętność miłości. Znać było w samej sile wymowy, iż takiego wyznania już po raz drugi innemu nie powtórzy.

Karol przycisnął dłoń białą ukochanej do ust swych gorących, różowej krwi fala przemknęła mu przez czoło, pochylił się, szepnął „dziękuję pani“ i wyszedł. Przed udaniem się na spoczynek Marja rzuciła się na szyję p. Solskiej i rozplakała się rzewnie. Próżno ją p. Solska tuliła i pieściła, próżno Olga najtkliwszemi przemawiała wyrazami, biedne dziewczę płakało jak rozżalona dziecina — aż w końcu szepnęło :

— Mateczko! ja go tak kocham!

Pani Solska uśmiechnęła się do niej mile, pocałunkami i pieszczotami utuliła rozplakaną, a potem poczęła rozmawiać z nią chłodniej o przedmiocie tych gwałtownych uniesień, ale Marja na wszystko jedną tylko miała odpowiedź, iż go tak kocha, że umarłaby jeśliby jej tej miłości wzbroniono.

— Dziecko moje drogie, uspokój się, nie egzaltuj

się tak, nie unos się. Mówmy rozsądnie, to chłopiec zbyt młody dla ciebie. Zanim on nauki ukończy i niezależne stanowisko zajmie, ty dawno już za mąż wyjdiesz. Zresztą może teraz przesadzasz trochę w sile uczucia twego. Wyjedziesz do ojca na parę tygodni a tymczasem podziękuje się jemu za lekcje, gdy wrócisz nie będziesz go widywać i zwolna zapomnisz.

— Nigdy, najdroższa mateczko moja! — zawołała Marja gwałtownie, nigdy o nim nie zapomnę i nie chcę zapomnieć. Nie wyjadę nigdzie i proszę cię, nie oddalaj go ztąd, bo umrę jeśli go widzieć nie będę.

Pani Solska przeraziła się gwałtownością mowy wzburzonej dziewczyny i poznała, że nic na razie zrobić się nie da, namówiła ją więc, żeby się położyła i próbowała usnąć, a sama z ciężkiem sercem odeszła do swego pokoju.

Olga została jeszcze z Marją, rozmawiały długo, ponowiły przysięgi przyjaźni i rozstały się nad ranem prawie.

Nazajutrz obudziła się Marja później niż zwykle, wstała i oczyma obrzmiałemi i czerwonymi od płaczu, zmieniona jakaś i nie swoja poszła leniwo na kursa, a i tam także obojętnością swą zwróciła na siebie ogólną uwagę. W podobnem usposobieniu mijały dnie i tygodnie całe. Twarz jej chmurna rozjaśniała się tylko wtedy, kiedy Karol się zbliżył, a był teraz ciągle przy niej, rozmawiali całymi wieczorami ze sobą i wtedy była wesołą, a choć smutną, to łagodną i uprzejmą. Skoro zaś wyniosła jego postać z oczu jej znikwała, milkła i stawała się chmurną i obojętną na wszystko. Olga starała się rozweselić ją, zająć czemkolwiek, ale usiłowania jej okazywały się zwykle bezskutecznemi. Marja nikła prawie w oczach. Pani Solska martwiła się tem bardzo, chciała koniecznie wezwać ojca Marji, lub ją wyprawić do domu, ale wszelkie jej starania rozbijały się o prośby Marji. Niech tak będzie jak jest, mateczko, mówiła pieszcząc ją i całując. Mnie tak najlepiej!

— Dziecię drogie! komu dobrze, ten nie powinien być tak chmurny i smutny. Teraz ni śmiechu

twego, ni piosnki nie słyhać. Umilkła moja wesola ptaszyna, potrzeba koniecznie to zmienić. Tak dłużej być nie może.

— Mateczko! wierz mi! przysięgam ci, że jest mi teraz tak lekko i tak dobrze, że nigdy jeszcze nie bylam tak szczęśliwą. A to, że trochę spowaźniała, to nic dziwnego — trzeba myśleć na serjo o swych obowiązkach i pracować.

Pani Solska ucałowała smętną dziewczeczkę i odeszła zamyślona.

Marja zatopiła się w rozwartych książkach. Czy też czytała? Nie wiele podobno, bo wszyscy profesorowie zauważyli zmianę zaszła w jej usposobieniu. Znikła poprzednia pilność i pracowitość. Nawet bystrość pojęcia znacznie się zmniejszyła. Marja przyjmowała te oznaki zdziwienia, uwagi nawet dosyć obojętnie. Na razie drażniły ją chwilowo, a potem ostygalo wrażenie, wruszała ramionami i mówiła sama do siebie: „to przejdzie!“ —

Pewnego razu jeden z grona profesorów, człowiek głębiej myślący i znakomity psycholog, zajrzał śnać okiem myśliciela do tej duszy burzliwej i zwrócił jej uwagę iż stan jej jest niebezpieczny, grożący zupełną apatią duchową, a lekarstwo na to tylko w jej własnej sile spoczywa.

— Widzę iż pani jesteś przygnębioną czemś, a raczej pochłoniętą jedną myślą, która panią wyłącznie zajmuje, ale to źle. Potrzeba zapanować nad sobą samą. Pani musisz otrząsnąć się z tego letargu, w charakterze pani leży nadto wiele mocy, by nie spróbować walki, a zapewniam panią iż zwyciężysz.

Marja zmieniła się dziwnie na twarzy, policzki pobladły ale żółtą jakąś bladością, w oczach przemknęły zielone odbłyski. Zacięła usta dumnym milczeniem i na serdeczne słowa zacnego człowieka ani podziękii, ani wejrzzenia nawet nie miała.

Karol również się zmienił — lecz niestety, i dla niego ta zmiana korzystną nie była. Nocami całeni błędził po polach rozległych, czasami sam jeden a czasem pociągał innych za sobą. Brodzili po śniegach głębokich i mimo mrozów lekko ubrani, z otwartą

piersią. śnać serce młode tak wrzało tropikowem gorącym iż byli zdrowi.

I tak fatalne jakieś wpływy wywarła na nich ta miłość gorąca, gwałtowna co palącym tchem wionęła na młodociane uczucia.

Jakiż odmienny zupełnie był stosunek między Olgą i Sylwerym. Z dniem każdym rosło ich wzajemne przywiązanie, lecz oni sami nieświadomi byli tego, ani też wyznań nie czynili żadnych. Ciche i spokojne uczucie niosło im codziennie nowe jakieś uciechy, codziennie nowe dowody sympatji. Sylwery umiał zawsze jakiś kwiat świeży wydostać i przynieść go Oldze, a ona stroiła nim czarne warkocze a na noc wyjmowała z włosów i wkładała do flakonika z zimną wodą, by go dłużej przechować. Zawsze powieść jakąś lub poezją wynalazł, która właśnie trafiła do myśli i do usposobienia łagodnej i niewinnej dziewczyny.

Coś dziwnie spokojnego było w tych dwojgu. Pracowali pilnie i zachęcali się nawzajem do pracy. Szczególnie Sylwery oddał się studjom z niezwykłym zapalem. Tak doszło do lata. Zamknięto kursa i Marja wyjechała do rodziny na wieś, a Olga z matką również udały się na kilka tygodni w dalszą podróż.

II.

Zaiste — miłość jest świętym pożarem,
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych,
Aniołów dobrem — Wszehmocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych,
Pobożność duszę w niebiosą porywa,
Ale z miłością, niebo w duszę wpływa.
(*Giaur, tłum. Mick.*)

Pogodny wieczór lipcowy uśmiechał się mieszkańcom ludnej stolicy, którzy znużeni pracą i skwarem całodziennym, spieszyli za miasto, by świeższym powietrzem orzeźwić zmęczone płuca i rozwe-

selić się trochę. Słońce przybierało coraz ciemniejszą barwę, i jakieś purpurowe blaski odbijały się w obfitych strugach światła, płynącego ze stropu niebios ku ziemi. Za miastem wznosiły się szeregi wzgórz malowniczo ugrupowanych. Tam to w niedziele i święta dążyły liczne gromadki spacerujących, tam obierano miejsce na majówki i wycieczki wszelkiego rodzaju. Za to w dnie powszednie nikt tam ani nie zajrzał, było za daleko, mieszkańcy woleli w pobliskich ogródkach zabawiać się ochoczo, a na te wzgórza samotne — czasem się tylko zabłąkał jaki marzyciel, filozof — lub nieszczęśliwy. Ku tym wzgórzom skierowali swe kroki Karol i Marja i rażno weszli na szczyty. Na jednym z wypukłych wierzchołków stanęli. Widok roztaczał się cudowny! U stóp ich leżała rozległa stolica ze swemi kopułami i krzyżami, błyszczącemi do słońca, a z drugiej strony takie błonia rozległe, takie wioski prześliczne z białymi kominami, z których mknęły niebieskawe dymy ku niebu. Zresztą któż zdoła opisać ten urok, jaki owaćdnać musi każdym, kto zdolny odczuć ten czar przyrody, rozlewający się w każdym jej tchnieniu. Tajemniczy związek między przyrodą całą a pojedynczemi jej częstkami, między jej siłą ożywczą, a duchem ożywiający m człowieka, jaśniej występuje i zrozumialej, skoro się ujrzymy sam na sam z przyrodą i wolni od wszelkich ubocznych rozterek. Każdy odczuć musi silne wrażenie, jeśli tylko ma ducha po temu, a ileż silniej odczuć musieli cały majestat wspaniałej piękności ci młodzi, stojący na wzgórzu, a którzy jak mówi poeta „niebo już w duszy przynieśli ze sobą“ — tu w swych sercach bijących. Stali — dłoń w dłoni a wzrok swój kąpali w blaskach purpury płynącej po falach powietrznych, a uchem łowili podzwonne z wież kościelnych i jakieś rozchowy ptaszęce a myślą utonęli w bezbrzeżnem, nieograniczonem, wiecznem szczęściu miłości. —

— Marjo — wyrzekł młodzienc zwróciwszy oczy na twarz kochanki.

Ona zwolna ku niemu wzrok zadumany podniosła, różowe fale czystej krwi rubinowej białą twarz opłynęły i z ust rozchylonych lekko jak tchnienie wiosenne uleciało imię młodzięca :

— Karolu!

Oko w oku, dłoń w dłoni — stali chwil kilka, aż mimowolnym prądem uczuć popchnięci zbliżyli się ku sobie — on ją oplótł silnymi ramionami i na swej piersi namiętnie utulił i pochyliwszy się trochę, gorące usta do jej ust rozchylonych przycisnął, a słońce ostatnim pocałunkiem ich jeszcze pożegnało i znikło!

— Marjo moja! rozstajemy się teraz na długo. Zapomnisz o mnie.

— Nigdy, najdroższy! nie myśl tego nawet i nie przypuszczaj. Jak kwiat słonecznego promienia zapomnieć ani bez niego obejść się nie może, tak ja nie mogłabym żyć bez twojej miłości, bez twego wspomnienia, bez nadziei ujrzenia cię znowu. Ale tyś tak młody, taki wrażliwy — ujrzysz tyle piękniejszych, miłszych i lepszych odemnie, ujrzysz i pokochasz — cóż się ze mną stanie?

— Nie, moje dziecię — rzekł Karol, a choć młody, tak był poważny, że podobne odezwanie się do Marji wcale się śmiesznem nie wydawało, nie zrobię tego nigdy. Pokochałem cię taką jak jesteś i taka właśnie moim pojęciom i memu usposobieniu odpowiada. Tylko cię proszę na wszystko, wierz mi. Żądam tego koniecznie i nie pojmuję, jak może być miłość bez ufności. —

— Powiedz chyba bez wzajemnej ufności.

— Nie, to rzecz znów inna. Kobieta narażona jest na różne pokusy. Skoro się znajdzie w towarzystwie, ten i ów ma prawo się zbliżyć i gładkie słówka kłaść w ucho, a słówka te jak słodka trucizna, najpierw łechcą próżność kobiety, potem rozbudzają jej wyobraźnię, drażnią zmysły a w końcu wślizgają się do serca, i wy.....

— Karolu — przerwała Marja.

— Pozwól mi skończyć — i wytępie się w końcu silniejsze i głębsze uczucie, a niewinna dziewica staje się prózną i zalotną kokietką. W tobie właśnie dostrzegłem pewien rodzaj kokieteterji, lubisz gdy ci nadskakują, bawi cię to i schlebia twojej próżności. Spostrzeżenie to dotknęło mię głęboko, nie chciałbym tego nigdy więcej zobaczyć. Od tej chwili należymy do siebie, od dziś moja Marjo ukochana, kiedyś ze-

zwoliła na tę pierwszą schadzkę naszą samotną, kiedyś zaufała memu honorowi i cześć swą złożyłaś w me ręce, należysz już do mnie na zawsze, a ten pierwszy rozkoszy pocałunek, który nasze usta spoił gorące, jest dla mnie równie świętym, jak ślubna przysięga przy ołtarzu. Dla tego mogę i mam wszelkie prawo wypowiedzieć ci jasno wszystko, co sędzę o naszym wzajemnym stosunku. Żądam i proszę, wierz mi Marjo, wierz święcie i ufaj, bo ja zdradzić cię nie potrafię, przekonasz się sama. Teraz odjeżdżam, długo będziemy zmuszeni żyć zdaleka od siebie. Lata przeminą nim będziemy się mogli połączyć, a na pożegnanie przyrzeknij mi, najdroższa, iż nigdy nie będziesz się starała przypodobać komuś — ani z nudów nawet, ani dla zabawki, bo to uwłacza niewieściej godności i pozbawia kobietę wszelkiego uroku w oczach tych nawet, których zalotnością swą podbić usiłuje.

— Przyrzekam ci Karolu i wierz mi, że starać się będę dotrzymać przyrzeczenia.

— A wierzysz i ufasz mi zupełnie?

— O wierzę! — zawołało dziewczę, i znów połączyli się uściskiem długim i namiętym.

Wieczne mroki ustąpiły już miejsca bladym promieniom księżyca, nim się dostali do domu, a szli pomału i przystawali co chwila. Na jakąś uwagę Marji rzuconą, że za późno już jest i czas wracać, rzekł Karol, że to wieczór pierwszy i ostatni w tym roku tak piękny, nie godzi się go więc skracać, Bóg wie kiedy podobny temu znowu się zdarzy.

Znaleźli się w końcu przed domem.

Karol ucałował rączkę Marji, uściśnął ją i odszedł.

Marja wbiegła szybko do swego pokoiku, łzy płynęły jej po zbladłej twarzy i tak jej było rozkosznie i smutno zarazem, tak anielsko i tak beznadziejnie, że sama sobie nie mogła zdać sprawy z tej sprzeczności uczuć. Wierzyła całym młodem a niezepsutem i niedoświadczonym jeszcze sercem, mimo to wkradły się jakieś cienie przeczuć złowrogich, jakaś tęsknota niepewna, której usunąć ani wytłumaczyć nie mogła.

Marja zwyciężyła w końcu gnębiącą ją apatją i obojętnością. Zabrała się do pracy i w minionym roku

świetne otrzymała rezultaty. I Karol potrosze pracował, a widywali się zawsze w obecności p. Solskiej lub Olgi, a dziś dopiero po raz pierwszy od półtora roku wyszli oboje na samotną przechadzkę. I nic dziwnego; Karol wyjeżdżał zapisać się na uniwersytet jako słuchacz medycyny, a Marią powoływały obowiązki nauczycielki do małego miasteczka. Nic dziwnego że zapragnęli użyć raz zupełnej swobody, że ten wieczór ostatni przed niepewnym jutrem chcieli przepędzić sam na sam, na świadka biorąc przyrodę. Dzisiaj po raz pierwszy wyrzucili etykietalne pan i pani ze swej rozmowy, dziś po raz pierwszy rzucili się sobie w objęcia.

Smutne było na drugi dzień pożegnanie z p. Solską i z ukochaną Olgą, do których przywiązała się Marja serdecznie. Łzy i błogosławieństwa wzięła w upominku na dalszą drogę życia a życia poważnego i pracowitego. Czy usposobienie jej odpowiadało temu zadaniu? Nad tem nikt się nie zastanawiał. Pocziwy ojciec cieszył się że córka ma już niezależne i pewne a poważane stanowisko. Cieszył się również jej świetnem powodzeniem w egzaminach, jej zdolnościami i sympatją, jaką jej powszechnie okazywano. I ona sama cieszyła się, że będzie mieć swoje własne dochody, że będzie mieć niezależne stanowisko, a więcej jeszcze cieszyła się tem, że będzie pracować na polu oświaty. Na wszelkie stosunki krajowe, na pracę nauczycielską, na ustrój całego społeczeństwa. patrzyła przez pryzmat młodzieńczego niedoświadczenia. Zapomniała, albo nie wyobrażała sobie raczej, że ta dziatwa powierzona jej pieczy, to z krwi i kości dzieci ulicy lub nędzy, lub co najmniej dzieci ciemnoty umysłowej. Zapalała się do swej apostołskiej misji szerzenia oświaty i wyobrażała sobie że te młode serduszka to białe karty, jak to czytała w różnych dziełach pedagogicznych, a nie przypuszczała iż wpływy wychowania, a raczej otoczenia i warunków życiowych, niezatartem pismem na tych młodych sercach się wyrwały; że często z wielką mozołą najpierw potrzeba oduczać, a potem dopiero można zwolna zabierać się do nauczania. Marzyła też jadąc do ojca lubo i rozkosznie, a byłaby całkiem

szczęśliwą, gdyby nie owe resztki przeczuć, które błąkały się po jej główce. U ojca miała dni kilka zabawić, a potem udać się na miejsce przeznaczone, by zająć stanowisko nauczycielki.

Olga również oddała się obranemu zawodowi. Mieszkała z matką i pozostała nadal w stolicy. Oprócz zajęć szkolnych miała lekcje prywatne, pracowała po całych dniach; wieczorami czytywała, grała i śpiewała a czasami i chętnie bardzo zajmowała się igłą. Sylwery odwiedzał je często i długo nic nie mówił o swych uczuciach i nadziejach, aż pewnego dnia przyszedł wcześniej niż zwykle i był nadzwyczaj ożywiony i rozmowny. Lecz mimo iż mówił bardzo wiele, widać było że nie wypowiada wszystkiego co czuje, że mu coś ciąży w duszy. Pani Solska wyszła na chwilę z pokoju, dzieci się także rozbiegły, Olga i Sylwery zostali sami. Natychmiast zbliżył się ku niej, ujął jej rękę, która w silnym uścisku trochę zdrząła i rzekł:

— Panno Olgo! Dwa lata mijają odkąd panią poznałem, i przekonałem się, że uczucie które w przeciągu tego czasu wzbudziło się we mnie dla pani, jest tak silne i stałe iż tylko pani jedna jesteś w stanie uszczęśliwić mnie w tem życiu, dlatego proszę panią, racz mi pozwolić starać się otwarcie i jawnie o twą rękę a całym życiem dowiodę, iż byłem jej godnym.

— Wierzę — rzekła Olga, i zezwalam na pańską prośbę tem chętniej, że i ja w ciągu naszej znajomości poznałam pański charakter ze strony tak szlachetnej i poznając pana codziennie lepiej i dokładniej, uczyłam się codziennie więcej cenić pana i.... tu rumieniec opłynął twarzyczkę pochyloną a błyszczące oko okryło się jedwabną, długą rzęsą, nieśmiałość dziewczica zatrzymała wyrazy cisnące się na usta drgające wzruszeniem.

— I co — zapytał Sylwery patrząc z zachwytem w płonąca twarz Olgi, na ten rumieniec czysty jak tchnienie wiosenne.

— I pokochałam pana — wyrzekła podniosłszy spuszczone źrenice.

— Dzięki ci pani za to słowo! Dzięki serdeczne. Teraz spokojny jestem zupełnie o swą przy-

szłość — ale panno Olgo — jeszcze trzy lata pracy przed nami, czy zechcesz czekać tak długo?

Olga uśmiechnęła się mile.

— Dlaczegożby nie? wszak przywiązanie nasze osłodzi nam niejedną przykrą chwilę a zresztą nadzieja doda siły i ukrzepi, nie prawdaż?

— Tak niezaprzeczenie, zresztą tak młodzi jesteście jeszcze, tak niedoświadczeni, a ja chciałbym nabyć wszystkich zasobów wiedzy i doświadczenia w tych trzech latach nowicjatu, ażebym mógł później osłonić panią przed wszystkim, coby na ścieżkę życia naszego jakikolwiek cień rzucić mogło. Zdobędę sobie piękne stanowisko, ażebyśmy materialnych braków znosić nie byli zmuszeni, a poświęcę się zawodowi, który od lat dziecinnych ukochałem, zawodowi gimnazjalnego profesora. Charakter mam stały, a wolę niezłomną, ale wtedy tylko pracować mogę, jeżeli umysł mój w spokojnej zachowuje się równowadze. W początku znajomości naszej, nie śmiałem nic mówić o mych uczuciach, i nie chciałem zresztą, bo sam ich potęgi nie znałem, lecz teraz poznawszy że natura ich czysta i szlachetna, doznawałem przez dłuższy czas niepokoju dziwnie mię dręczącego. Zrazu myślałem iż wtedy dopiero gdy będę człowiekiem jak to mówią „ukończonym,” stanę przed tobą pani! prosząc o szczęście, które dierzysz, w swej dłoni, lecz później myśl tę odrzuciłem, bo niepewność i rozstrój wewnętrzny niepozwołyłyby mi, oddać się pracy umysłowej. Dlatego dziś już zapragnąłem mieć stanowczą odpowiedź pani — otrzymałem taką, jaka uszczęśliwiła i uspokoiła mnie zupełnie, i patrzę w przyszłość pogodną i barwną nadziejami szczęścia.

— I ja tak samo wierzę i jestem spokojną — rzekła Olga, wszak my tak mało żądamy od losu, czyż jest możliwem, abyśmy i tego nie otrzymali, zresztą Bóg dobry, on naszej pracy uczci i naszej..., tu zawahała się... naszej miłości pobłogosławi, ale mama z nami będzie, dobrze panie Sylwery?

— Naturalnie! Zawsze z nami razem i siostra moja biedna u nas znajdzie zaciszny kątek rodzinny, nieprawdaż pani Olgo, ty będziesz siostrą Tereni.

— Tak, będziemy się starać uczynić wszystko, co będzie w naszej mocy, by jej ułatwić zapomnienie przeszłości,

— Jak to dobrze, że ja nie potrzebuję nigdzie wyjeżdżać teraz, i że pani tu pozostaje, będę mógł przecież codziennie zobaczyć cię i orzeźwić się widokiem twych oczu ukochanych.

— O pewnie, że to bardzo dobrze, przyjdiesz pan do nas co wieczór, a będziemy mogli pomówić i zobaczyć się i czasem pouczysz mię pan trochę, bo ten ostatni egzamin, który mię jeszcze czeka taki straszny, a ja umiem tak mało.

— Czyż pani musi go składać?

— Muszę, bo od tego zależy uzyskanie lepszej posady, zresztą cóż mi szkodzi, źle jest ustawać w pół drogi. Zwykłam doprowadzać do skutku swoje plany, jeżeli to tylko jest możliwem.

Na drugi dzień przyszedł Sylwery w południe ubrany po formie, oświadczył się urzędowo p. Solskiej i został przyjęty, a w tydzień później zaproszono szczupłe grono przyjaciół i znajomych, i odbyły się uroczyste zaręczyny. Olga wyglądała prześlicznie. Miała różową suknię, szyjkę pełną i białą odłoniła cokolwiek, a długie czarne warkocze spływały swobodnie na ramiona. Wszyscy składali im życzenia a widocznem było, że wszystkie te życzenia były szczerze i z serca płynące. Bo trudno też było nie życzyć im szczerze. Oboje tacy byli mili, tacy pociągający urodą i wdziękiem obejścia i tem uczuciem, tryskającym z ich źrenic przeźroczych.

— Dziwne że jednakie mieliśmy myśli w wyborze pierścionków — rzekł Sylwery, gdy się znaleźli sami, w oddali trochę.

— Wybierając turkus miałam wierność na myśli, której on jest symbolem — rzekła Olga.

— I ja trochę byłem przesadnym, i dlatego pani turkus ofiarowałem, bo wierzę prawie w tureckie zdanie iż turkus szczęście przynosi.

— Daj Boże — szepnęła Olga.

— Jakato szkoda, że Karola dziś nie ma tu z nami — rzekł Sylwery.

— I Marji.

— Tak, i jej także, chociaż oni tacy dziwni oboje, wątpię aby oni kiedy w życiu mogli być szczęśliwymi. Przecież widocznem jest, że się kochają...

— Mimo to jednak, a może właśnie dlatego nie będą nigdy szczęśliwi. Karol stałym być nie potrafi, i być może że się z nią ożeni, ale taki burzliwy charakter nie potrafi żony uszczęśliwić, ani też w cichem życiu nie zasmakuje.

— Prawda, ale i Marja nie umie się znaleźć w codziennych warunkach życia, zawsze roi sobie jakieś nadzwyczajne i nadto idealne stosunki, a potem idealizuje sobie wszystkich tych co kocha, a nadto poniża obojętnych. Ale zawsze to niepospolite charaktery ich obojga, być może że się jeszcze bardzo pięknie rozwiną i po swojemu będą szczęśliwi.—

— Ale nie tak szczęśliwi jak my?

— O nie! my będziemy najszczęśliwsi ze wszystkich małżeństw pod słońcem.

Na tem skończyła się na dziś samotna pogadanka narzeczonych.

III.

..... Jedna tylko iskra jest w człowieku,
Raz tylko w młodocianym zapala się wieku,
Czasem ją oddech Minerwy roznieci,
Wtenczas nad ciemne plemiona
Powstaje mędrzec, i gwiazda Platona
W długie wieki wieków świeci.
Iskrę tę jeśli duma rozżarzy w pochodnie:
Wtenczas zagrzmie bohater, pnie się do szkarłatu
Przez wielkie cnoty i przez wielkie zbrodnie
I z pastuszego kija robi berło świata,
Albo skinieniem oka stare trony wali.
Czasem tę iskrę oko niebianki zapali...
Wtenczas — trawi się w sobie, świeci sama sobie,
Jako lampa w rzymskim grobie....

(*Dziady, część czwarta.*)

Śnieg leciał wielkimi płatkami i oblepiał się na sukniach i czapkach, na twarzach i włosach przechodniów. Szerokim trotuarem szedł zwolna

młody człowiek i tak się zadumał głęboko, że zapomniał widocznie o mrozie, o zimnie, o tej śnieżnej zawiei i spuściwszy oczy w ziemię postępował prawie machinalnie.

— Karolu! jak się masz? — zagadnął go świeży głos zgrabnego młodzieńca, który spiesznym krokiem umykał, podniosłszy kołnierz od paltota wysoko.

— Dzień dobry — odpowiedział Karol powoli.

— Cóż ty tak dumasz w tej śnieżnicy jak smętny filozof, chodź lepiej ze mną do kościoła. Wanda M. będzie śpiewać dzisiaj po raz pierwszy.

— Nie chce mi się — odmruknął Karol.

— Ale chodź, ręczę ci że słowiczy śpiew ślicznej Wandeczki rozprószy tę ciemną pomrokę, jaką się zwykle osłaniasz, ty myślicielu i badaczu ciemnych stron życia ludzkiego.

— Pójdę, nie mam nic do stracenia.

Poszli, ów gorący wielbiciel głosu panny Wandy spieszył a Karol powstrzymywał go ciągle.

— Spóźnimy się — rzekł, spojrzawszy na zegarek.

— Ależ Stasieczku — czas jeszcze wielki, nie spiesz się tak, zawsze przyjdziemy zawczasie.

— Zawczasie — wyrzekł ów Stasieczkiem nazwany, szkoda jednej nuty nawet utracić.

— Cóż za miłośnik śpiewu z ciebie, kochanku! nie wiedziałem żeś taki zapalony zwolennik muzyki i osób muzycznych, zeszedłogo tygodnia ledwie cię wyciągnąłem na koncert Müllera, a teraz... hm, hm...

Doszli w końcu do kościoła, który był przepełniony publicznością, bo sławna śpiewaczka miała dziś śpiewać, i jedna z uczennic towarzystwa muzycznego, młodziutka szesnastoletnia Wanda M. także po raz pierwszy miała z partją solową wystąpić.

Karol stanął oparłszy się o ławkę, i swoim zwyczajem w głębokiej pograżył się zadumie. Popatrzył po młodych i nie młodych, mniej lub więcej świeżych i pięknych twarzyczkach licznie zebranych kobiet, musnął obojętnem okiem kolegów swych i zdawało się że zupełnie zapomniał o swem otoczeniu.

Przebrzmiało wspaniałe „gloria“ chóru męskiego, przebrzmiał cudny śpiew artystki zagranicznej, cieszą-

cej się sławą europejską, a Karol stał obojętny i zimny, nie słysząc nic prawie.

Nagle rozlały się cudne dźwięki niewieściego głosu po obszernej nawie kościoła, spłynęły kaskadą uroczych tonów opierając się o sklepienia i kolumny i drgały niewysłowioną melodją w powietrzu, wnikając w głębią serc wszystkich obecnych. Na pierwsze dźwięki tego głosu drgnął Karol i twarz nieruchoma nabrała życia i oczy zabłysły, widocznie śpiew ten zrobił na nim niezmierne wrażenie. Ale też ślicznie śpiewała młoda artystka. Była w tym śpiewie modlitwa rzewna, głęboka a czysta jak myśli niepokalane, śnieżysta jak anielskie pienia, niewinna jak pierwszy pacierz dziecięcia. I płynęło w tym głosie uroczym a silnym, po falach powietrznych cudowne, natchnione „Aye Maria,“ a ludzie modlili się tym śpiewem i słuchali wśród ciszy, zapomniawszy o wszystkim na świecie.

Wyszedłszy z kościoła zapytał Karol Stanisława, czy zna pannę Wandę.

— O! znam ją — odpowiedział zapytany, i jeśli zechcesz, to mogę cię do jej domu wprowadzić jako swego przyjaciela.

— Uczynisz mi tem wielką przyjemność — rzekł Karol.

— Prawda, że cudownie śpiewa.

— Nieźle — mruknął Karol niechętnie i ścisnąwszy dłoń przyjaciela, odszedł szybko jakby się dalszych pytań obawiał, a w duszy mu śpiewało „Ave Maria.“

W kilka dni później był Karol w domu panny Wandy. Mieszkała z matką na przedmieściu, a całe urządzenie świadczyło, iż tu jakaś zubożała arystokratka się mieści. Okienka małe, ozdobione były cienkimi jedwabnymi firankami o barwie cokolwiek niepewnej, a olbrzymie zwierciadło stojące w rogu pokoju podostawało plamy z wilgoci i tak niemiłosiernie wykrzywiało rysy patrzących weń, iż zdawało się, jakoby upadłej wielkości podrzeźniać się chciało. —

Pani M. przyjęła Karola uprzejmie, niemniej panna Wanda. Rozmowa przeszła wkrótce na teren artysty-

czny, bo panna Wanda żyła tylko dla sztuki. Grała biegle na fortepianie, i miała nawet cokolwiek talentu twórczego, o czym świadczyły liczne piosnki, przez nią ułożone na fortepian lub do śpiewu. Była przy tem bardzo ładną blondynką. Śliczne miękkie włosy tak jedwabnie otulały kształtną główkę. Cera była przeźroczej białości, zróżowiona lekkim obłoczkim delikatnego rumieńca. Usta pąsowe a takie miłe i nęcące, że patrząc na nie mimowoli przychodziło na myśl pragnienie złożenia na nich serdecznego pocałunku. A oczy! Tych nawet opisać nie podobna. Z barwy niebieskie, a z wyrazu nieokreślone. Raz dziecinnie figlarne, to zalotne, to naiwne, to tęskne i smutne takie że łyzy w nich jak brylanty migotały. A patrzeć też niemi umiała rozmaicie. Szczególnie ładnie jej było do twarzy, jeśli powieki lekko zmrużyła, i rzuciła wejrzenie przeciągłe a potem patrzyła w dal niby odległą z takim uroczym wyrazem naiwności i poważnej myśli zarazem, że każdy musiał uleść czarom takiego spojrzenia. Nie można jednakże było posądzać jej nawet o kokieterję. Była to pewna zalotność róży, gdy pączek swój rozchyła ku słońcu, zalotność niewinna, wrodzona jej usposobieniu tak bogato we wszelkie inne dary przyrody uposażonemu.

— Mamo! pan Karol przyrzekł mi, że jutro przyjdzie do nas wieczorem i przyniesie mi nowy zbiór poezyi Witosława Halka, które tak lubię — zawołała Wandzia radośnie do pani M., gdy ta weszła do pokoju po chwilowej nieobecności.

— Wołałabym ażeby pan Karol przyniósł ci jakie poważne dzieło, niż poczje, i tak żyjesz cała w pieśniach i poezjach.

— Cóżem winna, matuniu, że wszystkie muzy tak się we mnie pokochały, że wszystkie mnie tak pieszczą i psują — zawołała figlarka i spojrzała przeciągłe błękitną żrenicą, i lekko powieki zmrużyła na chwilę, a zwracając się do Karola, rzekła:

— Nie przynos mi pan już poezyi ale proszę o książkę pod tytułem „kuchnia litewska.“ Muszę się uczyć praktycznego życia, ażeby mi nie było jak owej Zosi w „Dziadach,“ by mi nie zaśpiewano:

„Kto nie zaznał goryczy ni razu,
Nie zazna słodyczy w niebie.“

Tak zanuciła uroczo i zaraz rzuciła się matuni na szyję i przeprosiła ją.

— Tak matusiu moja, ja żyć nie mogę bez pieśni, nie gniewaj się na mnie.

Pani M. zajęła się w krótkce jakąś pogadanką ze Stanisławem, a Karol zbliżył się do Wandy.

— Dlaczego pani obrała sobie kościół na miejsce popisu? — zagadnął ją z nienacka.

Śnieżne policzki dziewczęcia oblały się szkarłatem, a oczy rzuciły dumne wejrzenie na śmiałego młodzieńca, który w podobny sposób odezwał się do niej.

— Co pan przez to rozumiesz?

— Zdaje mi się, że pytanie me było jasne, pytałem się pani, dlaczego na miejsce popisu obrałaś kościół, przecież można było wystąpić w pierwszym lepszym koncercie, a nie z domu Bożego robić teatr i miejsce popisu, aby tłum próżniaków zbiegał się i znieważał świątynię, która przecież jest miejscem modlitwy.

— Nie musi być w tem nic złego, kiedy tak się dzieje na całym świecie. Muzyka i śpiew podnoszą uroczystość nabożeństwa.

— Zapewne, ale nie popisy, na które zbierają się ludzie tylko z ciekawości.

— Przecież pani X. także śpiewała. —

— Na miłość boską! przecież pani siebie nie może równać z taką panią X. Cóż dla niej może być świętego lub uroczystego. Ale pani Polka i chrześcianka, pani nie powinnaś była tego uczynić.

— Nie wiedziałam, że pan jesteś takim fanatykiem religijnym. —

— Znów nie chcesz mię pani zrozumieć. Nie powiedziałem wcale, że jestem fanatykiem religijnym, albo że to mnie osobiście zabolalo, ale przypuszczam że pani masz religję w sercu, bo kobieta bez religii byłaby wstrętną, otóż przypuszczając to właśnie że pani jesteś pobożną, nie mogę pojąć jak pani mogłaś popisywać się w kościele. Moznaby tu przyjąć

dwie rzeczy jako fakt, jedną że pani nie pomyślałaś o tem, że znieważasz świątynię czyniąc ją targowiskiem próżności, dowodziłoby to braku myśli i braku rozwagi, ale dałoby się usprawiedliwić wielką młodością pani, drugą i bodaj czy nie pewniejszą o ile panią poznałem, rzecz jest to, że pani przychodziła na myśl niewłaściwość tego postępku, ale próżność zwyciężyła, bo chęć popisu zagłuszyła głos sumienia, powiedz mi pani, które przypuszczenie było słusznem? —

— Żadne — odpowiedziała Wanda.

— Pani nie chesz się przyznać do tego iż myśli jej odgadłem.

— Obrażasz mię pan takim posądzeniem, bo zbyt dumną jestem, by powiedzieć nieprawdę. —

— Azateni jakąż myśl panią powodowała w obraniu kościoła na miejsce popisu? —

— Urodzoną jestem i wychowaną w Krakowie, a zatem pobożność, choć trochę błyskotliwa w zewnętrznych swych oznakach, nie mniej przeto głęboka i szczerą przeszła w najgłębsze tajniki mej duszy. Otóż pierwszą pieśń moją chciałam Bogu złożyć w ofierze, a śpiewając przedwczoraj, modliłam się tak szczerze, iż zdawało mi się że dusza moja unosi się aż tam do stóp Najświętszej Panny, że w obec Niej śpiewam i dla Niej, a ludzie, — ludzie mnie nie zrozumieli i posadzili o pospolitą chętkę popisania się. A to okropne, iż u wstępu już takie przykre czynić muszę doświadczenia.

Gdy wymawiała te słowa, usta jej drgnęły i wykrzywiły się jakąś niezmierną boleścią i gorczyą.

Czy Karol uwierzył tym słowom? Tego i dowodzić nie potrzeba, w duszy mu znowu zadźwiękły natchnione melodje dziewiczej pieśni, przejęły go znowu te czary podziwu i uwielbienia, jakimi drżał wówczas w kościele, gdy z chóru płynęło w powietrze „Ave Maria!“ Nic zatem dziwnego że ujął rękę Wandy, że okrył ją pocałunkami i tulił w swej dłoni i że głosem drżącym ze wzruszenia błagał, by mu przebaczyła.

— Jam cię źle sądził, prawda, i szorstkiem wypowiedzeniem prawdy zrobiłem ci przykrość, ale pani, to i lepiej się stało, bo to dało mi sposobność poznać iż pani jesteś taka, jakąbym widzieć pragnął każdą kobietę, która zasługuje dla zalet umysłu i powierzchowności na prawdziwe uwielbienie. Pani jesteś jedną z takich, jakie radziłyśmy widzieć bez skazy.

— Przebaczam panu — rzekła z prostotą.

— Panno Wando! Na dowód przebaczenia zechciej pani przyrzec, że nie odmówisz mej prośbie.

— Nie wiem, czy spełnienie jej będzie możliwem. —

— Niech pani będzie pewną, że tylko w zakresie możliwości zamknę mą prośbę.

— A więc przyrzekam.

— Zaśpiewaj pani tę samą modlitwę.

Wanda wyszukała nuty, poprosiła panią M., by jej akompaniowała i zaśpiewała pełnym, wspaniałym głosem „Ave Maria.“

Karol wyszedł z tego wieczorku dziwnie wzburzony i nie swój, a na zabicie tego niepokoju, zaproponował Stasiowi, by poszli trochę do knajpy. Poszli a znalazłszy tam liczne a wesołe towarzystwo, szarym rankiem dopiero pomknęli do domu.

W dzień Karol był zły, wykład go nudził, obiad mu nie smakował, a śnieżyca dokuczała. Po obiedzie położył się niby na chwilkę a przespał całe popołudnie, aż wieczorem zerwał się co żywo i pobiegł do księgarni po czeskie poezje i udał się do Wandy. Odtąd powtarzało się to codziennie. Dziewczę polubiło go widocznie, a może i więcej jak polubiło, bo któż zgadnie tajemnicę spoczywającą pod białą skronią dziewczęcia i w jej błękitnej źrenicy, kiedy ta skroń taka gładka i czysta, a źrenica tak siłgarnie pogodna, a jeśliby i błysły w niej żywsze promyki, to dziewczę spuszcza powieki i ciemną rzęsą przysłania zbyt gorące blaski. I nikt prawdy nie wiedział.

A Karol?

Karol uległ pociągającemu urokowi pięknej dziewczyny, a oprzeć się mu nie umiał, czy nie

chciał może. Snać liczył na to, że nie pozwoli opanować się mu bezwzględnie i wyłącznie. Lecz dziwnie był rozdrażniony, a uspokojenia szukał zwykle w gronie wesołych kolegów. Że to niekoniecznie dobrze skutkowało, można było z góry przewidzieć, bo te nieprzespane noce, to trawienie dni całych na upragnionem oczekiwaniu wieczora, to ciągle rozdrażnienie wprowadziło go w taki stan jakiegoś rozdwojenia duchowego, że nie mógł się zająć ani pracą żadną, ani też oddać się poważniejszym studjom. Był często zgryźliwy, ponury, opryskliwy. A na wszelkie zapytania jedną tylko dawał odpowiedź: źle mi jest.

Nadeszła wiosna, ale powaby tej wiecznie młodej czarodziejki wcale nie wpłynęły na korzystną zmianę w usposobieniu Karola. Najcudniejsze wieczory i noce spędzał w knajpach zadusznych albo błąkał się samotnie po pustych górach i błoniach, deptąc rozkoszne kwiecie wiosenne, w zupełnej nieczułości i obojętności na cuda wiosnianych uroków. I Wandę począł coraz więcej zaniedbywać, co raz rzadziej ją odwiedzał, a w końcu postanowił napisać do Marji.

IV.

Są piękne chwile i czyste natchnienia
W życiu człowieka, co lgną do sumienia,
Jak jasne gwiazdy, jak słowa miłości,
Dopokąd człek godzien jeszcze tych piękności.

(*Mohort.*)

Zawód nauczycielski ołowianem brzemieniem ciężył na ramionach zniechęconej Marji. Poznawszy go bliżej, rozpatrzywszy się w żmudnych obowiązkach, poznała iż źle wybrała, lecz duma nie pozwalała się cofnąć, zresztą wierzyła po części, a po części wmaiała w siebie że wierzy w stałość ukochanego Karola, więc czas ten uważała za źle konieczne, ale

przemijające. Postanowiła więc wytrwać lat kilka. Nie brakło jej też rozrywek rozmaitych, ani wielbicieli a nawet konkurentów. Lecz nic jej prawdziwej przyjemności nie sprawiało, a konkurenci odchodzili z niczem.

Wiosna ożywiła ją trochę, bo tkliwe miała usposobienie na wszelkie wpływy przyrody, i więcej pracować poczęła i chętniej, i gdyby nie owe smętne a nieokreślone poczucia na dnie duszy jak męty osiadłe, byłaby prawie swobodną. Lecz któż zdoła opisać jej szczęście, gdy pewnego razu dostała z poczty list ze stolicy a na adresie poznała pismo Karola.

Ucieszona wbiegła do swej komnatki, tuliła list do ust swych, do serca, do oczu, radość jej jak inne uczucia gwałtowna i burzliwa objawiała się coraz nowymi wybuchami uniesienia. W końcu delikatnym nożykiem otworzyła kopertę i przebiegła wzrokiem następujące wyrazy :

„Najdroższa Marylko moja !

Rok cały minął, a myśmy się nie widzieli, ani też nie pisałem do Ciebie, powody które mię do tego skłaniały wyjaśnię Ci skoro się zobaczymy. Ja tak żyć nadal nie mogę jak dotąd żyłem. Człowiek nie stworzony do samotności, pragnę koniecznie mieć tu istotę, któraby żyła dla mnie a ja dla niej wyłącznie, taką istotą może być kobieta a dla mnie Ty jedynie, droga Marylko ! dlatego staraj się koniecznie dostać tu posadę lub przynajmniej w okolicy, bym mógł codziennie a chociażby raz na tydzień Cię widzieć. A tymczasem nim to nastąpi, proszę Cię przyjeźdź tu na kilka dni. Podróż swą upozorować potrafisz, aby, ojciec twój prawdziwego powodu się nie domyślił, a pomówimy o przyszłości obszerniej. Przyjeźdź koniecznie.

Całuję Cię po tysiąc razy i ściskam w myśli.

Twój

K a r o l .“

Jedno tylko zrozumiała Marja z całego listu na razie, że Karol ją kocha, że bez niej żyć nie może, i że ona go zobaczyć musi — teraz, niezadługo już, za

tydzień może, bo ona sobie powód wynajdzie i pojedzie.

Na drugi dzień wprawdzie, gdy pokrzepiła się snem kilkogodzinnym i trzeźwiejszym okiem spojrzała na rzeczywisty stan rzeczy, uderzyło ją dosyć niemiłe to że Karol żądał tajemnicy przed ojcem. I tak cały list ten namiętny, widocznie pod wpływem gwałtownego uczucia pisany, tchnął czemś wzbudzającym nieufność, i znów się zbudziły w niej roje podejrzeń, a raczej przeczuć, które odpędzała od siebie, lecz napróżno, coraz ją obłęgały natrętniej, i powstała walka gwałtowna — rozumu z uczuciem. Lecz uczucie wzięło górę. Wytłumaczyło wszelkie ciemniejsze strony na dobre i w tydzień po otrzymaniu owego listu pojechała już Marja, w celu starania się o posadę, zaopatrzwszy się w liczne listy rekomendacyjne u różnych wpływowych osobistości.

Po długich godzinach podróży — ujrzeli się na koniec i padli sobie w objęcia a nieskończone pocałunki i uściski i gorące słowa miłości przeciągnęły się długo, aż musiał Karol pożegnać swą ukochaną na lube jutrzejsze „do widzenia.“

Na drugi dzień z rana przyszedł Karol dość wczesnie, lecz już Marji nie zastał w domu, bo wyszła by czynić kroki w celu starania się o posadę. Ta nieobecność jednak rozgniewała go, poszedł i błąkał się długo, a zjawił się aż popołudniu. Teraz znów Marja była podrażniona trochę, że tak długo czekać musiała, spodziewała się jakiego usprawiedliwienia, tymczasem Karol milczący był dosyć, a jakaś chmura zawisła mu na czole i nie można jej było rozpędzić. Biedna Marja! nie przeczuwała iż to dlatego Karol chmurny i dziwny, że to godzina, w której zwykł iść do Wandy lub do wesołych kolegów, by tam w ich gronie zagłuszyć gwarną biesiadą głosy szlachetniejszych uczuć i myśli. Gniewał się sam na siebie, że w obecności Marji jest taki, a nie mógł nad swem usposobieniem zapanować. Tak przeszło kilka dni i zbliżyła się wigilja odjazdu Marji, i znów ją Karol uprosił by się udali na samotną przechadzkę, i gdy sam na sam chodzili długo przy blasku gwiazd i księżyca, jakiś pokój spłynął w podrażnione ich dusze, a sto-

sunek ich wzajemny niby wykolejony na chwilę, znów wszedł na tory prawidłowe.

— Dla czegoś byłtak smutny Karolu? zapytała Marja.

— Nie byłem smutny wcale, zresztą ja nigdy smutnym nie jestem, nie umiem być nim nawet.

— Ale widocznem było, że ci coś dolegało.

— Rzeczywiście, wiesz że sam siebie nie poznaję i sam nie wiem co mi jest właściwie, wszędzie mi źle, to jedno co jaśniej mi się rozpoznać daje.

— Dlaczegoż nie pracujesz, nie uczysz się!

— Nie mogę.

— A złożyłeś już jaki egzamin?

— Tak, złożyłem już egzamina z dwóch kursów, ale gdybyś wiedziała jak licho, nie poznałabyś mnie nawet po odpowiedziach. Ja, co tak dalece u'niem zagłębić się w danej kwestji i co tak każdą gałąź wiedzy opracowaną rozumiem i takie mam wytrawne poglądy na wszystko, uzyskałem stopnie nędzne i li-che, a jeśli tak dalej pójdzie, to . . .

— To co?

— Lepiej nie mówmy o tem, a cóż z nami będzie, najdroższa?

— Nie wiedzieć jeszcze, przyobiecano mi posadę tutaj, ale wątpię czy ją otrzymam.

— Marjo! a jeśli nie otrzymasz tej posady, to zawsze tu do mnie przyjedziesz, słyszysz, do mnie! który jestem twym kochankiem, twym narzeczonym, a da Bóg z czasem i twym mężem zostanę, i tu zamieszkasz bym cię mógł widzieć codziennie i czuć żeś moją zupełnie, a wtedy pracować będę inaczej, wtedy zdolności me rozwiną się pod ciepłem twych uścisków czystych i niewinnych. Marjo! teraz, w tej chwili już czuję że'm lepszy i zacniejszy gdym z tobą. Ty czar jakiejś niewinności niesiesz ze sobą, on mię podniesie. Marjo! upadłem. Piłem do sytu z czary trujących napojów, dlatego tak źle mi jest i nie swoj-

sko, bo natura moja innych związków potrzebuje a nie tych przelotnych, co goryczą rozlewają się w ustach. Marjo! ty jedna wyratować mię możesz, bądź moją dźwignią, bądź moją zupełnie! Zostań tu ze mną, pracą naszą oboje nas wyżywię i będę cię czcił jako zbawczego anioła i ubóstwiał jako kobietę i kochał jako żonę! Marjo! zostań tu! zostań ze mną! Albo przyrzecz przynajmniej, że przyjdiesz gdy cię wezwę. Odpowiedz, najdroższa!

Lecz Marja nie odpowiadała. Jedną ręką o żelazną balustradę mostu się oparła a drugą zakryła oczy i twarz pochylila ku srebrzącym się falom szerokiej rzeki, u stóp ich płynącej! Wychowana dziwnie przez ojca czytała wiele, marzyła wiele, znała świat z książek i opisów, ale była przytem cnotliwą, i to cnotliwą z zasady. Nie mogła rozpoznać w głosie kochanka drgającej prośby, która rzeczywiście z samego dna duszy płynęła. Mogła się stać gwiazdą jego życia, mogła mu poświęceniem swem przyszłość zgotować i sobie zarazem, a jednak, na takiej wyżynie stanąć nie potrafiła i gdy Karol miłośnie ją ujął i dłoń jej oddalił od oczu a główkę złożył na swej piersi i w oczy spojrział a raz jeszcze wyrzekł namiętnie i błagalnie:

— Marjo! tyś moja, ty tu zostaniesz, prawda? powiedźże, Marjo! Marylko!

Marja szepnęła z cicha:

— To niepodobna.

— Dlaczego, jeśli zechcesz?

— Mój ojciec.

— Ojciec przebaczy.

— Ale świat nie przebaczy!

— A! o świat ci chodzi, ten może nam być całkiem obojętnym, my oboje światem będziemy dla siebie.

— Nie, Karolu! to niepodobne! Ty sam przescyliłbyś się mną i odepchnąłbyś od siebie, a zresztą nie mogę ciebie, biednego studenta, narażać na to, abys teraz już brał obowiązki na siebie, nie mógłbyś swobodnie pracować i ręczę ci, żebyś później żałował, żeś się niepotrzebnym obarczył cięża-

rem. Ja tu muszę myśleć rozsądnie za nas oboje i widzę, że najgorsze byłyby skutki.

— Także to mnie kochasz? —

— Karolu! kocham cię nad życie, jak możesz mówić coś podobnego! — i ucałowała go namiętnie i przytuliła się czulej do niego.

— Nie wierzysz mi chyba!

— Wierzę ci, Karolu, ale tyś tak młody, kto wie co się stać może. Nie chcę nigdy stanąć ci w drodze do szczęścia.

— I nie zostaniesz?

— Nie mogę.

— Więc przyrzeknij przynajmniej, że później przyjedziesz.

— I to jest stanowczo niemożliwem.

— Ha! — jęknął Karol, i brwi ciemne zbiegły się nad oczami, w których migały iskry gniewu i rozpacz. Puścił Marję z swych objęć, ręką włosów poprawił i pochylił się nad wodnymi falami, w których pływały księżycy i migotały gwiazdeczki, i po upływie kilku minut, podał ramię swej towarzyszce i rzekł chłodno:

— Chodźmy, już późno, odprowadzę cię do domu.

Szli milcząc, Marji łez kilka nieotartych zbiegło po bladej twarzy, lecz Karol ich nie widział, czy widzieć nie chciał, dość że ani słówkiem się nie odezwał, aż przed domem zapytał:

— Kiedyż odjeżdżasz?

— Jutro w południe!

— Do widzenia, będę się starał przyjść do ciebie, a przynajmniej na dworzec.

Podał jej rękę na dobranoc, lecz uścisku Marji nie odwzajemnił — skłonił się i odszedł. Była to ważna chwila w ich życiu, niestety! miasto szczęścia przyniosła im nędzę całego życia. Karol wiele żądał od Marji, lecz na mocy miłości swej i tego nieopisanego przywiązania, jakie czuł ku niej; miał prawo żądać poświęcenia mu dumy i sławy, która w rzeczywistości jest marą, cieniem bezcielesnym tylko. Czuł takie wzniosłe prądy w swej duszy, taką moc i potęgę umysłu i niepospolitych zdolności, lecz był także człowiekiem

o silnych i gorących namiętnościach i chciał się ochronić sam przed sobą w tkliwe objęcia czystej i uczciwej kobiety. Wrodzona prawość charakteru byłaby mu wystarczającą rękojmią, iż ufności szlachetnie w nim położonej nie zawiedzie. Lecz Marja do takiego poświęcenia, a raczej do takiego zapomnienia o sobie nie była zdolną. Choć namiętna i kochająca go prawdziwie, przecież za mało była doświadczoną, by głos prawdy od fałszu rozróżnić. Myślała że to słowa uwodziciela, a nawet od tego, którego tak kochała, nie chciała być uwiedzioną, bo była cnotliwą. Przy tem miała takie wyobrażenie o Karolu, że on tylko uczciwe kobiety cenić może, obawiała się więc, że nią wzgardzi, skoro u niej najmniejsze zboczenie zobaczy od surowych zasad cnotliwości, a w trwodze aby go nie utracić, chciała wybrać jak najlepszą drogę, by go utrwalić w przywiązaniu ku sobie, a tymczasem wybrała najgorszą.

Pożegnanie było niby trochę czulsze jak wczoraj, ale zawsze znikła swoboda i serdeczność, a natomiast pojawiła się jakaś etykieta, której nigdy między nimi nie było.

V.

Gdy twym zamysłem wszystko idzie sprzecznie,
Z sobą, ze światem wciąż żyjesz w rozdwoju,
A walcząc mężnie walczysz bezskutecznie —
Nie mogąc duszy wywalczyć spokoju.
Nie trać ufności, na tej łez dolinie
I to przeminie! —

Nad ziemią zawisły czarne obsłony jesiennej nocy, zimnej, dżdżystej i ponurej a tak ciemnej, że na trzy kroki nic rozróżnić nie można było. Wicher pędził tumany mgły gęstej i osiadającej kroplami niby deszczu, a ulice miasteczka N. puste były zupełnie. Tu i owdzie widać było światelko z okna, tu i owdzie mignęła latarnia spóźnionego przechodnia i znów cicho i pusto i smutno na ulicach. Jeden dom tylko oświetlony był jasno, a ze wszystkich okien

pływały strugi światła i dźwięki muzyki. Był to pierwszy bal w tym sezonie.

Sala obszerna przystrojona była pięknie i należycie oświetlona, wzrok gubił się w powodzi aksamitów, jedwabiów i koronek, a oczy ożywionych danserek świeciły jak gwiazdy życiem i wesołością.

Marja miała suknię białą zupełnie, u gorsu pąsową kamelię. Tańczyła przesłicznie, płynęła niby, lekko i zwinnie a tak jakoś poważnie zarazem. Jak mgła powiewna mknęła po gładkiej posadzce, a każdy ruch jej, każde przegięcie kształtnej kibici było tak miękkie i urocze, że zachwyceni tancerze prześcigali się w okazywaniu jej grzeczności.

A cóż Marja?

Marja zimną była i obojętną na wszystko. Usta jej okrążył wyraz pogardy a oko błyskało zielonawo. Mówiła wiele, lecz wszystko co mówiła, taką tchnęło goryczą, że dziwnego każdy doznawał wrażenia, patrząc na tę młodą istotę a tak przedwcześnie gorzko usposobioną.

Aż zniechęcili się panowie, co lekkiej a wesołej szukali zabawy, jeden po drugim usuwali się od niej i została sama, ziewając po za wachlarzem. Wtedy zbliżył się do niej człowiek niemłody już, poważny i miły, a usiadłszy obok niej, zapytał:

— Czy wolno usiąść obok pani?

— Proszę — odpowiedziała.

— Dziękuję pani, ale obawiam się potrochę, że wkrótce umknę jak owi bohaterowie, których pani tak zwycięzko odpłoszyłaś od siebie.

— Pana to przecież nigdy spotkać nie może, raz dla tego iż niedopuszczyłbyś sam do takiej smutnej katastrofy a powtóre, towarzystwo pana jest tak miłym, że każdy wolałby raczej starać się je pozyskać, aniżeli pozbywać się go.

— Pani zbyt na mnie łaskawa, ale dlaczegoż tamci tak nieodwołalnie na banicją skazani?

— Nudzili mnie.

— A to wyborne, przecież na balu, zdaje mi się, nie nudzą się panie nigdy, jeśli tylko taki rój je otacza, w przeciwnym razie prędzejby nudzić się można.

— Panie! ich rozmowa....

— Rozmowa jak zwykle na balu, lekka i wesoła.

— Prawda, ale mnie to nudzi, zresztą ja sama nie wiem co by mię zajęło — zaśmiała się głucho jakos, bezdźwięcznie.

Otóż teraz rozumiem, pani sama sobie zdać sprawy nie umie ze swego usposobienia. Hm, hm, to źle. —

— O źle — szepnęła Marja z westchnieniem.

— Ażeby to źle usunąć, potrzebaby najpierw zbadać, gdzie leży przyczyna, a poznawszy takową stanowczo przeciw niej działać!

Marja uśmiechnęła się z goryczą.

— O tu leży przyczyna — rzekła wskazując na serce.

— A to znów rzecz inna, czy pani doznała jakiego zawodu lub rozczarowania?

— Nie.

— Pokochałaś pani bez wzajemności?

— Nie.

— Narzeczony pani umarł?

— I to nie.

— Teraz już nic nie rozumiem.

— Spróbuję panu wyjaśnić, bo dziś po raz pierwszy czuję konieczną potrzebę ulgi, a przyjaźń pańska jest dostateczną rękojmią, iż pan zaufania mego nie nadużyjesz. Od dawna już mam narzeczonego, kocham go i on mnie również, a przecież jakieś zwątpienie, jakieś dziwne przeczucia mną szarpią i oprzeć się im nie mogę, ciągle nowe jakieś budzą się we mnie niepokoje, i nic mnie nie zajmuje, nic mnie nie cieszy i niczem się rozerwać nie mogę.

— Kto jest narzeczonym pani.

— Karol N., słuchacz medycyny.

— Na którym roku?

— Na drugim.

— Dopiero? hm, droga jeszcze daleka, pani, miałbym tu inną i pod każdym względem lepszą dla pani propozycją. Profesor G. z Krakowa prosił mnie,

bym za nim rzekł dobre słowo. Miał być sam dzisiaj ale nie mógł, oto depesza, którą dostałem od niego.

Z temi słowy podał jej telegram.

Marja przebiegła okiem następujące wyrazy: „Być nie mogę, przypominam mą prośbę i łączę ucałowanie rączek p. M. a panu wyrazy poważania. Marjan.”

Zaśmiała się znowu a jeszcze smutniej niż pierwszej.

— Cóż pani na to ?

— Nic.

— Jakto nic ?

— Bo cóż mogę innego powiedzieć, nie znam tego pana prawie, widziałam go ledwie trzy razy, nie zrobił na mnie żadnego wrażenia prawie go sobie nie przypominam, a zresztą ja już wybrałam, cofnąć się nie mogę.

— Panno Marjo ! pozwól mi staremu przyjacielowi rzec słówko przestrogi, obserwuję cię od dłuższego czasu i zauważyłem, że pani się znajduje na śliskiej drodze. Usłuchaj pani rady serdecznego i życzliwego przyjaciela. ratuj się sama, bo zbliżasz się ku przepaści.

— Panie — zawołała Marja — panie ! to byłoby okropne !

— Już jest prawie okropnem, dziś przypuszczam, że masz pani lat 20, tak ?

— Dwadzieścia jeden minęło....

— Tem gorzej, otóż pomyśl pani tylko. Zawodu swego nie lubisz i z niechęcią swą nawet się nie kryjesz, a do niczego innego nie jesteś uzdolnioną, co będzie, jeśli cię twój narzeczony zawiedzie, jeśli nie dotrzyma słowa a młodość twa minie i zwiędnie twarz od zgryzoty. Marjo ! pomyśl tylko, jaki los cię czeka na przyszłość, na starość ?

— Unrę, odbiorę sobie życie.

— Nie pani, nie zrobisz tego, twój charakter do tego się nie nadaje, znam cię lepiej niż ty sama siebie, będziesz żyć i wlec jarzmo tve, narzekając i męcząc się okropnie.

Marja zbladła niezmiernie, aż usta zbieleły i palce się zacisnęły kurczowo.

— Jeszcze jedno ci powiem, straciłaś a raczej stracisz religią, to źle, religia w życiu kobiety wielką jest dźwignią, podpora i pociechą, dalej, nie pracujesz należycie, nie kształcisz się w żadnej gałęzi wiedzy, ani też w kierunku praktycznym. Ta niewiara, rozlewająca się goryczą w duszy, dziwnie cię nastraja. Twierdzisz, że tak kochasz owego młodzieńca, dla czegoż mu nie wierzysz, albo on ciebie nie kocha, albo ty sama się łudzisz co do rodzaju uczucia twego ku niemu. Jedno złe i drugie. A przy tem widocznie pani cierpisz i możesz dojść do niewiary i zwątpienia we wszystko, a byłoby to okropnem w twem położeniu. W tym wieku nudzić się ciągle i nie bawić się z ludźmi wesoło, to zgroza — ja stary już jestem, a przecież ochoczo się jeszcze umiem rozerwać i mile pogwarzyć. U pani zaś od dawna nie widziałem swobodnego uśmiechu, ale jakieś ironiczne skrzywienie. Wesołość twa także jakaś dzika i namiętna a zawsze nie szczerą. Przyznam się pani, że widok to przykry, inną byłaś pani przed pięciu laty, a dziś, dziś ni śladu z tych pięknych zalet serca i umysłu, któremi się wówczas odznaczałaś. Bolało mnie to bardzo i rad jestem że dziś, choć w miejscu nie bardzo stosownem powiedziałem ci to otwarcie.

Marja wzrok utkwiała w posadzce a potem spojrziała na swego przyjaciela i rzekła :

— Dziękuję panu, będę się starała pójść za jego radą o ile będę mogła, byle tylko pan nie chciał.... tu zamilkła.

— Bylem panią nie nudził — rzekł.

— O nie, byle pan nie chciał nigdy już ani wspominać o tym panu z Krakowa, odpisz mu pan co chcesz.

— I to już stanowczo ?

— Tak panie, inną być nie umiem, tylko stanowczą w mych odpowiedziach.

Przez kilka tygodni po owej zabawie, Marja starała się trochę inaczej postępować, pracowała wiele, rozmawiała uprzejmie ze wszystkimi, wstępowała codziennie do kościoła, modliła się klęcząc i poszła do spowiedzi.

Toż znowu spotkawszy swego przyjaciela, spytała:

— I cóż? kontent pan ze mnie?

— Dotychczas bardzo, ale aby to długo trwało, proszę też przyjąć ukłony od pana G.

Marja zmarszczyła czoło niechętnie, ale nic nie odpowiedziała.

Raz została sama w domu i nadszedł jej gorący wielbiciel, człowiek młody, uczciwy, rozumny, na pięknem stanowisku i majątny. Wzruszony był bardzo, i wkrótce wynurzył otwarcie swe myśli i prosił ją o rękę.

Zdumiona Marja cofnęła się o dwa kroki i krótko, acz grzecznie podziękowała mu za ten „zaszczyt“, jak się wyraziła. Powiedziała że go bardzo poważa, ale, (tu zawahała się) ale postanowiła, nie wychodzić wcale za mąż.

Młody człowiek dumny snąc i nie przywykły do kosztów, zaczerwienił się a później zbladł, przeprosił ją, że może jej sprawił nieprzyjemność swem oświadczeniem, ale prosił żeby mu przebaczyła, i żeby zapomniała o tem, tak jak on będzie się starał zapomnieć.

Skłonił się chłodno i wyszedł.

Po raz drugi odepchnęła Marja przyszłość pewną i miłą od siebie.

Wkrótce znów od trzeciego otrzymała list, a był to wdowiec z trojgiem drobnych dzieci, prosił by im matką być chciała a będzie aniołem, niosącym szczęście sierotom i ukochaną żoną uwielbiającego ją męża.

Dawno niewidziany gość na jej twarzy się pojawił, były to łzy gorące, które ściśnionemu sercu ulżyły. Odpowiedź swą zredagowała łagodnie i przyjaźnie, lecz odmówiła.

Poszła ku zwierciadłu, stanęła i patrząc na odbicie swe w zwierciadle pomyślała:

— Co też ich tak pociąga ku mnie, przecież nie jestem ładną i nie wesołą, nie miłą.

I rzeczywiście, Marja wcale ładną nie była. Czoło miała wyniosłe, nos niski w nasadzie a raptem się podnoszący, twarz pełną, usta dolne wysunięte a po obu stronach ust głębokie wyżłobienie, idące od nosa ku ustom a cechujące stałość charakteru. Usta

zaciskały się zwykle złośliwie a jeśli była smutną lub zamyśloną, to wyglądała zawsze na złą. Oczy tylko dość były ładne, zmienne w wyrazie swym i barwie. Całość jednak czasami bardzo ujmująco wyglądała, szczególnie gdy była wesołą. A coś było w tej twarzy, co pociągało ku niej i jeśli tylko chciała być miłą i uprzejmą, to jednała sobie wszystkich, szturmem zdobywała serca, serca starych i młodych a nawet i kobiet, co rzadszem bywa. Kobiety rzadko przebaczą jakąkolwiek wyższość drugim, a Marja wzbudzała wielkie zajęcie, ilekroć wystąpiła na szerszej widowni.

Stała długo przed zwierciadłem i myślała, co to będzie ?

I znów popłynęły dnie ciche i bezbarwne a Marja krzepiła się jak mogła i chwilami zdawało się jej, że jej lepiej rzeczywiście. Od Karola jeden list tylko dostała i to w dwa miesiące po widzeniu się z nim. Pisał gorąco, serdecznie i prosił o to, aby zwalczyła przesady i przybyła do stolicy. „Nie wiesz jak się męczę bez ciebie,“ pisał jej, „dnie mi się wloką długie jak wieczność, błędę po ulicach i w sukniach przechodniów upatruję podobieństwo, i gonię nieraz za taką sukienką i łudzę sam siebie, że to ty w niej idziesz, najdroższa! Marjo! ty będziesz mi wszystkiem, życiem mojem! Wszak przyjedziesz? Czekam odpowiedzi twej, jedyna moja.“

I odpowiedziała mu Marja, a odpowiedziała, że obecnie połączeni są duchowo jak aniołowie, że ona o nim tylko marzy i kocha go serdecznie, ale prośby jego spełnić nie może.

Na to zamilkł Karol, a być może, że i to jej niespokoju przyczyniało, że o nic nie pisał. A zresztą mimo najświętszych zasad cnoty postanowienia takie nie mogą przychodzić bez walki. —

VI.

Bo i cóż to jest młodzieniec?
Istność senna, wietrzna, płocha.
Jutro rzuci co dziś kocha;
Dzikich marzeń potępieniec.

— **W**iwat Adolf!
— Niech żyje!

- A niech będzie wesół!
- Wiwat nasz śpiewak!
- Dolku! czegoś tak smutny?
- On w żałobie.
- Po Malwinie.
- Po Julce.
- Dajcie mu spokój!

— Takie i tym podobne głosy odzywały się wśród licznie zebranego grona młodych ludzi w jednej z lepszych kawiarni we Wiedniu. Byli to po większej części akademicy a kilku z nich ze swemi kochankami, czyli jak się to nazywało w akademickim języku ze swemi dziewczętami.

Takie dziewczę, często ładne i rozumne, wykształcone nawet, robi znajomość z akademikiem i pokochawszy go, oddaje mu się duszą i ciałem, nie mając żadnych pretensyi do niego. Myśl o honorze albo o ożenieniu, ani jej przez głowę nie przejdzie, a bywa przy tem na swój sposób uczciwą, wybranemu kochankowi święcie dochowuje wierności, aż gdy mu się sprzykrzy i on sam zerwie stosunek. Wtedy i ona szuka pociechy gdzie indziej, a nie umiera wcale na złamane serce i tym podobne sentymenta. Wieczory im schodzą wesoło, bawią się, śpiewają, tańczą a humor mają złoty. Dewizą ich i hasłem „użycie.“ Wyczerpać aż do dna wszystkie rozkosze, jakie życie ofiarować może a potem, e kto tam myśli co potem, jakoś być musi.

- Szczęście to chwila — twierdzi jeden.
- Byle dzisiaj — woła drugi.
- Co tam jutro — odzywa się trzeci.
- Wiwat nasze dziewczęta — konkluduje czwarty.

Dyskusja zamknięta i znów płyną tony muzyki, i szepty zakochanych i melodyjne śmiechy dziewcząt i rozmowy akademików, aż im lampy pogasną i dreszcze niewyspania przebiegną po ciele, wtedy wymykają się szybko jeden po drugim lub razem wszyscy i spieszą na parę godzin odpoczynku.

Toż i nasze towarzystwo nie próżnowało. Adolf przyparty do muru, musiał się przyznać, dlaczego jest smutnym. Był to chłopak lat 25, piękny, wesoły, miły, posiadający wszelkie zalety, jednające mu ogólną sympatją. Powstał, ujął kielich, kazał weni wlać wina i wszystkim współbiesiadnikom napełnić kieliszki i rzekł:

— Koledzy i wy miłe panie, posłuchajcie! Na czole mem chmura zawisła, sądzicie że to smutek, lecz twierdzenie to mylne, to powaga tylko, to cień głębszej myśli, jaka mi w mózgu nurtuje. Wczoraj Zosia moja powiła mi syna...

— Hurra! — krzyknęli wszyscy.

— Pozwólcie — mówił dalej, dziś chciałem być u niej, lecz matce uroiło się coś w głowie, że na mnie się pogniewała i bez ceremonij zamknęła mi drzwi przed nosem, obsypując mię gradem przekleństw i wyrzutów, a uczułem że te wyrzuty były słuszne. To też jakkolwiek w zasadzie przeciwny jestem małżeństwu w ogóle, postanowiłem wbrew swym własnym zasadom ożenić się! I wnoszę zdrowie mego syna i Zosi, mojej przyszłej ukochanej małżonki!

— Hurra! Niech żyje! oboje niech żyją — i w mgnieniu oka wypróżniono kieliszki, rzucono się ku Adolfowi, ściskali go koledzy a i piękne dziewczęta nie były ostatniemi w okazywaniu najwyższych oznak sympatii i uznania.

Karol wesoły przedtem i mowny schmurzył się jakoś, a oczy błysnęły gniewnie. Pochylił się ku swemu dziewczęciu, całował je namiętnie, ssał niby rozkosz z jej ust pąsowych, lecz w tych pocałunkach prędzej złość i nienawiść się przebijała niż uczucie. Wpatrywał się w czarne jej oczy, tulił do ust wonne splety czarnych, miękkich warkoczów, a w oczach migało szyderstwo, płonął gniew tłumiony i dzikie jakieś myśli wirowały pod bladem czołem.

Dziewczę upojone winem i słowami miłości i żarem tych pocałunków, tuliło się czule do niego, kto wie co myślało? Może przed jej oczami mignęła różowa gołębica niosąca oliwną różczkę nadziei; może myślała że Karol... Lecz Karol dojrzał tych myśli, co się jeszcze nie urodziły prawie i chcąc je stłumić w rozkwicie, rzekł:

— Heroizm twój, drogi Adolffie, godzien wszelkiego uznania, bo odważasz się brać tak ciężkie jarzmo na swoje barki, lecz z drugiej strony popełniasz odstępstwo od zasad, a dzisiaj wszelkie warunki społecznego ustroju wymagają zniesienia tej dziwacznej instytucji. Czyż pojmujesz że stajesz się niewolnikiem kobiety, tracisz swobodę działania, przykuwasz się jak galernik do łańcucha i gdzie krokiem się postąpisz, za tobą już wlecze się żona i zgraja głodnych dzieci. Toż ty już nic, zero zupełne w społeczeństwie, tylko wyrobnik dla wyżywienia rodziny.

— Ja to biorę inaczej — rzekł Adolf spokojnie i lękam się nawet trochę, czy godnie swym obowiązkom odpowiem, bo dziewczyna która mnie tak ukochała, że moją wolę nad wszystko przeniosła, która jest matką mego dziecka, mego syna, którego nie widziałem jeszcze a już kocham, ta dziewczyna warta, bym jej dał pierwsze miejsce u mego domowego ogniska. Prawdą jest, że ja świat jeszcze widzieć muszę, lecz ożenię się pierwszej, zostawię ją na rok cały samą przy matce, a sam pojedę trochę, a z konieczności podróżować muszę. Po roku zaś powrócę. A zresztą nie myślę wcale prowadzić koczującego życia na przyszłość, a tak znów bez rodziny człowiek przecież istnieć nie może.

Karol westchnął i rzekł z cicha:

— Podobnie i ja myślałem, minęło, głupstwo... a potem dodał głośniejszym głosem:

— Więc zdrowie twych prawnuków, Adolffie.

I znów kielich po kielichu i szklanek po szklance wychylano, humor powrócił lekki jak zwykle. Dziewczęta mimowoli marzyły o niespodzianem ożenieniu Adolfa, a każda mimowoli zazdrościła pięknej Zofii jej losu.

Nadobna Charlotta pobladała po owej odezwie

Karola, odsunęła się od niego, obojętniej przyjmowała pieśczęty a czarne oko niby mgłą się osnuło. Znać było boleść i poniżenie na miłej twarzyczce. ach! ona tak go kochała.

Karol zaś coraz był weselszy i rozzywić się starał ją, mówiąc:

— Słuchaj, bądź ty przynajmniej wesołą, bo miałem już wiele kochanek, a wszystkie Polki płakały przezemnie. Wy sobie wszystkie roicie, że ja jestem jakimś ideałem, doskonałością, tymczasem ja do ideału wcale niepodobny. Nie jestem niczem — ot próżniak, niedołęga, nic więcej. Cóż płaczesz? to źle, dopiero trzecia Wiedeńka przezemnie płacze, inne się śmiały i odpędzały mnie od siebie, gdy mnie lepiej poznały. Nie płacz! kupię ci jutro ten kapelusik — widziałaś ten ze strzałką....

— Karolu! — i głośnym wybuchnęła płaczem, o Boże! Boże!

— No co ta dziewczyna chce u djabła — krzyknął Karol — zaczyna mię niecierpliwic. Ja komedji nie znoszę! Siedź cicho, albo....

— Karolu! co mówisz — przerwał mu Adolf, ona jest rozdrażniona, zapominasz się.

Biedne dziewczę płakało gwałtownie, a czułe słowa towarzyszek drażniły ją jeszcze więcej. Karol pochylił się ku niej i rzekł:

— No chodź, orzeźwisz się na świeżem powietrzu, odprowadzę cię do domu.

I chciał ją ująć za rękę, lecz przestraszona dziewczyna odskoczyła od niego i krzyknęła:

— Za nic w świecie nie pójdę z panem, między nami wszystko skończone — i zwróciwszy się do Adolfa, rzekła:

— Bądź pan tak dobry, odprowadź mię do domu.

— Służę pani — rzekł Adolf, i wyszli wśród ciszy przerywanej jedynie śmiechem Karola, który zawołał szyderczo:

— Winszuję ci Dolku zaufania, niezadługo nabierasz więcej pupilek, to początek dopiero.

Niezadługo rozeszli się wszyscy do domów swych a Karol z jednej strony kontent był już z tego

zerwania, bo się mu już sprzykrzyła tkliwość Charlotty, a z drugiej znów strony wolałby być, żeby to się stało w inny sposób, bo zawsze to przykre uczucie, jeśli się jest przeświadczonym, że się komuś wyrządziło krzywdę. Łzy pokrzywdzonych, to jakoś ciężko spadają na serce krzywdziciela, a Karol choć zagrzął głęboko w różnorodnych grzechach i w rozpucie, szlachetnych instynktów z duszy swej całkiem nie zdołał wypłenić i one jeszcze w nim żyły. Niezadowolony i znużony śmiertelnie rzucił się na łóżko, powieki snem się skleiły i słońko już się zbliżało do południa. kiedy oziębłą głowę podniósł z poduszki. —

VII.

Miłość niebu się należy
A na ziemi kłamstwem jest,
I kto raz już jej uwierzy,
Tego czeka cierpień chrzest. —

Różnobarwne i świetne to blaski zewnętrznego życia stolicy wielkoświatowej. Ruchliwe fale płyną a płyną, ni końca ich ni początku nie poznasz a wesoło i gwarno. a ludno i strojnie w całym mieście. Niby szczęśliwi tu wszyscy, tak się śmieją wesoło, tak gwarzą serdecznie — ha! szczęśliwi! — czy wszyscy? czy doprawdy? Może to blaski fałszywe, może to wir życia codziennego w takie ich chwycił obroty szalone, że sami o sobie nie wiedzą? Zresztą łyzy i westchnienia nie cisną się ku światłu, lecz w cieniu i w zakątkach kryją się te światy rozpaczy, cierpień i tęsknot głębokich, czasem nieuleczalnych.

Jedną z takich błyskotnych i gwarnych ulic stolicy szedł szybko młody lekarz. Zamyślony był widocznie i z roztargnieniem oddawał liczne pozdrowienia przechodzących, aż zatrzymał się nagle przed jedną z kamienic, stanął w bramie, otarł pot z czoła

spojrzał na zegarek, i z wolna przeszedł przez sieni, przez obszerne podwórze i z podwórza dopiero wszedł do sieni, i po schodach machinalnie wstępował aż na czwarte piętro, i gankiem zaszedł do drzwi nawpół oszklonych, spojrzął ku oknu, ujął klamkę z pewnem wahaniem i wszedł do mieszkania.

W głębokim fotelu siedziała panna Wanda M. opierając się o poduszki, ubrana w przesłiczny szlafroczek z błękitnego kaszmiru, spływający miękkimi fałdami aż na ziemię. Śliczna twarzyczka jej wychudła, cera stała się delikatną i przejrzystą jak owe miękkie puchy z mgły i obłoków. Usta opłynęły goryczą i smutkiem a na czole dziwne jakieś porysowały się linie. Była na niem sieć cała tych zmarszczek drobniuchnych, krzyżowały się na wsze strony w chaotycznym nieładzie niby źdźbła słomy zmierzwionej a oczy świeciły metalicznym jakimś połyskiem. Przykre wrażenie robiły te poplątane linie na czole, niby myśli stargane i porwane. Lekarz twierdził, że to rozdrażnienie nerwowe, bo rzeczywiście zmarszczki te ustępowały chwilami i czoło wyglądało się zupełnie. Widocznie ciężka słabość przykuła ją do tych nieszczęsnych poduszek i do smutnej izdebki, zamkniętej, dusznej jakiejś jak cela więzienna. Przez okno widać było brukowane podwórze, wewnątrz dziedzińca i liczne ganki. Nad czołem zawieszało się szare niebo jako żałobna opona i zasłaniając jaśniejszy błękit gęstą szatą obłoków nie przepuszczało słonecznego promienia.

Wanda powiodła okiem po ścianach swego pokoju, po wypełzłych obrazkach i żółkłych firankach i lekko z cicha wyrzekła, szepnęła prawie :

— Matuniu !

— Co, dziecię drogie moje ? — zapytała pani M. z drugiego pokoju starając się zatrzeć ślady łez w oczach.

— Proszę matusi tutaj do mnie.

Gdy matka weszła, zróżnowiały policzki dziewczęcia, twarzyczka się rozjaśniała i gorycz rozpląnęła się w lubym uśmiechu.

— Matuniu ! Karol przyjdzie ?

Twarz pani M. na chwilę chmurnym jakimś

opłynęła wyrazem, ale na chwilę tylko, widocznie nie chciała biednej chorej więcej jeszcze dodawać przykrości, zaraz znów złagodniała i rzekła :

— Przyjdzie, moje dziecko.

— Ale czy pewnie ?

— Niezawodnie przyjdzie.

— Ale czy matunia sama mu powiedziała, iż ja byłam trochę chorą ?

— Tak Wandziu moja, mówiłam mu sama, i przyrzekł mi że o siódmej wieczorem będzie tutaj.

— O siódmej dopiero, a teraz ? teraz druga dopiero, to jeszcze tak długo muszę czekać ! Jeszcze pięć godzin, a w każdej godzinie tyle minut, a każda minuta taka długa. Boże ! Boże ! — jękała i oparła głowę na wychudłej rączce, a z oczu łezki spłynęły na miękkie fałdy kaszmiru i błyszczały na nich długo jak krople rosy na kwiatku.

— Wandeczko ! drogie dziecię ! nie płacz — prosiła matka, to cię wzrusza i szkodzi, Wandziu !

— Matuniu ! mnie już nic nie zaszkodzi chyba, gdyby Bóg mnie uzdrowił i wrócił mi jeszcze Karola, o wtedy uważałabym na siebie i byłabym zdrową, prędko, tak prędko jak zwiędłe kwiatki po majowym deszczu się podnoszą. Matusiu ! prosz Boga za mną, bo ja bardzo cierpię.

Pani M. tuliła biedne dziewczę, pieściła i płakała z nią razem, aż uspokoiły się trochę i rozmawiać poczęły trochę obojętniej dopóki nie nadszedł lekarz. Wanda nie wiedziała nawet, jak dalece groźną była jej słabość, mówiła o śmierci wprawdzie, ale jak to zwykle młodzi ludzie w moralnem cierpieniu marzą i mówią o śmierci a mimo to żyją długie lata. W rzeczywistości zaś nie miała wyraźnego pojęcia o prawdziwym stanie swego zdrowia. Lekarz zaś, choć młody lecz głęboko wykształcony i pojmujący swój zawód ze strony idealnie szlachetnej i wzniosłej, bacznie i troskliwie śledził przebieg choroby i odkrył wkrótce, że oprócz przyczyn fizycznych, działać musi także czynnik moralny, i opowiedział matce o swych spostrzeżeniach. Matka usiłowała zrazu zataić swoje zdanie w tym względzie, ale skoro gorączka minęła, a chorej mimo to zdrowie nie wracało, i siły zdawały

się z dniem każdym ubywać, strwożona wyznała wszystko i pytała z bojaźnią, co robić?

— Wezwać go tu — rzekł zacny lekarz, choć tem samym zadawał stanowczy cios budzącym się w głębi duszy uczuciom i nadziejom. Wezwany do chorej Wandy zajął się nią zrazu jako staranny lekarz każdym chorym organizmem się zajmuje, później dopiero, — gdy zaczął zastanawiać się nad owym ukrytym robakiem, toczącym tak cudny kwiat w blasku piękności i rozkwitu, nie mógł się oprzeć urokom, jakie piękna pacjentka nań wywarła, i wyznał sam przed sobą, że uzdrowić ją musi, a uzdrowić dla siebie. Jeżeli....

Jeżeli....

Lecz od owego szczerego wyznania matki znikło owo nieokreślone „jeżeli,“ rozplątała się urocza zagadka, a boleść zimnym uściskiem owinęła się wkoło niego.

Czekał teraz tego tylko, by jak najprędzej sprowadzić jej ukochanego człowieka, by on skuteczniej niż wszelkie leki i recepty uzdrowił ją zaklęciem miłości, a potem, potem chciał ją ujrzeć zdrowszą z rumieńcem na twarzy, chciał ujrzeć te członki przepysznej budowy, podniesione siłą zdrowia, a potem... potem postanowił odejść w milczeniu, i powoli zapamiętywać nad uczuciem, któremu tak niebaczenie dozwolił się rozgościć w swem sercu.

To też z oznakami zwykłej przyjacielskiej życzliwości zbliżył się do Wandy, podał jej rękę i opowiadał jej różne nowinki wielkoświatowe, brukowe ploteczki i wydarzenia, chcąc ją rozerwać i rozweselić.

Wanda słuchała tego wszystkiego obojętnie zrazu, później niby chętniej trochę, a przymuszała się widocznie, i odetchnęła wtedy dopiero, kiedy lekarz zapisawszy lekarstwo, odszedł.

— Tak się zmęczyłam matuniu, aż głowa mię boli — skarżyła się po odejściu lekarza.

— Nie gniewaj się na niego, drogie dziecko, on taki poczciwy, chciałby wlać w ciebie swe własne zdrowie, to widoczne, chciałby twe smutne myśli rozpędzić a ty mu to za złe bierzesz.

-- Nie matuniu, nic mu za złe nie biorę, tylko że on mnie tak nudzi tem gadaniem a przytem patrzy na mnie ciągle, ja nie mogę teraz znieść oczu ludzkich, mnie się zdaje, że ze mnie wszyscy szydzą, wyglądam teraz tak strasznie, te zmarszczki na czole, okropnie! Karol mnie się przeleknie, taka jestem stara, nie prawdaż matuniu? zaprzeczasz, chcesz mnie pocieszyć, a ja już nie ta sama co pierwej, nie poznaję siebie.

Mówiąc to nie wiedziała nawet, jak śliczną była w swem cierpieniu. Młodość bowiem w chorobie nawet zdobi niektórych wybrańców przyrody, która ich obdarzyła takim bogactwem piękności, że ta piękność nieśmiertelną się zdaje i ustaje aż w grobie. A czasem i w późnej starości jawi się i otacza piękne głowy starców aureolą promiennej i klasycznej piękności.

Wanda nie tyle klasyczną pięknnością ile raczej niewypowiedzianym wdziękiem, młodością, cudną poezją jakąś czarowała i pociągała do siebie wszystkich.

Zbiegły w końcu długie godziny oczekiwania i wszedł Karol.

Biedna Wanda chciała się podnieść na przywitanie, lecz uniosłszy się z lekka musiała na powrót o poduszki się oprzeć; różowe fale opłynęły twarz jej i skronie, usta rozchyliły się do serdecznego wyrazu powitania, lecz siły zabrakło, ledwie po chwili zebrała tyle siły, by odpowiedzieć na powitalne słowa Karola. Karol stał przed nią jak winowajca, a przez myśl mu przebiegły różne refleksje z błyskawiczną chyżością.

Czyż to ta sama dziewczyna hoża, wesoła, śpiewająca jak słowik?

Toż przed nim leżała złamana i bezsilna, nie zdolna przejść kroków kilka o własnej sile.

Toż przed nim widocznie spoczywała ofiara śmierci i bólów i cierpień takich, że w obec nich śmierć chyba zbawieniem zwać się może.

Boże! Boże! cóż to się stało?

I skłonił się tylko zdaleka, zbliżyć się do niej nie śmiejąc, ni podać jej ręki jak dawniej.

A piękną była niewymownie, idealnie! Tak piękną i czystą, że uklęknąć chyba przed nią i modlić się, i uwielbiać jak świętą.

Nie mógł ani słowa przemówić, głos uwiązł mu w gardle.

Lecz Wanda opanowała wzruszenie, wyciągała śliczne białe swe rączki do niego i kazała usiąść przy sobie, a okiem utonęła w jego błyszczącej źrenicy.

— Panno Wando! pani byłaś chorą, nie wiedziałem, byłbym dawniej już przyszedł, odwiedził...

— Tak, czekałam tego, zdawało mi się że pan przyjść musi, i przyszedłeś pan w końcu. To Bóg chyba dobry, sam cię na drogę matusi sprowadził, by mogła ci powiedzieć jak ja się męczę, jak ja lubię, jeśli kto jest u nas i rozmawia zemną...

Biedne dziewczę nie wiedziało, że matka przez tydzień cały, o różnych porach, pod rozmaitymi pozorami wymykała się z domu i czatowała na ulicy by spotkać Karola, sądziła że matka spotkała go przypadkiem. O naradzie z lekarzem nic nie wiedziała.

— Nie wiedziałem nic o tem, żeś pani znów zapadła, słyszałem tylko o dawniejszem cierpieniu pani, ale teraz musiałaś pani cierpieć bardzo, taka gorączka męczy okropnie — mówił widząc że wspomnienie o poprzedniej chorobie nowy napływ krwi naprowadziło do głowy, mówił cobądź, aby nie milczeć zupełnie.

— O mylisz się pan! w gorączce było mi dobrze, ach! błogo. Marzenia moje były cudowne, widywałam takie śliczne obrazy, o jakich wyobrażenia przedtem nie miałam nawet, słuchaj pan, panie Karolu!.. raz... zdawało mi się że anioł ujął mię w objęcia, utulił skrzydłami, a skrzydła te miękkie były jak puchy jedwabne a śnieżne i lśniące cudownie, i uniośł mnie wysoko, wysoko w niebo. Płynęliśmy tak w błękitach, otaczały nas gwiazdy i róże i lilie i stada różowych gołębi. A w błękitnych falach mięgały tęcze w oddali, łamały się słoneczne promienie, drgały purpurowe zorze północy i połyskiwały srebrne piany oceanów. Karolu! cudnie to było, nie umiem opisać nawet. Zdawało mi się że wszechświat mamy

u stóp naszych, patrzyłam na słońca i księżycę, uczucie wszechbóstwa ogarnęło mię wtedy. Modliłam się. A z ziemi dochodziły mię szmery pian wodnych, chóry słowicze i dzwony kościelne, a szczęście jakieś nieopisane owionęło mię tchnieniem niebiańskiej harmonii. Milczałam, patrząc na te cuda ręką Boga rozrzucone, modliłam się uwielbieniem i pokorą najgłębszą, a duch mój czysty był jak pierwsze tchnienie boże, nieskalane ziemskiemu oddechy. Spojrzałam w twarz anioła, on pochylił się ku mnie, silniej utulił na piersi swej, skrytej białą miękką szatą, opływającą go od ramion, i w powietrznych regionach rozległo się cudne, anielskie niby „Ave Maria“... ale wiesz pan — przerwała nagle, a krew rubinem zabarwiła twarz całą, ja już nie śpiewam.

— Pewnie, teraz jesteś pani chorą, osłabioną, trudno, skoro pani przyjdiesz do siebie, to wkrótce...

— Ależ nie — rzekła niecierpliwie, pan mię nie rozumiesz, nigdy już śpiewać nie będę.

Przerażony tym wybuchem spojrzał Karol na matkę pytająco, a potem rzekł:

— Dlaczego pani to mówisz, czy to ślub jaki?

— Straciłam głos zupełnie...

— Ach! — wykrzyknął Karol i aż zbladł ze wzruszenia.

— Tak, panie Karolu!... o! co ja przeszłam wtedy, dostałam silnego zapalenia gardła ze zmęczenia zbyt długim śpiewaniem a przebywszy je, długo, długo czekałam, lekarze pozwalali mi śpiewać, dyrektor prosił, nie chciałam, bałam się prawie, miałam okropne przeczucie, aż raz zamknęłam okna i drzwi, zaprosiłam matusię tylko do fortepianu i zaśpiewałam, ale ani jednego tonu dawniejszego, ani jednego dźwięku czystego nie mogłam wydobyć, padłam omdlała na ziemię i od tego czasu zapadałam często, aż raz byłam w teatrze a śpiewała wtedy pani W. tę samą arją, którą ja śpiewałam wybornie, a nawet lepiej od niej, wszyscy utonęli w tych boskich pieniach, ja słuchać nie mogłam, wybiegłam sama z łoży, w pędzie dostałam się do domu, czułam już ból w piersi, lecz mimo to otworzyłam fortepian, uderzyłam akordy i próbowałam śpiewać, ale głos ochrypli, drewniany

wychodził mi z gardła, znów zemdlałam, i przytomność wróciła mi dopiero przed dwoma tygodniami... ha! na co mi jej — szepnęła ciszej niby do siebie. Na to chyba, by wyraźniej czuć swą niedolę.... przymknęła oczy, a łzy rzewne pomknęły kroplami po twarzy, i spadły na błękitne, miękkie draperje kaszmiru.

Długo płakała rozżalona, aż wreszcie czułe starania matki i zabiegi Karola uspokoiły ją nieco i wywołały uśmiech nawet na usta. Po odejściu Karola udała się wkrótce na spoczynek i spała dość dobrze a lekarz znalazł nawet rodzaj polepszenia na porannej wizycie.

Odtąd rozpoczął Karol znowu jak dawniej codzienne swe odwiedziny u pani M. Przesiadywał wieczorami całemi, a i we dnie nieraz przychodził. Często i lekarz zostawał, a poznawszy się bliżej dosyć się nawet polubili. Wanda zwolna przychodzić poczęła do zdrowia, wystarczała jej widać sama obecność Karola. bo on nic o swych uczuciach nie mówił nigdy. Ale i z lekarzem chętnie rozmawiała, nie nudziły jej już rozmowy z nim częste i poważała go niezmiernie.

Raz wyszli obaj Karol i Ludwik, bo takie było imię młodego lekarza. Wieczór był jasny, pogodny, i poszli daleko na przechadzkę, później zaszli do jakiejś odległej a dość pustej piwiarni i przy szklance gwarzyli, a że taka poufna pogadanka we dwójkę nastraja nas zwykle na wyższe tony uczuć, toż i oni poczęli się wynurzać i wywnętrzać, szczególnie zaś Ludwik. Karol był zawsze zamknięty w sobie i lubił osłaniać się tajemnicą. Ludwik długo już obserwował zachowanie się Karola w obec Wandy i nie widząc nic takiego, co by o gorętszych uczuciach z jego strony świadczyło, postanowił wy badać go a dziś właśnie nadarzała się sposobność. Jednakże zamiast wydobyć otwarte wyznanie z Karola, opowiedział mu otwarcie o swej miłości i o swych zamiarach, niestety! — dodał smutnie, nadzieje me nigdy urzeczywistnić się nie mogą.

— Dlaczego? — zapytał Karol, i w cień się usunął, a około ust jego piekielny uśmiech się zjawił.

— Wanda mnie nie kocha — rzekł z boleścią Ludwik, a w oczach mu łzy niby mignęły, dawno już wiem o tem, jednak mimo to nie mogę pozbyć się tego uczucia i oprzeć się tej potędze miłości; chciałbym już ujrzeć ją szczęśliwą, a wtedy może łatwiej udałoby mi się obraz ten zatrzeć w mej duszy, bo jak długo jeszcze widzę i patrzę na jej cierpienia, tak długo muszę ją odwiedzać i patrzeć na nią i szczęśliwy jestem, jeśli choć chwilami ją rozweselić mogę, jeśli się do mnie uśmiechnie.

— Zkądże pan wiesz, że Wanda pana nie kocha — zapytał znów Karol z obojętnością anatomiczną, krającego ludzkie trupy, a ręką sobie oczy od światła zasłonił.

Ludwik zdziwiony nieco spojrział na niego i rzekł:

— Wanda kocha innego.

— Mówiłeś pan z nią o tem?

— Nie — odpowiedział Ludwik, coraz więcej zdziwiony pytaniami swego towarzysza, i nigdy z nią o tem mówić nie będę.

— Pozwolisz mi pan, powiedzieć jej o tem i w imieniu pana prosić ją o pozwolenie starania się o jej rękę, albo lepiej wprost oświadczyć pana, a jeśli rzeczywiście, jak pan twierdzisz, nosi na dnie serduszka jaką pensjonarską miłośćkę, to postaram się wyperswadować jej takową, a jako szczerzy przyjaciel lepszego losu jej życzyć nie mogę.

— O panie — zawołał Ludwik powstawszy, czy pan kpić chcesz ze mnie?

— Bynajmniej — z wolna wyrzekł Karol a oczy mu fosforycznymi blaski płonęły, i usta okrażały szydercze uśmiechy, nie mam zamiaru kpić, ani żartować z pana, i owszem ceniąc pana wysoce, szczerze się cieszyć będę, jeżeli Wanda namowy mojej posłucha i wyjdzie za pana.

Ludwik patrzył badawczo na twarz Karola, lecz nadto sobą zajęty, prawdziwego jej wyrazu nie dostrzegł, zdziwiony był tylko niezmiernie i otwarty jak zwykle chciał swe domysły wypowiedzieć i dojść właściwej prawdy, dla tego rzekł:

— Poznawszy Wandę, pokochałem ją wkrótce,

lecz dowiedziałem się też, że ona jest zajęta kim innym i myślałem...

— No, myślałeś pan — przerwał Karol i spojrzał nań z takim wyrazem groźby i gniewu, że nie byłby w stanie wyrzec nic więcej, nie wielka to rzecz, że pan myślałeś, czy to jedno się myśli to co nie jest. W ludzkich mózgach różne pomysły się rodzą a nie koniecznie zdrowe... Teraz... musimy zdrowie wychylić a z pełnego kielicha. —

Dość długo jeszcze siedzieli; Karol był ożywiony i rozweselony a Ludwik smętny i zamyślony. Pożegnali się o północy prawie.

Po pięknym wieczorze nastąpiła noc ciemna i wietrzna. Chmury skupiły się na niebie olbrzymią masą i smutne jęki wichru rozlegały się wokoło. Karol jednak nie poszedł do domu zaraz po wyjściu z piwiarni, lecz szedł dalej i dalej bez celu jakby gnany myślami ponuremi i dzikimi.

A smutne i szalone to były myśli, które niby cichy skrzydlaty rój czarnych motyli czepiały się mózgu i nerwów i snuły tłumy strasznych widziadeł, gdy w noc tę ponurą, wietrzną i żalobną błąkał się sam jeden po pustych ulicach, aż zaszedł na most tam, gdzie stał z Marją przed laty. Jak wtedy oparł się ręką o poręcz żelazną, jak wtedy spojrzał na szumiące fale u stóp swych. Lecz wtedy pływały w tych falach połamane księżycy i migotne gwiazdeczki i oczy ukochanej promieniały uczuciem, a dziś stał tu sam jeden. Lecz i owe wspomnienia gorzkie były i czarne jak każde wspomnienie przeszłości... Tu w tem samym miejscu błagał ją o miłość szczerą, o zbawienie na przyszłość całą — a ona, ona go nie rozumiała.

I przeszły te jady wszystkie, te gorycze z minionych lat przeszłości przez duszę młodzieńca, przeszły te stracone nadzieje i zmarnowane lata, i łzy ojcowskie, i młodość przeproźnowana, i wyrzuty sumienia i przekleństwa kochanek i hulaszczce obrazy wiedeńskich rozrywek.

Sześć lat uniwersytetu, ośm lat gimnazjum, cztery lata szkół ludowych — razem ośmnaście lat nauki — a dziś — dziś nie był niczem. — W dwudziestym szó-

stym roku życia, nie być niczem — to myśl okropna rzeczywiście. —

Czuł się starcem bogatym w doświadczenie, niestety w kierunku ujemnym. Ha! gdzie uciec przed tą marą przeszłości, gdzie uciec przed sobą.

— Przekłętą niech będzie chwila, kiedy Marja, ten wąż zdradliwy uśmiechami i rumieńcami i okiem błyszczącym wpelzła mi do serca i rzuciła na pastwę namiętności! Wanda byłaby inną, o inną zupełnie. Łagodna, miękka i dobra, iście kobiecy charakter, czemuż jej wcześniej nie poznałem! Dziś, dziś za późno! Nie mogę jej przykuwać do siebie, do mego nieszczęsnego losu, choć kocham ją bardzo... ha! niech ona przynajmniej będzie szczęśliwą. O mych uczuciach nie dowie się nigdy. Ze mną musiałaby męczyć się tylko i cierpieć, dość już zniosła przez to nieszczęsne przywiązanie do mnie. Marja nie cierpi tyle pewnie.

O świcie dopiero wrócił Karol do siebie. Po południu wyjął fotografią Wandy i Marji, porównał je obie i pomyślał, o ile Wanda piękniejszą i lepszą jest od tamtej.

Długo wpatrywał się w śliczne rysy dziewczęcia, co tak lubo uśmiechały się okiem i pełnymi, miękkimi usteczkami niby składającymi się do pocałunków, rozkosznych a czystych jak pocałunki zorzy wieczornej.

Marja chmurny miała wyraz czoła, zaciśnięte usta i łałdy po obu stronach nosa głębokie, a oczy rozumne, niezgłębione jakieś patrzyły w dal w przestrzenie niby szukając czego, a czego, trudno było odgadnąć. Nauki może, mówiło czoło zmarszczone i brwi zsunięte ku sobie — miłości, mówiła fala gorącej namiętności jakiejś, oblewająca całość fizjonomii. W ogóle było coś nieodgadnionego w tej twarzy, dla tego od dawna już zwano ją sfinksem, a nikt jej nie znał dokładnie.

Patrząc na tę twarz nieodgadnioną, milczącą jak zagadka, rzekł Karol do siebie:

— Musimy się jeszcze zobaczyć i to wkrótce.

Czy to dawne przywiązanie się ozwało, czy zemsta, czy chęć rozwiązania zagadki? — nie wiecieć. Spojrzawszy raz jeszcze na portret Wandy,

westchnął, schował obie fotografie do szufladki, zamknął na klucz i wyszedł.

Przyszedłszy do pani M. zastał Wandę samą.

— Widocznie jestem ulubieńcem losu, szczęście mi sprzyja zawsze, pomyślał z goryczą.

Biedna dziewczyna ucieszyła się jego przybyciem.

— Dziś może powie — mignęło jej w główce, o czym powie w myśli nawet dodać nie śmiała.

Niestety, miasto różowych blasków jutrzeńki przyszedł do niej jak czarny anioł nocy i zwiastował okrutną boleść.

— W nader ważnej misji przychodzę dzisiaj — rzekł ucałowawszy jej rączki na powitanie jak zwykle, aż się blada twarzyczka zorzą różowej nadziei oblała, takie rozkoszne przecucia zadrżały w niej gorącym dreszczem przyszłego szczęścia, — i dla tego cieszę się że panią samą zastaję, bo chciałbym, abyś pani sama z własnego przekonania mi odpowiedziała. Oto p. Ludwik wyznał mi wczoraj, że panią kocha, tylko nie składnie mu było samemu z panią mówić, bo nie jest pewnym wzajemności z Jej strony, więc ja przyrzekłem mu, że spytam się pani i prawdziwą odpowiedź dziś jeszcze jemu przyniosę. Czy zechcesz pani zostać jego żoną?

O! jakże okropnie zmieniła się nieszczęśliwa dziewczyna słuchając tych wyrazów, lecz jeszcze — jeszcze iskra nadziei błyszczała jej w dali, a nigdy przedtem niewidziany sarkazm dał się uczuć z gryzącą swą mocą, gdy rzekła:

— I pan podjąłeś się pośrednictwa!

— A dla czegoż nie miałem uczynić tego? przecież to człowiek zacny, uczciwy i tak prawy, że za charakter jego ręczyć można na zawsze.

— I pan mi.... pan radzisz żebym przyjęła... i została panią doktorową, ha! rada nie zła.... praktyczna.

— Jako szczerzy przyjaciel pani rzeczywiście radziłbym jej nie ze względów czysto praktycznych jak to pani bierzesz, chociaż i te ważną w życiu rolę odgrywają, ale dla tego, że on panią kocha prawdziwie i jest uczciwym i zacnym człowiekiem o silnym

i stałym charakterze, o niezłomnej woli i energii, czego o innych albo o sobie np. powiedziećbym nie mógł niestety! — Dodał to niby jako usprawiedliwienie siebie, mimowoli prawie, bo trudno było mu patrzeć na straszną boleść niedoświadczonej i biednej dziewczyny.

— Dosyć już tego — rzekła prostując się dumnie, dziękuję panu za troskliwość o mnie, i proszę... zostawić mnie samą...

— A odpowiedź moja.

— Tej się pan nie dowiesz — rzekła z mocą, a twarz bladła coraz bardziej aż zbieleły ust rąbki nawet, i źrenica zamgliała się mrocznym jakimś cieniem, zaszumiało w głowie i pochyliła się, a Karol podtrzymał upadającą.

Nic dziwnego, że ją do piersi przycisnął i zbładłe usta całował i tulił twarz swą do tych miękkich, złotych warkoczów! Nic dziwnego że najśłodsze jej dawał imiona, aż się otwarły śliczne źrenice i serce uderzyło silniejszym tętnem a karmin usta zabarwił napowrót.

— Karolu! — wyrzekła drżącym głosem, Karolu najdroższy!... czy to sen był taki straszny.... Boże!

— Nie, Wandziu moja droga, ukochana, jedyna! to nie był sen, to była rzeczywistość chwilowo przykra, ale uspokój się wpierw, pomówimy obszerniej, siadaj, o tak wygodnie, ja usiądę koło ciebie, oprzyj się o mnie, główkę o me ramię, tak! dobrze ci teraz, prawda... Szkoda że tak cię całe życie osłaniać nie mogę.

— Karolu! nie chcesz chyba.

— Nie myśl tego, Wandziu.... byłbym szczęśliwy i spokojny z tobą. Masz piękny, prawdziwie kobiecy charakter miękki i łagodny, jesteś piękną, rozumną, młodą i dobrą, ach! tak dobrą że chwytasz za serca wszystkich, lecz dla tego właśnie żeś ty tak szlachetną i że ja trochę, trochę jeszcze jestem uczciwym, zwalczam sam siebie i chcę cię uczynić szczęśliwą. Wiem że mnie kochasz, i że trudno ci będzie zapomnieć, ale czas wszystko może — to lekarz pewny i twoje też cierpienia ukoi. Chciej tylko

a przezwycięzysz się. Wandziu moja, dziś jeszcze mogę, mam prawo tak mówić do ciebie, jeszcze wolną jesteś, jutro już będziesz narzeczoną innego, już nie wolno mi będzie zbliżyć się do ciebie.

— Karolu! to być nie może!

— Może być i musi. Ja ci nic ofiarować nie mogę prócz siebie samego i swej miłości, a to do życia za mało. Niedołężnym jestem, zmarnowałem lata pracy i młodość całą — co mię czeka nie wiem, ale tyle mi jeszcze zostało uczciwości, że ciebie od siebie samego chcę uratować i los twój oddać w ręce prawe, któreby szczęścia twego wiernie i uczciwie strzegły i pilnowały. Dla tego, Wandziu droga! nie gardź jedynym podarkiem, jaki złożyć ci mogę, nie gardź losem, jaki zgotować ci pragnę, bo prócz tortur jakie wśród ciągłych niepokojów znosić byś musiała, nic innego ze mną nie zaznasz, przyszłości nie mam żadnej, pracować nie umiem a w te burze dalsze iść muszę sam jeden. A nim uzyskam cokolwiek stalszego, lata upłyną, a cóż ty? Otóż proszę cię na wszystko w świecie, jeśli mnie kochasz, zdejm mi z serca tę troskę o twe szczęście — ja twoim być nie mogę, więc przyjm męża, którego ci wybrałem — Wandziu, jeśli mnie kochasz!

— Zobaczę — jęknęła biedna dziewczyna.

— Nie, przyrzecz mi teraz stanowczo.

— Nie mogę — i rozplakała się rzewnie.

— Płacz dziewczeczko moja, popłacz trochę, lżej ci będzie. Łzy zawsze ulgę przynoszą dzieciom i kobietom, a potem Wandzia droga moja nie odmówi mej prośbie, jeśli mię troszkę, troszkę kocha jeszcze.

Długo jeszcze rozmawiali w ten sposób. Wanda płakała, Karol przedstawiał, perswadował, aż łzy jakoś oschły dziewczęciu i gdy matka nadeszła, dostrzegła wprawdzie macierzyńskim okiem wzruszenia, lecz prawdy ani domyśleć się nie mogła. Nie udało się wprawdzie Karolowi uzyskać stanowczej odpowiedzi, ale widocznem było, iż czas tu najlepszym będzie środkiem na wszystko.

Późno już było gdy Karol wracał do domu, ale spokojniejszy jak zwykle. Żał mu było że Wandę

utracił, lecz uadto kochał ją ażeby z niej zrobić igraszkę i rzucić potem, a czuł się zbyt niedołączny, by brać los jej na swe barki. Zresztą mimo krwawych doświadczeń, mimo zwątpienia w własne siły i niedołączstwa, zawsze jeszcze nie wyszły mu z głowy wyższe poloty, do jakich rwała się niegdyś młodzieńcza dusza z zapalem. Zawsze jeszcze roił o świetnej przyszłości.

W domu znów długo fotografią Wandy oglądał, w końcu schował ją napowrót do biórka i rzekł do siebie :

— Inaczej być nie mogło !

VIII.

Niech będzie stałym kto stałość przysięga,
Kto kocha, niechaj nie zdradza,
Bo ramię Boże każdego dosięga
I po zasłudze nagradza.

Po owem widzeniu się w stolicy, dwa razy jeszcze Marja widziała się z Karolem. Raz przypadkiem, a drugi raz przyjechał do niej umyślnie i przez 3 tygodnie bawił w pobliżu i codziennie przyjeżdżał na parę godzin. Za każdą razą serdeczni byli ze sobą i mówili o przyszłości jak ludzie, co mają swe losy na pewno połączyć. Lecz cień jakiś padł między nich widocznie, a swoboda umknęła, spłoszona owem czemś nieokreślonym, owem widmem czy cieniem, co przerwało magnetyczne prądy ich uczuć. Raz byli ze sobą poufali jak koledzy, to czuli jak brat i siostra, to nieśmieli jak obcy a mimo to przymuszali się do pozornej swobody i starali się okazywać na zewnątrz niby szczerymi zupełnie, ukrywając starannie nartujące myśli na dnie ich serca. Rozstali się nakoniec dość obojętnie, radzi że przymus się kończy, choć żalując za sobą. Dziwny to stan był i

zagadkowy — rwali się ku sobie, tęsknili za sobą a znalazłszy się nie umieli trafić właściwej nuty, a zdania i myśli ich w tak fałszywych odzywały się akordach że niewiedzieć nawet co było złejszem, czy tęsknota za sobą, czy też owo rozdwojenie wdzierające się między nich gwałtownie.

Od ostatniego widzenia rok minął, ani słówka wieści od Karola nie było. Marja uważała go już za straconego dla siebie stanowczo. Były tam może jeszcze na dnie duszy jakie błędne płomyki zwodnej nadziei, lecz ledwie już drgały trochę, i migotały błędem światełkiem, konając wśród ciemnej, rozpaczej pewności.

Wtedy Marja wyjechała trochę na wieś, musiała bowiem sama ze sobą się oswoić, rozpatrzeć się w sobie i myśli rozprószone uporządkować. Wioska to była urocza, wesola, cicha wśród lasów, otoczona Dniestrowemi wodami, płynącemi szeroko i spokojnie jak fale wieczności. Wychodziła też często na samotne przechadzki, napawała zmęczone płuca oddechami lasów i błoni i woniami kwiecia leśnego i uroczymi powiewami wieczornych zefirów. Zwolna, i myśli rozpierzchłe skupiać się poczęły i szykować, i słońce łyzy i smutki całowało ze smętnej twarzyczki, a przyroda cudami swych leków wracała fizyczne i moralne zdrowie temu rozdrażnionemu organizmowi.

Któż jest na świecie, ktoby się oparł potężnej, przemożnej władzy, jaką wywierać musi na człowieka bezpośrednie zetknięcie z przyrodą; kto jeszcze czuje, kto oczy ma i widzi, kto nie zasnuł się wstrętną powłoką skrajnego a brudnego materjalizmu, kto iskrę tchnienia bożego ma w piersi a nie umarł duchowo, ten rozpląnąć się musi w podziwiewie, utonąć w Bogu, w przyrodzie, w cudnej harmonii wszechbytu i zmęczonej, strapionej, obumarłej nawet w światowych udręczeniach swej duszy niebiańskie zawołać „hosanna zmartwychwstania.“

Marja nie umarła jeszcze duchowo, toż jak kwiat uwiędły rozchyła spieczone kielichy swe ku rosie ożywczej, tak ona serce i ucho otwarła na przyjęcie pokoju i pojednania samej ze sobą, na odzyskanie samej siebie.

Lecz jeden fakt w duszy jej z dawnych lat pozostał jak ciemna plama na falach białości. Pozostało wspomnienie owego zwycięstwa nad ukochanym i nad sobą samą, lecz to zwycięstwo nie przyniosło jej wewnętrznego zadowolenia. Owszem wniosło jej niepokój i wstyd jakiś dziwny, zrodziło niesmak i rozdziwienie z samą sobą. A dziś, choć lata minęły od owej chwili, wspomnienie samo było gorzkim i przykrem, jak gorzką i przykrą była ongi chwila tryumfu.

Zresztą była wesołą i rój wesołej młodzieży otoczył ją kołem, bawiła się, żartowała, zalotną była nawet po trosze i z trwogą liczyła dnie swobody, coraz bardziej chyłące się do końca, jak wszystko na świecie.

Jeden z pomiędzy licznych wielbicieli zwrócił na siebie wyłączną uwagę Marji. Był to człowiek nie młody już, miłej powierzchowności i głębokiego umysłu. Marja lubiła bardzo jego towarzystwo, i on jej szukał zawsze. Ludzie szeptali że się pobiorą.

I zgadli pod jednym względem, pod tym mianowicie, że on pokochawszy ją szczerze, postanowił oddać jej dom swój i serce na życie całe.

Marja przeniknęła jego myśli i lubowała się w tych marzeniach.

Mieć domek swój cichy, biały, wśród bżów i czereśni, mieć wielki świat przyrody i niezmacone towarzystwo czynnego życia tejsze i rozwoju w całej pierwotnej czystości swej — to urok nielada. A zresztą im tak dobrze było razem.

I coraz głębiej a głębiej rozrastały się te myśli w jej głowie, a z czarnych oczu zakochanego w niej Zygmunta takie obietnice szczęścia się uśmiechały, że zapomniała o sercu bijącym żywo w piersi i utonęła cała w nowych pomysłach i projektach.

Raz noc całą w otwartem oknie spędziła, a zrana, skoro świt wymknęła się z pokoju, poszła na przechadzkę i wróciwszy, otworzyła szkatułkę z listami, wybrała listy Karola i przeczytawszy je raz jeszcze zwinęła i zabrała do kuchni. Stanąwszy przed płonącym ogniem w dużym piecu piekarskim, zawałała się chwilę, lecz chwilę tylko a później — ener-

gicznym i nagłym ruchem cisnęła zwój cały w płomień. W mgnieniu oka zmieniło się wszystko w garstkę popiołu i rozleciało się po rozżarzonych węglach ogniska.

— Stało się — szepnęła sama do siebie; w oczach migwały zielonawe płomyki, a na twarzy zjawily się fale krwi rubinowej: widocznie niezmiernie była rozdrażniona.

Wieczorem umknęła z liczego grona i usiadła na ganku, za nią wyszedł Zygmunt i stanął obok niej, siedzącej na ławeczce. Przed nimi był gaik brzozowy. Listki migwały srebrem, drżały melodją wieczornych pieśni, a promienie księżycowe, płynące z niebios otulały je drżące i rozkołysane w swe miękkie barwy i w swe połyskliwe obłony.

Marja czuła zbliżającą się chwilę stanowczą, i drżała jak owe listki brzozowe.

Zygmunt ujął miękkie i białe ręce dziewczyny i na smukły palec wcisnął złotą obrączkę, ze wzruszenia ledwie mógł wyrzec błagalnych słów parę:

— Marjo! zostań moją żoną!

Żoną! o jakimże echem odbiło się to słowo w duszy tej burzliwej, gorącej, a tak zmęczonej już życiem, tak pragnącej szczęścia. Toż za tem słowem całe światy pokoju, wytchnienia, ciszy i tkliwej miłości — lecz z drugiej strony jakieś niejasne jeszcze myśli wypływać na jaw poczęły, nie wiedziała co się z nią dzieje.

— Marjo! — powtórzył Zygmunt — Marjo! milczysz... rzeknij mi słowo, jedno słowo tylko... Marjo! zostaniesz moją żoną...

Teraz już silniej ozwały się głosy dawnych uczuć, zrozumiała wreszcie sama siebie, nie dla niej pokój, nie dla niej swoboda.

— Żoną — wyrzekła z goryczą — żoną... i szorstko dodała:

— Ja niczyją żoną nie będę.

— Marjo! wszak tyś tak dobrą dla mnie była, okazywałaś mi zawsze tyle przychylności, sądziłem że mnie ko...

— Nie kończ pan! — krzyknęła gwałtownie, zdawało się panu... Boże!...

Szarpnęła ręką i już jej nie było. Po kamiennych płytach potoczyła się z dźwiękiem złota zaręczynowa obrączka. Podniósł ją, schował do pularesu i odszedł nie wracając już do liczego towarzystwa i nie żegnając się z nikim.

A w białym dworku dźwięczały walce i polki, brzmiały mazury i kadryle do dnia białego. Marja tańczyła i śmiała się głośno z każdego, a urok ten nieopisany, który wywierać umiała, pozawracał do reszty głowy gorącym jej wielbicielom. Szeptano jej słowa uwielbień, miłości i przyjaźni, a ona śmiała się głośno, zachęcała rozpromienioną żrenicą, a szydziła zbladłemi usty.

Nieobecność Zygmunta wywołała różne domysły.

We dwa tygodnie później znów się zebrali znajomi i przyjaciele, a zebrali się zrana na pożegnanie, bo Marja już odjeżdżała; obowiązki zawodowe powoływały ją do N.

Między innymi był Zygmunt. Od owego zajścia wieczorem widzieli się kilka razy, ale zawsze chłodni byli dla siebie i prócz kilku obojętnych wyrazów, nie rozmawiali wcale ze sobą.

Lecz dziś, w chwili rozstania, żal się jej dziwny dał uczuć, zapragnęła rozstać się w zgodzie i zbliżyła się sama do niego. —

— A pan mi nie powiesz: do widzenia?

— Bogdajbym był nigdy pani nie widział — wyrzekł z ponurem wejrzeniem i usta drgnęły mu bolem i wzgardą.

— Ha! — jęknęła Marja głucho, zbladła i wśród łez i śmiechów, wśród czułych pożegnań i wesołych żartów krewnych i znajomych wsiadła do powozu, konie ruszyły i pomknęły szybko po białej zwirówce.

IX.

Najwyższe szczęście pokój z samym sobą,
On wszelkie bole łagodzi na świecie
I wszelkie czyny krasi swą ozdobą,
Gdy się w nie tęczą wąż promienną wplecie.

Sylwery uzyskał stopień doktora filozofii i w krótkim czasie z asystenta posunął się na

posadę docenta przy uniwersytecie. Zdolności jego rozwinęły się znakomicie, i można mu było w krótkim czasie świetną rokować przyszłość. Ożenił się z Olgą i życie ich było nieprzerwanem pasmem szczęścia i spokoju. Kochali się i wystarczali sobie zupełnie nie szukając gwarnych rozrywek światowych. Olga piękniejszą jeszcze się stała, a gdy się dziwiono, że może przy takiej piękności i młodych latach, samotne prawie, a przynajmniej tak ciche życie prowadzić odpowiadała zwykle, że jej tak miło i tak dobrze w domu, że żadnej już poza domem rozrywki szukać nie potrzebuje.

A gdy im się jeszcze uśmiechnęły błękitne oczy dzieciny, co z białych koronek tak ciekawie w twarz matki spoglądały, wtedy nic im już więcej nie brakowało do szczęścia.

I nic dziwnego, że Sylwery rósł duchem w olbrzyma.

Uczciwy, prawy, rozumny cieszył się ogólną sympatją, powszechnym szacunkiem i snadniej mu było pracować niż innym, których gryzły domowe niesnaski i męczyły troski o byt materialny.

Razu pewnego siedzieli razem w ogrodzie. Pani Solska mieszkająca przy nich szyła jakąś małą sukienkę dla wnuczki, siostra Sylwerego czytała a Olga trzymała dziecię na ręku. A dziecię urosło już sporo i na nóżki stawać poczęło, i jakieś niezrozumiałe wymawiać wyrazy.

Obok siedział Sylwery z gazetą w ręku i czytał paląc cygaro i spoglądając od czasu do czasu na swą śliczną dziecinę.

Nagle twarz mu się lekko schmurzyła.

— Co to się znaczy? — rzekł sam do siebie.

— Co takiego? — zapytała Olga.

— Widzisz, znów są wszyscy akademicy podani, którzy porobili doktoraty na wydziale medycznym. a Karola brakuje.

— Przecież on w zeszłym roku już miał składać doktorat.

— Tak, ale niestety egzamina nie poszły, no a i teraz znów go nie widzę.

— Biedna Marja! przed kilku dniami miałam list od niej.

— I cóż pisze? nic mi nie wspominałaś.

— Nie wspominałam ci, bo treść tego listu smutna, nie chciałam ci wcale nic o tem mówić, ale teraz przy sposobności wspomniałam — zresztą przeczytaj.

Wyjęła list z kieszeni i podała mężowi.

Sylwery otworzył i czytał, a czoło mu coraz posępniej okrywało się chmurami.

Oto list ten w całej osnowie.

„Najdroższa Olo moja!

Od sześciu tygodni jestem na wsi. Bóg chyba, Bóg wielki przemówił sam do mnie, aż stopniały lodowe więzy bólów, jakimi skrzepło mi serce — rozplakałam się łzami rzewnymi i ocalałam.

Olo! byłam prawie szczęśliwą.

Modliłam się rankami szczerze jak ongi, gdym przy łóżeczku pobożne szeptała pacierze, gdy mi jeszcze jasne warkocze spływały po białej koszulce, a dusza czysta była jak lilijowe kielichy.

Modliłam się uwielbieniem, podzięką, miłością

Wszystko tu modli się życiem prostem, szczerem i nieskalanem.

Lasy szumią hymny poważne jak świąteczne alleluja. Słowiki brzmią piosenkami, dzwony szlą chwałę i cześć nieustanną, kwiaty wonie swe wnoszą ku niebu, ludzie zginają kolana i czołem biją o stopnie ołtarzy. I ja ukorzyłam się duchem, a w tej pokorze czułam się tak podniesioną, tak dumną, jakoby część bóstwa we mnie się zlała.

Lecz Bóg, ten wielki, dumny Pan nieba — rozgniewał się snać za tę pychę na ziemskie stworzenie.

I nie chciał mego uwielbienia, ni mej pokory i wzgardził mną.

Wszystkie rozkosze, wszystkie cudne te rzeczy, o jakich powiedziała mi cała przyroda, umarły w chwili katuszy.

Umarły i ja znów skrzepłam na powrót a żyję

tem tylko, że boli serce, ach! i.... dusza mię boli.

Słuchaj.

Nazywał się Zygmunt i dobrym był dla mnie, zrozumiał mnie lepiej od innych, a i mnie z nim było tak błogo.

Marzyłam nieraz, gdyby tak można z nim być całe życie, on taki szlachetny, piękny i dobry, o! dobry bez granic.

Zdawało mi się, że potrafię zapomnieć o Karolu.

Później zdawało mi się znów co innego, zdawało mi się, że już o Karolu zapomniałam. A później zapragnęłam już tego, aby Zygmunt mi powiedział o swej miłości.

I wtedy byłam szczęśliwą.

Raz wieczór wyszedł za mną na ganek, byliśmy sami.

Wcisnął mi na palec złotą obrączkę i wyrzekł słów kilka — nie wiem co wyrzekł — mnie tylko jeden wyraz wpadł do ucha, wyraz: żona... A z tym wyrazem pokój i szczęście i cisza i miłość i dzieci i starość wesola. A z tym wyrazem burze uczuć dawniejszych — „żona“... wszak mam być „żoną“ Karola....

Uciekłam cisnąwszy złotą obrączkę na twardą posadzkę kamienną aż zabrzęczała, tocząc się po niej....

W tej chwili zapomniane uczucia, zapomniana miłość wróciła do samowiedzy.

Olo! jak można zapomnieć o miłości! Jak można kochać i tak się męczyć! To dla mnie zagadką psychologiczną.

I znów nie modlę się, nie marzę, nie żyję, lecz wlokę dzień za dniem.

Olo droga! jestem wiesz jak zaczarowane księżniczki zmienioną w kamienny posąg, oblany spizem obojętności. Jeśli zaś posąg ten zbyt długo w tym samym stanie zachowywać się będzie, to złe namiętności krążyć będą wewnątrz w arterjach mego mózgu i zniszczą serce i zjedzą uczucia, aż niszczącą potęgą materji i zimnego rozumu rozerwą spizowe

obsłony i trysną pienistą falą trucizny, jadem występów.

A jeśli Karol powróci i tchnie we mnie miłość dawniejszą, wtedy serce się rozgrzeje, krew cieplej opłynie mnie całą i spiż obojętności rozplyna się w nic, a ja będę znów dobrą.

Czuję w sobie wiele uczuć wzniósłych, szlache-
tnych, mogłabym być wzorem kobiet, jeśliby Karol powrócił. Inaczej....

Karol jest dla mnie wszystkim, jest moim Bogiem, moim rozumem, mojem życiem, nadzieją, przyszłością i przeszłością, treścią moją.

Bez niego — jam teraz nic. Bryła kamienna czekająca na swego mistrza. W przyszłości, jeśli on mnie odepchnie, umrę duchowo i pod pleśnią powłokę się do kresu. Albo pójdę na drogę występku i żyć będę zbrodnią....

Spodziewam się, że tego listu mężowi swemu nie pokażesz, on taki uczciwy, pogardzać mną będzie.

Zygmunt mną także pogardza. Zatrulał mu kilka chwil życia, bo on nie z tych coby latami płakali po kobiecie....

Br... okropne uczucie — zimno mi, strasznie, Olo droga — kiedy to się skończy.

W tym roku Karol uzyska stopień doktora. A co potem będzie?

Żegnaj mi, droga! uściśnij swą lubą dziecięcą, mamę ucałuj a męża swego i siostrę serdecznie pozdrów i wspomnijcie czasem o waszej

Marji.“

Posmutniał Sylwery, i długo jeszcze rozmawiali o Marji i o Karolu. A nie tylko że nie uczuł pogardy dla niej żadnej, ale owszem najżywsze współczucie. Lecz rady nie było żadnej. Pani Solska twierdziła, że Marja powinna była wyjść za mąż, choćby za Zygmunta, z czasem mogłaby przecież zapożyczyć o Karolu.

Olga powiadała że trudno zapomnieć, gdy się kogo kocha.

Jeśli on wart tego — rzekła p. Solska musnąwszy okiem Sylwerego.

— Prawda, mateczko! ja nie wyobrażam sobie nawet, jak można kochać niegodnego.

Późnym wieczorem dziecina usnęła a nad kolebką stali młodzi rodzice i w słodkim uścisku rozplęły się wszelkie chmury z czoła Sylwerego, Olga je rozprószyła pocałunkami.

X.

Żyłem, lecz ból mi oddechać nie dawał,
Waż pierś mą ścisnął, serce me obwinał,
Myśli me kasał i zeinstą napawał.“

Miasteczko N. położone było w pięknej okolicy nad rzeką. Zdaleka przedstawiało się malowniczo i powabnie. Wzgórza opasywały je w około, a na tych wzgórzach rozrzucone chatki wieśniacze, piece garncarskie, które oświetlone wieczorem śliczny przedstawiały widok i odbijały się w błyszczących falach szerokiej rzeki. Niestety! na tem też i kończyły się wszelkie powaby miasteczka N. Samo zaś było wstrętnem zbiorowiskiem żydowskich lepierek dziwacznej postaci i nawpół powalonych budynków. Tu ściana opada, owdzie komin się wali, tam znów okna pokrzywione i pobite, pozatykane szmatami. Karczmy z szerokimi bramami, kilka sklepów, ubogi kościółek, niepozorna cerkiewka i nędzny budynek szkolny — oto wszystko. Najpompatyczniej dominowało c. k. starostwo w piętrowej kamienicy. Ulice i rynek zasypane były śmieciškami, błotem i najwstrętniejszemi nieczystościami. Przed każdym domem błoto i śmiecie. a w śmieciu tem roje działy żydowskiej, brudnej i biednej w swem fizycznym i moralnem opuszczeniu. Po za miastem dopiero, na czystsze i świeższe powietrzu wzdłuż gościńca rozsiadły się czyste domki z białemi ścianami i z wiankami zielonych ogródków.

A i towarzyskie stosunki w oplakany znajdowały się stanie. Plotki, obmowy, nudy — oto treść życia towarzyskiego. A jeśli kiedy pojawił się wieczorek muzyczny lub teatr amatorski, to było to tylko hasłem dla zaciętych plotkarzy, i wykpiwano się wzajem i wyszydzano. Gniewy rosły nieustannie i niezadowolonia, a po nich następowały znów słodczyce i uściski, i tak dalej a dalej jak w parowym tartaku.

W takich to stosunkach szósty rok już wiodła swój zawód nauczycielski wśród ciągłej walki, wyczekując lepszej doli owa poetyczna Marylka. Samo przejście przez ulicę było męczarnią dla niej, a powtarzało się codziennie 4 razy. Widok tych brudów, tej nędzy ludzkiej dla jej estetycznego oka bywał torturą codzienną. A dodać do tego okropne wyziewy gnijących i rozkładających się cząstek organicznych wśród błota, a dodać ustawiczne widoki biednych, umęczonych koni maltretowanych przez żydów. Nie masz biedniejszego zwierzęcia jak koń żydowski. O lichej karmie dźwigać musi ciężar nad siły bez wytchnienia, aż póki mu siły nie zbraknie zupełnie i nie padnie na drodze.

Marja zasłaniała oczy, przechodząc obok takich wozów ładownych zaprzężonych wychudłemi, znużnionemi szkapami. Biedne zwierzęta wyciągały szyję i sapwały strasznie, aż charczenie przebrzmiało w ich płucach zmęczonych a ciało drżało na nich od wyczerpania a potwór w ludzkiej postaci stał i smagał biczyskiem z całej siły. Marja uciekała zasłaniając oczy przed wstrętnym widokiem tortury zwierzęcia i poniżenia człowieka, a w uszach długo drżało jej charczenie biednego umęczonego konia i świst batoga. Z początku odzywała się do nieludzkich żydów, próbowała perswazji lub groźby, lecz śmiano się jej w oczy z jednego i z drugiego aż widząc bezskuteczność swych uwag, starała się tylko uciec jak najprędzej. Myślała że u inteligentnych osób znajdzie poparcie — niestety! pokiwno głową, uśmiechnięto się z niej tylko szyderczo i na tem koniec, a po za oczy wyśmiano chęć odznaczenia się od drugich afektowaną litością! . .

Gdy weszła do smutnej izby szkolnej, jawiła się oczom jej dziatwa biedna, licho odziana i głodna po części. A w umysłach tych dzieci tak pusto było i ciemno, że ani promyka bożego dopatrzeć tam nie było można. Toż serce jej wezbrało niezmierną li-tością dla tych małych i biednych. Zapragnęła ulżyć im sercem i pochodnią wiedzy rozprószyć tę straszłą ciemnotę, zalegającą ich umysły. Lecz tutaj dla działalności swej znalazła nieprzeparte zapory. Nikt jej dążeń nie wspierał, wszędzie znachodziła przeszkody, a nędza i ubóstwo dokonywały reszty, dzieci te które zdawały jej się być dobrymi, biednymi tylko, przyniosły ze sobą z ulicy spory zapas uporu, złości i zepsucia. Trudna była z nimi sprawa. Rodzice zaś byli obojętni na wszystko, nie zgłaszali się nigdy, nie zajmowali się dziećmi i posyłali je do szkoły tylko pod grozą kary pieniężnej.

Nie mając prawdziwego zamiłowania do swej pracy, zniechęciła się wkrótce jeszcze więcej, a porzuciwszy wszelkie wznioślejsze plany, zeszła do rzędu prostej robotnicy z musu dla chleba tylko.

W stosunkach towarzyskich również nie znalazła nikogo, ktoby ją zrozumieć potrafił. Nie umiała się nastroić do ogólnej modły i padła ofiarą większości liczebnej, która przeciw niej się zebrała. Nazywano ją dumną i karcono to srodze, bo jak może nauczycielka uboga być dumną; panie zdobne tytułami swych małżonków konsyliarzów, sekretarzów, inspektorów, etc. etc. unikały jej, bo rozmowa im się nie wiodła z Marją, która wołała milczeć jak liczyć pierścionki na palcach obecnych pań, opatrywać suknie i omawiać ich cenę i narzekać na mięso lub na sługi. Panowie zaś obserwowali ją z daleka a pod grozą surowych spojrzeń żon swych i narzeczonych nie śmiały się zbliżyć otwarcie, a Marja poznawszy nieopisaną zazdrość tych pań wszystkich, tak stała się zimną i nieprzystępną, i taki chmurny wyraz na twarzy przybrała, że nikt nawet już później nie starał się zbliżyć do niej.

Czekała wyzwolenia.

Wróciwszy z wakacyi po owem oświadczeniu Zygmunta, schmurniała bardziej jeszcze, zamknęła

się w sobie zupełnie i żyła jednym tylko uczuciem. W ten skoncentrowały się wszelkie promienie myśli, żyła oczekiwaniem i nadzieją. Aż pewnego razu z łona mgły szarej wniosło się piękne złote słońce szczęścia i jasne blaski rzuciło na nią, zmartwiała w boleści, aż roztajały skrzepłe powłoki obojętności.

Tem słońcem, tą radością była wieść od Karola a wieść niosąca jej nadzieję bliskiego szczęścia. Aż powierzchownie się zmieniła, bo wewnętrzne zadowolenie odbija się zawsze zewnątrz, i w twarzy łagodzi i zaokrągla wszelkie ostre linie i rysy, które wyłobit ból, walka i gorycz, aż stały się cechą fizjonomii. Cóż dopiero gdy twarz jeszcze młoda, gdy te linie goryczy i gniewu świeże jeszcze i nie głębokimi wryte bruzdami, a gdy uczucie wielkie, silne, gorące i przenikające całe jestestwo człowieka.

Od Ciebie teraz wszystko zależy, najdroższa, — pisał jej Karol, a ona drżała rozkoszą, uniesieniem i miłością bezmierną, czytając ten list pisany widocznie z całą siłą uczucia, które tryskało barwną kaskadą gorących słów miłości.

— Czy ja będę godną takiego męża — myślała w prostocie ducha, on tak młody jeszcze, a ja — ni piękną nie jestem, ni zdobną urokami wdzięków na wpół naturalnych, na poły sztucznych, jakimi błyszczą inne kobiety. Mnie już południowe słońce przyświeca nad czołem a dnie wiosenne tak daleko za mną — przeszły. Boże! Boże! otuchy!

I znów patrzyła w zwierciadło, to list Karola odczytywała, to myślą biegła ku niemu, dopóki nie nadeszły dnie oczekiwanej podróży, by się zobaczyć z Karolem.

Dwa dni i dwie noce długie, ciemne przepędziła w podróży. Sen jej się nie miał wcale i głodu nie czuła. Usta płonęły gorączką, w skroniach szumiało, myśli zbiegły się wszystkie w treść jedną tylko, w jedną myśl rychłego zobaczenia Karola.

Czyż on o tem wiedział, czy przeczuwał jakie to serce rwie się ku niemu, jaka siła je wiedzie ku niemu, gdy siedział w eleganckiej restauracyi wygodnie i popijał szumiący i pieniący się ulubiony napój

Wiedeńczyków, i gdy stał później na platformie przed dworcem, by pierwszy mógł Marją powitać.

Pociąg zwolnił, stanął. Marja ledwie już mogła doczekać się chwili, wyskoczyła i uszedłszy kilka kroków zaledwie ujrzała ukochanego i uczuła uścisk dłoni serdeczny, a w oku jego i w tem uściśnieniu świat szczęścia cały był dla niej.

Poszli zwolna, a stawali czasami patrząc w oczy płonące a ręce złączone uściskiem wypowiadały dzieje miłości lat ubiegłych, rozmawiali oczyma i uściskiem, bo usta milczały.

Wieczór zeszedł cały jak chwila jedna, lecz w chwili tej było życie całe.

A zrana zbudziła się Marja wcześniej, zawcześniej nawet, o wiele za wcześniej na to, co w dniu tym wycierpieć miała — był to ostatni pogodny ranek jej szczęścia.

Po południu znaleźli się sami a Karol rzekł szorstko :

— Wszystko czego pragniesz, mogę zrobić dla ciebie prócz jednej rzeczy, która jest niepodobną.

— Cóż takiego? — spytała Marja.

— Prócz tego, bym się ożenił z tobą.

Fala trupiej jakiejś żółtej bladości zaalała twarz Marji, usta drgnęły boleścią i upokorzeniem, nie mogła wyrzec ani słowa, cios był zbyt nagły i zbyt niespodziewany.

— Mówię ci to dla tego, żebyś nie myślała, że nie chcę ci dotrzymać słowa. Owszem jest to moim zamiarem, ale teraz nie mogę, bo nie jestem niczem, wszystko mnie zawiodło.

— Przy twoich zdolnościach — wyrzekła Marja.

— Przy moich zdolnościach — o mylisz się mocno, były — lecz teraz nie ma ich wcale. Jam niedołączny, nic, zero, a marzenia moje, nadzieje moje, przyszłość moja — wszystko znikło. Dziś niczem nie jestem, a taki jak jestem niedołączny, głupi — patrz na mnie — to twoje dzieło. Dziś tryumf twej cnoty! Dziś święto dla ciebie — mówiłaś że mnie kochasz a stałaś się mojem przekleństwem.

Zatrwożona, skamieniała niemal patrzyła Marja

szeroko rozwartą źrenicą, aż wyszły jej słowa błagalne z ust zaciśniętych.

— Boże! to straszne! przebac mi Karolu! musisz mnie bardzo nienawidzieć.

— O tak, są chwile że cię tak nienawidzę jak demona, co wplątał się w życie moje, by zatruć je i zniszczyć. A czasem znów kocham cię bez granic, do szaleństwa prawie. O Marjo! czem ty mogłaś być dla mnie, gdybyś była chciała.

— Nie mów tego, nie mogłam być inną, wychowanie moje, otoczenie całe, zresztą ty sam pogardzałeś lekkimi kobietami, obawiałam się ciebie nawet, byś mnie ze wzgardą nie odepchnął od siebie. Gdybym mogła była przeczuć.... Boże! Boże! wszystko stracone!

— Stracone — z goryczą rzekł. Stracone na zawsze. Mój ojciec chory. Ja wyrobnikiem dla chleba stać się muszę w przyszłości, a ty radź sobie jak chcesz, zanim będę mógł.... ożenić się z tobą, choć sam nie wiem, kiedy to nastąpi kiedy będę mógł otrząsnąć się z tego niedołęztwa, z tej apatji, co ciemniem mroczy mi umysł znękany.

— Cóż to takiego? dlaczego tak poddałeś się złym wpływom, przecież siła woli....

— Siła woli — przerwał Karol, tej we mnie śnać nigdy nie było. Rozpacz mnie się czepiła, chciałem zapomnieć, piłem, szukałem rozkoszy umysłowych. A gdybyś wiedziała, jakie miłe są kobiety wiedeńskie, jak szczerze oddają się kochankom, nie licząc koniecznie na zamężcie, a i Polek wiele poznałem, które kochały mnie prawdziwie. Gdy kobieta filozofuje, przestaje być tem, co jej największym jest urokiem.....

— Przestaje być rzeczą, a staje się człowiekiem — wtrąciła Marja.

— Bynajmniej, staje się wstrętną. I teraz widzę, że seminarja więcej w kraju naszym szkody przyniosły niż pożytku. Wytworzył się liczny zastęp emancypantek, a emancypacja ta, wstrętna u kobiet wszelakiej narodowości, najnieznośniejszą bywa u Polek. Dzieje nasze całe, krew polska nie znosi tego obcego pierwiastku, on się w niej oddziela zupełnie

i z każdej emancypowanej Polki czyni egzemplarz dziwny i wstrętny. Dla Polki światem dom, rodzina, mąż, lub kochanek, a wszelka filozofja, choćby najgłębsza nie zastąpi uroku pierwotnej prostoty i niewinności. I cóż, Marylko — rzekł łagodniej nieco, widzimy się raz ostatni

— O nie! nie Karolu! tylko nie to — rzekła i rozplakała się rzewnie.

— Więc cóż? pobrać się nie możemy chyba tak, że ty mi dasz zapewnienie że nie będziesz mieć do mnie pretensyj żadnych co do utrzymania, a zostawisz mi wszelką swobodę działania — skoro od ołtarza odejdziemy, rozłączymy się natychmiast.

Przez głowę dziewczęcia mignęła znów nadzieja, ta urocza zwodnica, — a może go przykuje do siebie i z czasem może on wróci całym sercem do niej.

— Dobrze — szepnęła.

— Ale pamiętaj, ażebyś nie narzekała, bo sama chcesz tego losu.

— Nie, Karolu! wiem iż być inaczej nie może, więc zgadzam się na wszystko.

Rozmawiali jeszcze dość długo, po gwałtownym płaczu uspokoiła się Marja, a gdy Karol powstał by odejść, chociaż wiedziała, że mogłby dłużej jeszcze pozostać i wieczór cały nie zatrzymała go ani słowem, pochylił się ku niej, dotknął jej ust ustami swemi, lecz pocałunek ten lekki, zimny, straszny był jakiś, niby pocałunek umarłych. A był to przecież w ich życiu pocałunek ostatni.

Zimno jakies lodowe od ust biednej Marji przeszło przez nią całą; sztywna patrzyła za Karolem długo. Szedł piękny, blady, a w oczach mu niby dawna miłość błysnęła. Odszedł od niej i nie wróci — nie wróci nigdy — już znika ... jeszcze, jeszcze... już go niema.

Prawda, raz jeszcze się zobaczą przed ołtarzem i złożą ślubną przysięgę i raz jeszcze dotknie ukochanej dłoni, raz jeszcze spojrzy mu w oczy prześliczne i na twarz tę bladą o posagowych rysach, raz jeszcze głos ten z ust dumnych, pąsowych wypłynie lekkich eterowych drgnień falą, a ta fala wpłynie do ucha, do duszy jej, a będzie to głos przysięgi ślubnej, a

kto stałość przysięga, Bóg go nagradza — raz jeszcze a potem....

A potem.... może.... i nadzieja ta zwodnica uroczą owiała ją tchnieniem różowem, i chwilami, chwilami budziła promyki uczuć i łagodziła krwawe bole zawodu.

Nieświadoma sama siebie wróciła powoli do domu. A sprzęty w pokoju tak dziwne jej się wydały, a ludzie nowi jacyś zupełnie. Zapomniała zupełnie, kogo знаła przedtem. Co kto się zjawił jej oczom, dopiero zwolna wygrzebywała z poplątanej myśli nazwisko, kto to być może? myślała.

A rozmowy z ludźmi! Wszystko ledwie z wysiłeniem przypomnieć sobie mogła... wszyscy dziwili ją swem opowiadaniem, z kąd oni to wiedzą? myślała.

Idąc ulicą, nie widziała brudnej dziatwy żydowskiej, nie widziała biednych koni zmęczonych, nie słyszała gwaru jarmarcznego, nie czuła jesiennej burzy nad czołem.

A w zwierciadle jawiła się jej twarz żółta, zwiędła, zmęczona, czy to ona tak stara w 25m roku życia? Lecz czas, to stary a doświadczony lekarz na wszelkie choroby mózgowie a miłość jest jedną z takich, i Marji zwolna także skuteczne leki podsuwał, że otrzęsła się z gwałtownej rozpacz i poczęła rozpatrywać się głębiej we wszystkim i miasto surowych wyrzutów, które sama sobie czyniła, przeszła zwolna w inną zupełnie rolę, w rolę pokrzywdzonej.

Do tego przyczynił się list Karola, który w kilka tygodni nadszedł z zapytaniem, czy ona trwa jeszcze w zamiarze poślubienia go w warunkach, które jej już podał powyżej albo czy też woli stanowcze zerwanie wszelkich stosunków. Oburzona do głębi chciała zerwać z nim zaraz, ale żądza zemsty podszeptała jej co innego — lepiej go przykuć do siebie na zawsze, będzie cierpiał przynajmniej — pomyślała w gniewie i odpisała, że wszelkie warunki przyjmuje. Na to otrzymała w kilka dni później odpowiedź i zawiadomienie, że Karol wkrótce sam przybędzie, aby uporządkować ostatecznie przedwstępne formalności, aby ślub odbyć się mógł bezzwłocznie. Teraz dopiero stanęło

jej przed oczyma okropne jej położenie w całej swej grozie potwornej. Więc dla zemsty, i to wątpliwej ma być całe życie niewolnicą, ma nosić imię małżonki i nazwisko człowieka, który ma być dla niej obcym zupełnie.... Nie! nie! to niepodobna! A zresztą — zobaczyć go teraz, w krótkce i mówić z nim, po co? wszak on ją tak musi strasznie nienawidzić, a i ona żal czuje głęboki, nie... oni się widzieć nie mogą już nigdy, nigdy. Czuła że widoku jego znieść by nie mogła, lepiej skończyć... Wszak satysfakcja po jej stronie, dawał jej swe nazwisko, więc nie pogardzał nią, to dosyć. Ostatecznie obawiała się sama siebie, któż wie, może nie potrafi zachować się obojętnie? Może się rzuci do kolan męża już swego i błagać go będzie, by jej nie odtrącał od siebie, a takie poniżenie.... okropność, szczególnie jeśli ją odepchnie.

Niel sto razy nie!

Pożegnała go kilkoma słowy na zawsze, zamknęła list, a oddając go na pocztę czuła, jakby się rwała ostatnia nitka nadziei, jak by gasły ostatnie promienie szczęścia.

I noc zapadła na zawsze.

Od tej pory okropnie jej było na świecie. Jak ciecń błąkała się między ludźmi nie rozumiejąc ich wcale, i od nich nawzajem nie zrozumiana. Zajęcia swe spychała tylko ze wstrętem, a każde słowo przyjaźni lub współczucia odpychała od siebie z pogardą.

— Nie potrzebuję nikogo już teraz, co mi po nich. Już umarłam, trup włóczy się żółty po ziemi.

Zamknęła się w sobie, a rozpacz sączyła swe jady trujące zwolna w myśl każdą. Czytała tylko wiele, zabijała się czytaniem, czasem pieściła się wspomnieniami, choć najczęściej oddawała się czarnym myślom zwątpienia.

Często zamyślała się tak że nie słyszała, co się wokoło niej działo. Widma przeszłości, dawne nadzieje w szalonych płasach migaly przed nią, wiły się w blaskach słońca, drgały w ponurej pieśni północnych wichrów.

Co robić z życiem? pytała sama siebie. Myślała że umrzeć potrafi, niestety! zbyt niedołązną była, by sobie odebrać życie, zbyt małoduszną. Męczyło ją

wszystko, słowo każde co do niej kto mówił. Żaden przedmiot jej nie zajmował, nic zupełnie. Z czasem dopiero gdy się jej udało wyjechać trochę zagranicę, ożywiła się nieco i nabrała chęci do pracy; lecz na dnie duszy osiadła taka gorycz, że niczem, niczem już usunąć się nie dawała.

Minęły w końcu burzliwe lata młodości, przeszło południe a życie zwolna chylić się zaczęło ku wieczorowi, choć lata jeszcze były dość młode. Lecz walką i zgryzotą postarzała się prędzej niż inne kobiety, którym jedwabną przędzą snują się dnie całego życia.

XI.

„Roilem, marzyłem,
Czcie mary gonilem,
Wiatr — rozwiął sny złote przedemną!“
(Ballada jakich wiele.)

Wicher listopadowy wił się i jęczał po ulicach, dzwonił o szyby, o tarcze zegarów, o rogi kamienic i domów. Noc rozsypała czarne promienie ciemności, zakryła nimi wszelkie zbrodnie świata i otuliła ziemię pokojem sennego odpoczynienia.

Czyż wszystkim danem było, usnąć cicho, wypocząć i sił nabrać świeżych?

Na trzeciem piątrze w ponurej, odludnej ulicy migotało światło w okienku. A w samotnym pokoju leżała na łożu chora, nie młoda już i strasznie wynędzniała kobieta. Poduszki ułożone były wysoko a na nich oparta w siedzącej prawie pozie opierała się chora. Włos ciemny jakiś nawpół osiwiwały i rzadki spletał się bezładnie nad czołem wysokim i żółtem jak воск. Oczy świeciły gorączką wprawdzie, lecz wyraz miały pogodny i spokojny. Piers wychudła podnosiła się ciężkim świszczącym oddechem. Ręce piękne splotły się i spoczywały nieruchomie na czarnej wielkiej

księdze, leżącej na kołdrze. Patrzyła przed siebie i świecące oczy zwracała czasami na zegar, to znów na lampkę, to na czarną księgę i na wychudłe swe ręce.

Obok na małej kanapce spała głębokim snem nie młoda już prosta kobieta, widocznie służąca. Na stoliku stały flaszeczki z lekarstwami i proszki, i wino wzmacniające. Nad łóżkiem kilka fotografii.

— Katarzyno! Katarzyno! — zawołała chora z cicha zmęczonym, niepewnym jakimś głosem.

— Co? proszę pani — i służąca poruszyła się przecierając oczy.

— Proszę ciebie, wstań... Katarzyno!... — silniejszym głosem krzyknęła chora niecierpliwie.

Katarzyna podniosła się zwolna, sapiąc i stękając.

— Która godzina?

Katarzyna zdziwiona spojrzała — toż pani sama zawsze patrzyła na zegar....

A nie domyślała się nawet, że pani już mroczne cienie śmierci padły na oczy.

— Wpół do trzeciej, proszę pani.

— To do dnia jeszcze daleko?

— Jeszcze ze cztery godziny.

— Jak tu doczekać się tego dnia.... Boże!... — jęła chora, a westchnienie ciężkie, okropne podniosło pierś chudą i żółtą.

— Podaj mi wina.

Katarzyna wlała wina do kubka i podała chorej, lecz ta drżącą ręką utrzymać go nie mogła, Katarzyna pomogła jej do ust kubek przyłożyć — niestety! połknąć nie było już siły.

— Postaw, połóż się, Katarzyno.

Katarzyna chętnie bardzo usłuchała rozkazu i za chwilę chrapała w najlepsze. A przed okiem konającej ciemniej i ciemniej już było a ręce stygły, śmierć cienie swe rzuciła na czoło, a bruzdy w twarzy martwiały i sztywniały. Lecz życie jeszcze w niej było.

Zwolna powiodła wzrokiem po obrazkach, czy poznała ojca, czy też pamiętała że on tam jest także — dość że wprost ku niemu wychudłą rękę wy-

ciągnęła, lecz odjąć nie mogła, nie miała władzy. Spojrzała potem na zegar, na śpiącą Katarzynę, a z oczu zwolna łyły duże błyszczące i smutne, ostatnie łyły na tej ziemi spłynęły po sztywniejących policzkach, spadły na białe poduszki i długo świeciły brylantowemi kroplami.

Straszna to śmierć dla wszystkich. To przejście powolne w stan martwoty. To sztywnienie ciała, mięśni, nerwów i to powolne umieranie zmysłów jednego po drugim. Słuch i wzrok zwykle najdłużej dotrzymują. A stokroć straszniejsza śmierć, gdy człowiek sam na ziemi. Gdy się nikt z czułą nie pochyli żrenicą, gdy nikt za nami nie zapłacze! Opuszczenie to straszne! Okropna samotność w chwili konania.

Nadeszły w końcu poranne chwile.

Katarzyna wstała, a przy blasku światła dziennego poznała zmianę w twarzy swej pani. Zatrwożyła się trochę, posłała po lekarza i poczęła się dopytywać, czy może posłać po księdza.

Chora nie odpowiadała! — Oczy zwrócone były ku oknu, tonęły w świetle, i widocznem było po tem ich niezmiernem wyteżeniu, że ostatki życia czepiają się jeszcze światła, wlepiają całą siłą gasnących już żrenic w te szklanne płatki w oknach, przez które płyną słoneczne promienie, światło, jasność.

A twarz jej blednieje i usta okrążają się ciemną, sinawą barwą, nos żółty, ostry jak z kości słoniowej, oczy niby blachą obwleczone, palce zimne, sine, przechodzą w żółtawą barwę trupa. A na twarzy tej pokój błogi się ściele i uśmiech osiada na ustach, a twarz młodnieje niby twarz dziecięcia, zmarszczki się wygładzają, ostre rysy bólów nikną, mięknią, śmierć, ta wielka artystka zaciera je zupełnie, zdobiąc twarz martwą wyrazem pokoju. A oddech coraz rzadszy, świst w piersi ustaje, tylko lekkie słyhać rżenie — zwolna coraz zimniejsze tchnienia ustami wychodzą sinemi, jeszcze raz lub pary razy odetchnie, potem nastąpi jedno westchnienie głębokie, ostatnie i życie uleci w tym uśmiechu, co jej tak słodko okrążył usta.

Sługa klęczy i odmawia pacierze, przez drzwi otwarte chłopiec jakiś mały wsunął głowę ciekawie,

na stole usiadł kotek i wymywa się łapką jak zawsze, a słońce rzuca koronę z promieni swych złotych na osiwiące włosy konającej.

Nagle ozwały się głosy w sieniach i czyjeś kroki zbliżają się do drzwi, wchodzą....

— To lekarz z jakimś drugim panem, który tu nie był jeszcze, — jak to w myśli konstatuje Katarzyna.

Lekarz zmięszał się widokiem konającej, a bardziej może jeszcze zdziwił się zachowaniem swego kolegi.

Nieznamy, idący za lekarzem wchodził obojętnie; lecz nagle zatrzymał się na środku, stanął, zbladł niezmiernie, oczy roztworzyły mu się szeroko! Potem rzucił się ku łożu, chwycił rękę umierającej i rzekł do niej z cicha a tak miękko i miłośnie, że całe dzieje ubiegłe z tego słowa zabrzmiały:

— Marjo!

Umierająca drgnęła na ciche brzmienie tego głosu, wytężeniem jakimś straszmem oderwała oczy od szyb migocącego światłem, kryształu i z nieopisanym wyrazem bólu zwróciła je na twarz mówiącego.

Patrzyła nań długo, przynajmniej tak się obecnym zdawało, że długo, a było to sekund kilkanaście może, naraz widocznie wróciła jej uszpona już pamięć przeszłości a z pamięcią i ból jeszcze wrócił, straszny, ostatni ból na tej ziemi.

Krew, ta zziębła już krew, pąsową strugą nabiegła do twarzy, buchnęła do żył wszystkich, nabrzmiwających okropnie na skroniach i na szyi wychudłej, a oczy jakby z oprawy wysunąć się chciały, takim strasznydmu dziękuję bólesci i szatańskiego wyrzutu błysnęły wyrazem.

Szarpnęła ręką, oparła się nią o poduszki i podniosła się, o własnej sile siadła prawie na łożu.

Drugą rękę wplątała w osiwiące włosy nad czołem, pociągnęła je gwałtownie, a z ust wyrwał się dziki, straszny jęk jakiś i krwawa piana na nich osiadła. Drgnęła, zawróciła oczyma, padła na poduszkę, i.... skonała.

Katarzyna uciekła, lekarz oczy dłonią przysłonił.

A kiedy dłoń odjął od oczu, zobaczył swego kolegę klęczącego przy łożku z czołem o krawędzi stołu opartem a zmarła zeszywniała już, zbladła i zwolna konwulsjami zmęczone rysy wygładzały się niewidoczną pracą wielkiej artystki — śmierci. Zbliżył się do klęczącego, dotknął z lekka jego ramienia i rzekł:

— Karolu! chodź!

Tamten powstał, zachwiał się jak pijany i wyszli, bo już schodzić się tu zaczęła zgraja jak zwykle.

Skoro odeszli trochę, lekarz spytał swego towarzysza:

— Czy pójdziesz do nas? Wandzia ci przyrządzi może co pokrzepiającego, potem i ja nadejdę a teraz muszę wrócić tam i wydać potrzebne dyspozycje.

— Dziękuję ci serdecznie, kochany Ludwiku — odrzekł Karol, lecz muszę być sam trochę, muszę przyjść do siebie. Wiesz, to ona była, o której ci opowiadałem!

— Domyśliłem się tego — odrzekł Ludwik, ścisnął dłoń przyjaciela i rozeszli się.

Ludwik wezwał Karola jako zdolnego lekarza do wspólnej narady nad stanem chorej, nie chcąc brać całej odpowiedzialności na siebie, tymczasem musiał być mimowolnym świadkiem okropnej tragedji życiowej.

Pogrzeb odbył się dosyć uroczyście: udział publiczności był znaczny, a na katafalku zmarłej wiele wieńców złożono i kwiatów.

Między innymi był na pogrzebie dr. Ludwik z żoną i Sylwery i Olga i p. Solska.

Karola nie było.

Raz tylko gdy grudzień całą ziemię owiał miękka, śnieżną oponą, zaszedł na cmentarz, uszczknął gałązkę z wieńca zawieszzonego na krzyżu, podumał nad grobem i rzekł:

— Jesteśmy pomszczeni oboje!

Odtąd już wieści o nim zginęły aż po długim, długim czasie mówiono, że pisał do Ojców Dominikanów w Krakowie, aby mu przysłali odpis metryki, bo zamierza się żenić.

Dwie siostry,

sonet.

Poezja i muzyka, dwa duchy pokrewne,
Jak gdyby wspólnej matki rodzone siostrzyce,
Obie zarówno tęskne, obie równo rzewne, —
Wyobrażnia i serce — oto ich rodzice. —
Obie pochodzą z serca i płyną do duszy,
Obie równo wymowne i tkliwe w wyrazy.
Poezja swemi słowy lody serca kruszy,
Muzyka swemi tony martwe wzrusza głązy. —
Gdy serce się rozkwili tęsknotą dręczone,
Gdy dusza ma upada pod bolu ciężarem,
W pomoc mi zaraz spieszą te siostry rodzone,
Pocieszają me serce mowy swojej żarem,
Dotąd kołyszą, tulą, dokąd ukojone
Nie uspi się płomienne ich miłości żarem.

Felicja z J... L....

Nasze budowle pamiątkowe

w Galicji.

II.

Kościół parafialny rz. k. w Drohobyczu (z 2ma litografiami.)

W pierwszym artykule odnośnym w roczniku VI. na stronie 180 obiecaliśmy w przyszłym roczniku napisać nieco o stylu nadwiślańskim, a mianowicie, o wzorze do niego, rzym.

sko-katolickim parafialnym kościele w Drohobyczu. Z tego przyrzeczenia obecnie się wywiązujemy.

Już w pierwszym artykule nadmieniliśmy, iż styl nadwiślański jako odłam stylu gotyckiego północnego, następującego u nas chwilowo po stylach romańskich, a zatem jako prawnuk stylu rzymskiego, więc i greckiego pochodzi w dalszej linii tak samo od stylów wschodnich, jak od nich pochodzi styl bizantyński, w którym przed XIV. stuleciem budowano u nas w Polsce kościoły a na Rusi cerkwie mianowicie drewniane.

Jak dalece cerkwie drewniane na Rusi zachowały do dziś dnia prototyp stylów indyjskich, dowodem na to może posłużyć cerkiew św. Jura w Drohobyczu, opisana w szóstym roczniku naszym.

Styl klasyczny grecki przeniesiony na ziemie dzisiejszych Włoch w zamierzchłej przeszłości przedchrześcijańskiej zetknął się na tej ziemi z pierwotnym stylem etruskim już zkrystalizowanym, przyswoił go sobie tak dalece, że się w końcu z tego wyłonił około roku 750-go przed Chrystusem styl rzymski czysty, a w następstwie styl wczesno-romański.

Gdy równocześnie wytworzone na wschodzie style bizantyńskie w skutek rozlicznych powodów zakrzepły i niepostępowały w rozwoju, wykazuje styl rzymski nieprzerwany rozwój na Zachodzie Europy w stylach wczesno- i późno-romańskich aż do stylu gotyckiego, który się u nas w Polsce nie miał czasu ustalić, albowiem go przed tem ustaleniem zaskoczył styl odrodzenia, następujący niemal w ślad za stylami bizantyńskimi u nas aż do czternastego stulecia panującymi. —

Po nader żarliwem budowaniu kościołów w Polsce przez naszych Piastów i ich oblubieńców jak n. p. Piotra Dunina ze Skrzynny, który sam przeszło 70 takich kościołów zbudował, nastąpiła przerwa długoletnia w czasie podziału Polski między synów Krzywoustego, a to mianowicie z powodu bezustannych zamieszek wewnętrznych jakoteż najazdów mongolsko litewskich. Gdy dzielna prawica Łokietka uspo-

koła zatargi wewnętrzne, a wschód na wodzy trzymała, gdy dalej ostatni Piast Kazimierz Wielki chwycił za berło, a rządny i łagodny rozpoczął dzieło przebudowania Polski z drewnianej na murowaną, był samo przez się zmuszonym poszukiwać budowniczych na zachodzie, na którym style romańskie ze stylem gotyckim natenczas i na korzyść tego ostatniego walkę staczały.

Z tego więc wynika, że tak jak na południowym wschodzie Słowiańszczyzny mianowicie w krajach naddunajskich, przedewszystkiem zaś w Serbii styl bizantyński pod wpływem stylów romańskich wytworzył się w osobny styl t. z. serbski; to na północnym zachodzie Słowiańszczyzny, a mianowicie w krajach nadwiślańskich, przedewszystkiem zaś w Polsce rozpoczynał styl ostrołukowy swe panowanie pod wpływem tych samych stylów romańskich w t. z. stylu nadwiślańskim i tylko nader szybkiemu rozwojowi stylu odrodzenia przypisać należy ten fakt, że styl nadwiślański w kolebce niemal zaginął. —

Wszystkie więc, a nader nieliczne zabytki stylu nadwiślańskiego w Polsce pochodzą z czasów Kazimierza Wielkiego i pierwszych Jagiellonów, a za czasów Bony znachodzimy styl odrodzenia (włoski), już stanowczo panujący. Z tej też epoki Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły pochodzi rz. k. kościół parafialny w Drohobyczu, brat rodzony fary bieckiej (patrz pierwszy rysunek, przedstawiający kościół r. k. w Drohobyczu od południa.)

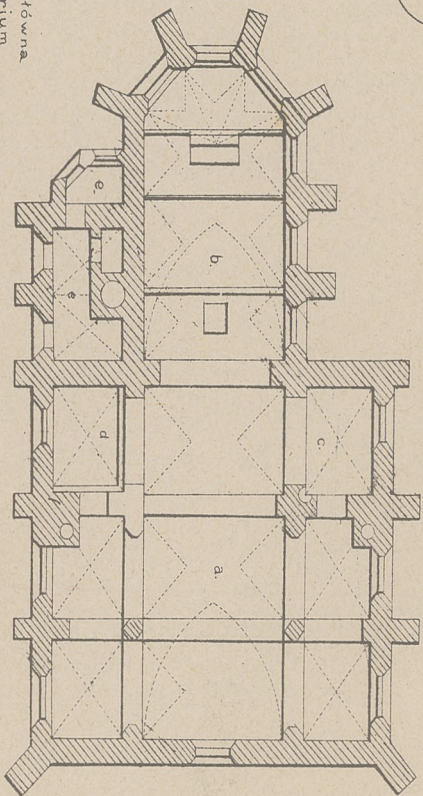
Styl nadwiślański jakkolwiek ostatecznie nie wyrobiony daje się poznać przede wszystkim w zadziwiającej sile obronnej budowy, w kwadracie nawy głównej, przedzielonej dwoma rzędami ośmiogrannych słupów, w kierunku od zachodu na wschód, w znacznie niższych lokacjach sklepień bocznych od sklepień środkowych głównej nawy, w ośmiogrannem zakończeniu części presbiterjalnej, jakoteż prócz tego w szczytach romańskich, osłaniających dach wysoki, szpiczasty od wschodu i od zachodu. Tyle wziął styl nadwiślański

od stylów romańskich dalsze zaś znamiona niezwyklej wysokości murów, a zatem narożnych i środkowych przypornic, wązkich, wysokich ostrołukowych okien i takichże sklepień w rozmaite desenie żebrowanych zawdzięcza styl nadwiślański stylowi gotyckiemu.—

Kościół farny w Drohobyczu zachował prócz tego niezwykle już nawet w późniejszym stylu romańskim chór boczny (Lettner, lectorium, rostrum, pegna, doxale, Apostelgang, Lesegang), po stronie ewangelii w nawie głównej w północno-wschodnim rogu w górze umieszczony i korespondujący z nim skarbiec, czyli bibliotekę umieszczony w południowo-wschodnim rogu nawy głównej, oba w bocznych traktach tejże (patrz rysunek drugi, przedstawiający poziom kościoła); z czego znów dalej wynika, że fara drohobycka istotnie pierwszych początków panowania Kazimierza Wielkiego sięga. —

Podanie ludowe miejscowe nader żywo do dziś dnia zachowane, jakoteż ślady aktów dotyczących (aktu erekcyjnego nie ma) twierdzą, że w czasach przedpolskich na tem miejscu, na którem obecnie fara drohobycka stoi, było horodyszczce pogańskie, wyrugowane grecką cerkwią Panny Marji, którą Kazimierz Wielki w murowany kościół, obecnie stojący przemienił. Na poparcie tego podania ludowego istnieją do dziś dnia szczątki (ręka, noga i głowa) pogańskiego olbrzymiego bożyszczka, wygrzebanego z ziemi przy zakładaniu fundamentów i krypty kościelnych, wmurowane u góry w ścianie głównej nawy na zewnątrz od wschodu, a na południe od presbiterjum; dalej obraz Matki Boskiej w srebrnej oprawie i wtłaczanych liliach wschodniej formy. Według tego podania ludowego pochodzi ten obraz z owej cerkiewki greckiej. Obraz ten jest umieszczony we wielkim ołtarzu i rokrocznie do dziś dnia ruski kler przed tymże odprawia wschodnie nabożeństwo.

Fara drohobycka, której widok rysunku inżyniera E. L. Soleckiego podajemy, zbudowana z grubych murów ceglanych obecnie 18 metrów wysokich, nietynkowanych — zachowała się dość szczęśliwie aż



- a. Nawa główna
- b. Presbiterium
- c. Biblioteka paraf.
- d. Lictorium
- e. Nowa zakrestya

Kościół r. k. w Drohobyczu Poziom

po 134

do dziś dnia w pierwotypie, a o sile tych murów świadczy najlepiej okoliczność, iż kilkakrotne napady Turków, Tatarów, a nawet Kozaków nie podołały im. Że zaś te napady były nader gwałtowne i dawne, świadczy o tem odłam krzemiennej kuli 30 centmtr. średnicy wmurowany na zewnątrz w głównej nawie poniżej szczytków bożyszczka, jako też napad Tatarów z r. 1648-go, podczas którego według podania i śladów istniejących rąbano mury kościelne i pomniki celem poszukiwania skarbów, przyczem wyrznięto wszystkich mieszkańców miasta, nawet w kościele schronionych, a to tak dalece, iż obecni mieszkańcy drohobyccy już tatarskiego mają być pochodzenia. —

Gorsze jednak ślady barbarzyństwa popełnionego przez niedbałe lub nieumiejętne potomstwo wieków Kazimierza Wielkiego pozostały w zaniedbaniu tego domu bożego przez kapitułę Chełmską, do której kanonii kościół ten należał, jakoteż przez miejscowego patrona, t. j. gminę miasta Drohobycza, na koniec przez niefortunne i sprzeczne z pierwotnym stylem kościoła rozmaite dobudowy wieków ubiegłych.

Ostatnie ślady żywszego zainteresowania się tym gmachem, umiejętnego i hojnego, odnoszą się do królowej Bony, czyli do Katarzyny Ramultowej, właścicielki sąsiedniej Sniatynki, na której polach odkopują do dziś dnia kafle kwadratowe, zdobiące szczyty głównej nawy kościoła. Ramultowa zmarła przed rokiem 1525m i posiada pomnik z marmuru ciemnego w stylu odrodzenia w głównej nawie od strony ewangelii na pierwszym głównym słupie od wschodu. Na is tego grobowca uszkodzony przez pól podczas napadu w r. 1648m, przedstawia w resztkach w języku polskim piękny zabytek naszej mowy z pierwszej połowy szesnastego stulecia. —

Znacznie później przeniesiono chór boczny nad główny wchód od strony zachodniej; wybudowano w stylu baroque ciężkim i niezgrabnym obecnie stojący chór zupełnie nieodpowiedni stylowi kościoła i oszpecono tym sposobem tegoż wewnątrz przez zamurowanie swobodnych ośmiogranych dwóch słupów zachodnich.

Już z końcem XVIIIgo stulecia znalazł się dalszy oszpeciciel miejscowej fary w osobie proboszcza Jarockiego, który przy pomocy prostego murarza z pominięciem fachowych znawców obniżył starożytną dzwonnice, a z uzyskanej cegły zbudował w środku północnej ściany głównej nawy kaplicę Matki Boskiej w stylu baroque zniósłszy do połowy dwie gotyckie przypornice od tej strony, między którymi owa kaplica stała. Na pochwałę jednak tego proboszcza winniśmy zanotować, iż uporządkował bogatą miejscową bibliotekę przeważnie treści religijnej, umieścił takową w szafach w skarbcu kościelnym, spisał dokładny inwentarz kościelny, uporządkował i uratował od zagłady dokumenta i nadania królów polskich i cesarzy austriackich odnoszące się do kościoła, oraz zaprowadził racjonalną gospodarkę we wsi Dobrowlanach, należącej do kościoła drohobyckiego.

Z początkiem już XIX. stulecia dobudował któryś z proboszczów na zewnątrz presbyterjum między przypornicami kaplicę św. Jana, a wprzód jeszcze przed głównymi bocznymi drzwiami od strony południowej na zewnątrz głównej nawy murowany babiniec. Obie te przybudowy szpeciły niepotrzebnie zewnętrzny widok kościoła.

Dodać jeszcze należy, iż jak świadczy podanie miejscowe i znacznie wyższy szczyt pierwotny czoła presbiterjalnego, był też dach kościelny niegdyś znacznie wyższym, dachówką kryty, której resztki znajdują się jeszcze nad ośmiogrannym szczytem presbiterjalnym i na murze okalającym probostwo r. k.

Ślady aktów dowodzą, iż na utrzymanie tego kościoła w stanie dobrym nadali królowie polscy miastu prawo propinacji. Jakkolwiek uznajemy, iż nader niefortunny i nielogiczny był ten zapis i nie pojmujemy, w jaki sposób miał dom boży uszlachetniać mieszkańców, gdy w interesie własnej egzystencji i ochrony od zagłady musiało mu zależeć na rozpijaniu tychże, to jednak wzięwszy fakt jako taki musimy przyznać niestety, iż dochód z propinacji miejskiej aż nadto wystarczał i wystarcza na utrzymanie budynku tego

w stanie dobrym. Pomimo to i pomimo, że dochód propinacji coraz się wmagał tak, że sięgnął cyfry 80.000 złr. rocznego dochodu, był czas, w którym gmach kościelny rozpadać się począł i miano go rozebrać na magazyny wojskowe. Z tego upadku wyratowali go energiczni proboszcze już w początkach XIX. stulecia, bądź to przez rewindykację częściową funduszków propinacyjnych, bądź, i to przeważnie, nakładem własnym, dochodem mianowicie z kościelnej wsi Dobrowlan. Tak trwało do dziś.

W r. 1878 pokazała się woda w kruszcu kościelnej. Przy pomocy aktów zebranych przez ks. Jarockiego odkrył obecny proboszcz ks. Terlecki istnienie kanału odwadniającego, którego odszukania podjął się i dokonał inżynier i autoryzowany budowniczy Edmund Leon Solecki. Przy tej sposobności wykazał ten ostatni niebezpieczny stan fundamentów i murów kościoła, a to dało powód do gruntownej restauracji całego gmachu. Odnowienie to i oczyszczenie z naleciałości, dalej zbudowanie nowej piętrowej zakrystyi skuteczniał według własnych planów inżynier Edmund Leon Solecki w r. 1881 i 1882 na koszt gminy miasta Drohobycza i przy pomocy funduszków, udzielonych komitetowi kościelnemu przez Wysoki Sejm krajowy. Te ostatnie fundusze otrzymał komitet kościelny staraniem c. k. konserwatora starożytności dla wschodniej Galicji Dra Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. Na skutek tych prac przybrał też kościół drohobycki już obecnie we wielu względach kształty pierwowzoru. Usunięto kaplicę św. Jana i babiniec całkowicie; odsłonięto tym sposobem południowy portal z alabastru ciemnego, gotycki z kwiatonami, przypominający nader żywo od drzwi w Tęczynku, Mogile i Grybowie z tą tylko różnicą, iż od drzwi w Drohobyczu nie posiadają żabek i mieszczą u góry łaciński napis starogotyckimi literami (*Hoc templum gentes deus, benedic, memento eorum*), oraz nad drzwiami po lewej piastowskiego orła polskiego, a zaś po prawej herb miasta Drohobycza, (przewróconą piramidę dziewięciu topek soli w niebieskiem polu.)

Dalej odmurowano wszystkie zamurowane z końcem XVIII. wieku okna aż do stanu pierwotnego i zbudowano w stylu nadwiślańskim piętrową zakrystyą od północy w miejsce uprzątnionej starej, nieposiadającej żadnego stylu. — Celem ostatecznego przywrócenia pierwotnego stanu temu gmachowi pozostaje na zewnątrz usunąć zupełnie północną kaplicę Panny Marji lub kształt jej przerobić ze stylu baroque na styl nadwiślański; wznieść na powrót zburzone obie przypornice północne głównej nawy, zaopatrzyć główny wchód od zachodu kamiennymi odzwiami stosownie do takichże drzwi fundowanymi dla nowej, zakrystyi przez Stanisława hr. Tarnowskiego ze Śniatynki, zaopatrzyć dalej okna kamiennem żebrowaniem pierwotnem, wznieść dach do pierwotnej wysokości, zaś na wewnątrz zmienić obecny chór ze stylu baroque na styl nadwiślański, jakoteż wszystkie ołtarze, a mianowicie wielki z tegoż stylu na styl romański. To samo należałoby zrobić z ławkami, stallami, konfessjonalami i amboną. Uskutecznienie tych wszystkich robót nie podoła rok rocznie dzięki Bogu upadająca propinacja miejska, będąca prócz tego w silnych szponach żydowskich; jeśli więc ma się te roboty uskutecznić, to w takim razie będzie musiał kraj przyjąć inadalz pomocą.

Jesteśmy przekonani, iż c. k. konserwator dotrzyma danego słowa i nie przestanie kołatać do Wysokiego Sejmu tak długo o pomoc, zanim ten najdalej na Ruś posunięty zabytek pierwotnego stylu nadwiślańskiego nie uzyska swej pierwotnej cechy i trwałości. C. k. konserwator nie może w tej mierze liczyć ani na bogacących się propinacją miejską żydów drohobyckich, ani na ubożającą przez tę samą propinacją konkurencją miejscową, ani też na obecnych proboszczów, którzy dochody kościelne li tylko na swe osobiste cele obracają i zatracili poczucie ofiarności dawnych swoich poprzedników.

W końcu nadmienić nam tylko wypada, że c. k. konserwator powinien do wykonywania tym podobnych artystycznych robót używać, a raczej dozwolić używać li tylko rutynowanych architektów, a nie murarzy lub budowniczych bez artystycznego wykształcenia zmysłu i sumienia. Roboty około kościoła drohobyckiego i około dzwonicy drohobyckiej, wykonane w drugiej połowie roku 1883 po odstąpieniu od budowy inżyniera architektury Edmunda Leona Soleckiego noszą na sobie znamię niegodnej tandety, rujnującej to pomnikowe dzieło naszych przodków.

Ledwo się inżynierowi Soleckiemu udało wielkim kosztem i pracą choć częściowo napowrót wzmocnić mury głównej nawy i presbyterjum podziurawione na wskrós u szczytu w r. 1880 przez budowniczego Adama Berskiego, a już również nieudolna ręka budowniczego Przybyłowskiego podziurawiła na wskrós wszystkie trzy szczyty tej fary i osłabiła bezpowrotnie mury teje.

O dzwonicy obok fary stojącej, która się miała według planów inżyniera Soleckiego w stylu romańskim stosownie do dolnej części o 8 metrów wznosić, tyle tylko nadmieniamy, że ponieważ obecny proboszcz ks. Terlecki odstąpił w czasie budowy rozpoczętej od planów i kosztorysów zatwierdzonych przez konkurencją i c. k. konserwatora, a za plecyma inżyniera Soleckiego murarzom wprost zlecenia przeciwne zleceniom tegoż udzielał, widział się inżynier Solecki zmuszony, od odpowiedzialnego kierownictwa dalszej budowy odstąpić.

Następca inżyniera Soleckiego budowniczy Przybyłowski oddał się w osobistym interesie ślepo na usługi ks. Terleckiego, poczynił rozmaite zmiany w planach i kosztorysach inżyniera Soleckiego według wymagań ks. Terleckiego, oddziaływające stanowczo na budowę tak ze względów artystycznych jak i co do trwałości budowy, w skutek czego stanął gmach słaby, nieestetyczny, istne monstrum architektoniczne, nieodpowiadające prócz tego zamierzonym celom, gdyż niepodnoszące dzwonów, o co właściwie konkurencji chodziło.

Jeśli w ten sposób ma się marnować grosz

krajowy, to istotnie raczejby należało nie udzielać go komitetom kościelnym, nieumiejącym go spożytkować należycie, do dyspozycji, lecz winien c. k. konserwator bezpośrednio przy pomocy architektów, znanych z sumienności i fachowości roboty tym podobne wykonywać, z pominięciem bałamutnych niefachowców powodujących się li tylko namiętnościami.

Pisałem w Drohobyczu, 20. listopada 1883.

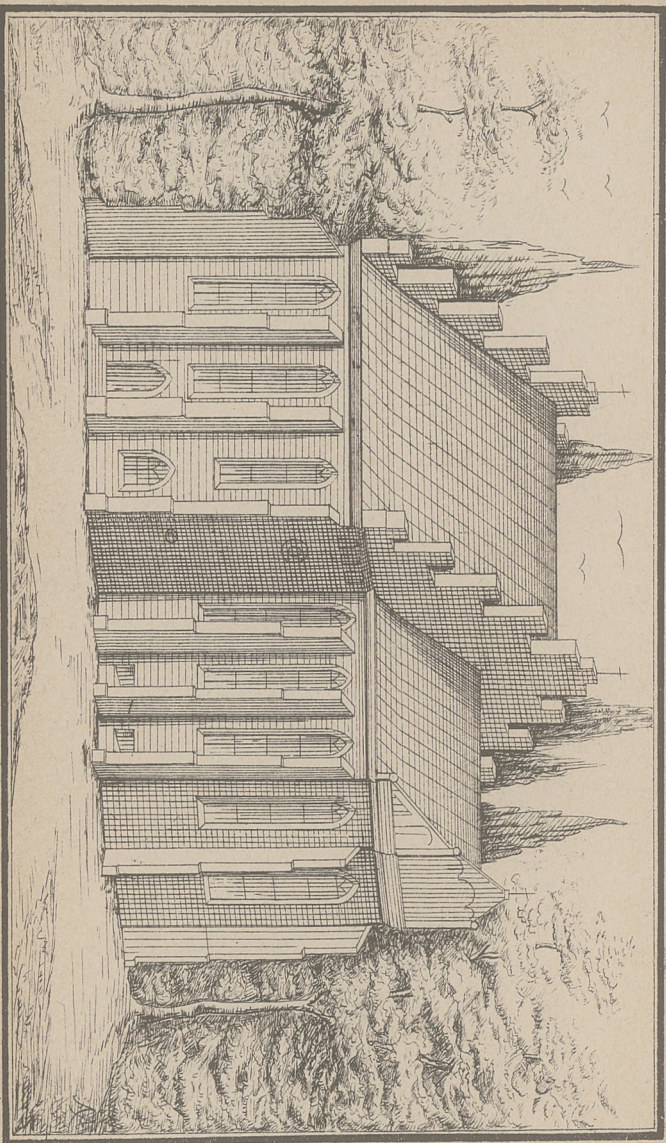
Edmund Leon Ostoja Solcecki,
autoryzowany inżynier architekta i budowniczy.

Skarga do Boga.

Stworzyłeś nam ziemię, o Boże!
A ziemia ta dla nas za mała;
Brat z bratem żyć na niej nie może,
Choć jedna ich matka wydała.
I skąpo ta ziemia nam rodzi,
Brat bratu dziedzinę wydziera.
Niepomny w braterskiej krwi brodzi,
I z pracy nie swojej plon zbiera. —
Stworzyłeś nam Boże! obszary —
I czemuż twe ludy mrą w głodzie?...
Stworzyłeś nam puszcze i jary,
A skryć się gdzie nie ma w swobodzie. —
Szatański ród w szponach swych trzyma
Dostatki i rządy tej ziemi,
I z władzy się swojej nadyma,
I pastwi się nad bezbronniemi. —
Urąga Ci ród ten bezbożny,
Bezkarne nam wtłacza okowy,
Gdzież jesteś, o Boże wszechmożny!
Gdzież grom twój na zbójców tych głowy? —
Gdzież jesteś? o Boże wszechmożny!
Daremnie cię wzywani gnębiony,

Kościół r. k. w Drohobyczu od południa

Lit. A Przyjształak Lwów



Tu silniej i silniej bezbożny,
Oprawcze swe wciska mi szpony!
I kiedyż w Twej sprawiedliwości
Zlitujesz się nad nękanemi,
Poskromisz tyranów tych złości,
I wrócisz nam pokój na ziemi?

Pisałem w Lipcu r. 1846.

Pius Nałęcz z Witoszyna.

Gdzie my dziś?

trylogia myśli.

I. IMIONA SĄ!

I młodzieniec przyrzeka... A tu kraj zniszczony
W niedostatku i w nędzy swoje dzieci traci,
I, niewolą sromotną od stu lat zhańbiony
Podźwignąć się nie może z powszechnej niedoli,
Bo synowie — wyrodni! — wszystko zmarnowali,
Że aż serce ich ojców po grobach gdzieś boli,
Że rodzinne tak herby podle podeptali.

Wojniśław Kazimierz hr. Sawicz - Zabłocki.

Imiona są, imiona stare, sławne,
Lecz gdzie są ci, co z chlubą je dzierżyli?
Dziś walą się pamiątki w prochu dawne,
I dzieła sztuk uległy wpływom chwili,
A imion dość, a imion aż za wiele;
Imiona są, lecz gdzie ich dzierżyciele?

Tradycja cnót wymarła wraz z przodkami,

Tradycja czynów dawno już wygasła:

Nikt niech idei blaskiem się nie mami,

Bo żyć i użyć — oto nasze hasła,

A imion dość a imion aż za wiele;

Imiona są, lecz gdzie ich dzierżyciele?

Nie z trudnościami łamać się upornie,

Nie poświęceniem tobie dojsć do celu,

Lecz klamki pańskiej trzymać się pokornie,
I żebrać łaski, żebrać, przyjacielu!

A imion dość, a imion aż za wiele;

Imiona są, lecz gdzie ich dzierżyciele?

Weź kij żebraczy w ręce znojem krwawe,

W żebraczą torbę zapchaj twą naukę,

A może wtedy oko już łaskawe

Na ciebie spojrzy, w tobie wesprzy sztukę;

Bo imion dość, bo imion aż za wiele,

Imiona są, lecz gdzie ich dzierżyciele?

Andrychów, 7. Listopada 1884.

II. KRAMARZE SĄ!

Na ustęp! na ustęp! upraszam pokornie,

Wielmożni panowie i panie!

Figurki gipsowe! nadęte wybornie,

Prześliczne, prześliczne a tanie. —

Pius Nałęcz z Witoszyna.

Kramarze są, kramarze są
Nietylko zagranicą,
Wystawy ich cackami lśnią;
Bo życie targowicą:
Rzeszowskie złoto, czeskie szkło,
A kupiec wśród czeladzi,
— Czy kupi, czy nie kupi kto —
Zachęcać nie zawadzi.

Kramarze są, kramarze są
W dziedzinie sztuki także:
Ci znowu ludzą blagą swą;
Bo z tego żyją wszakże,
A choć niezgrabnie to i źle,
Choć rozum sam odradzi,
— Czy targ się uda, czy też nie, —
Zachęcać nie zawadzi.

O! kiedy raz z niebiosów grom
Na bezbożników spadnie,
Co znieważył pański dom,
W nim kupczą bezprzykładnie,
By się sprawdziły z dnia na dzień
Te słowa wiekuiste:
„Ten tylko wstąpi w Moją sień,
U kogo serce czyste!”

L w ó w, 18. Listopada 1884.

III. ŁACHMANY SA!

„Ma swą cenę diament, choć go proch okryje,
Proch zawsze prochem będzie, choć się w niebo wzbije.

Kazimierz Brodziński.

Wszak zarzucacie mi niejedno:
To hardość mą i nieugiętość,
To mściwość duszy i zawziętość,
To nawet suknię skromną, biedną;
Bo ten lub ów dobrodziej wielki
Grosz wcisnąłby mi w dłoń łaskawie,
Sam otulony w przepych wszelki,
Gdy ja w łachmanach chodzę prawie!
Ów chwali się zasobem wiedzy,
Zdobytej kosztem, pracą małą;
A w sobie zamknął wiedzę całą,
Świat nic z jej nie miał, ni koledzy.
Ja w obec mędrców takich głupi,
Zbierałem ciernie miasto płacy,
Lecz wiedzy mojej nikt nie kupi —
Więc dumny jestem z łachów pracy.
Ta ubolewa nad niedolą
Koteczki, ptaszka albo pieska;
Lecz oka jej nie zwilży łezka,
Gdy serca ludzkie krwią zabolą;

Bo marzyć tak, — to estetycznie. *)
Niestety! ja nie tak rozumny,
Pojmuję braci los praktycznie —
Więc z łachów uczuć jestem dumny!
Ów chwali się, że nie beczynnienie
Przepędzał czas, że działał wiele;
A działał jak ci gnębiciele,
Przez których kona lud niewinnie —
Ja i n n e wykonałem czyny,
Pracując prawie aż do trumny; —
Więc choć nie zdobią mnie wawrzyny,
Z poświęceń łachów jestem dumny!

Ten znowu chełpi się przepychem,
Odzieżą pańską, przodków sławą,
A dłonią splamił je plugawą,
Bezprawiem zdobył stan i grzeczem —
Jam obcych nie zdarł na ich mieniu,
Choć dłonie me dla obcych robią; —
Więc w obszarpanem mem odzieniu,
Ja dumny z łachów, co mnie zdobią!
Śmierć zrówna wielkich jak i małych.
Cóż po grobowcach i pomnikach?
Cóż po półbogach — śmiertelnikach,
Gdy śmierć ich zmiecie w tłumach całych?
Tam łachman równa się z łachmanem,
Czy cierń na grobie, czy kolumny;
Więc godłem czcicie mię wybranem:
„Łachmaniarz leży tutaj dumny!“

Stryj, 18. listopada 1884.

G. Kohn.

*) Patrz proces pewnej pani w Tarnopolu.

IV.

Z podań legendy żydowskiej.

Król Abramko,*)

legenda dziejowa,

poświęcona przez autora w dowód głębokiej czci znanemu poecie

Władysławowi Bełzie.

Cieszcie się! nadszedł dzień już wesela
Już okrutnego nie ma Popiela.
Bogów go słuszna kara dosięgła
Za jego chciwość i okrucieństwa...
Z stryjów ciał, którzy śmiercią męczeństwa
Padli, moc myszy dziś się wylęgła.
A mysze mściwe tłumnie się wdwały
W podwoje króla i go pożarły.
Cieszcie się! nadszedł dzień już wesela,
Bo okrutnego nie ma Popiela!

Zbierzcie się prędko, zbierzcie w Kruszwicy,
Rycerze, księża, kmiotki, rolnicy!
Nowego władcę wybierzmy sobie,
Który pocieszy wszystkich w żałobie,
Który zadane rany zagoi
Dobrem rządzeniem w Lechii swojej.
Zbierzcie się prędko, zbierzcie w Kruszwicy,
Wybierać króla polskiej ziemi.

Nadszedł dzień wiecu. W mieście Kruszwicy
Stoją wojacy, księża, rolnicy.
Choć się ich tutaj zebrało dużo,

*) Podajemy niniejszem jako nowość legendę tę młodszego a uzdolnionego naszego współpracownika, p. Feldmana. Nie zgadza się to podanie rzeczywiście z drugim „o Piaście i aniołach,” ale mimoto z powodu oryginalności swojej zasługuje na uwzględnienie i umieszczenie bodaj w „podaniach legendy żydowskiej.” (Przyp. red.)

Ludzie kruszwickcy chętnie im służą,
Mieszkaniem z swym się dziela narodem,
Częstują gości chlebem i miodem,
Nie odmawiają strawy nikomu,
Mówiąc do siebie: „Gość w dom, Bóg w domu.“

Wreszcie się zeszła na polu rada,
A ma w niej udział cała gromada.
Radzą więc, radzą, kto królem będzie,
I kto na tronie w Kruszwicy siedzie?
A królem wybrać chcieliby męża
Wielkiego serca, mężnej prawicy;
Bo chytry Niemiec już nakształt węża
Zdradnie się zbliża do ich granicy.
Inny wróg trwoży też plemię lasze...
A polski naród, chociaż spokojny,
Jednak gdy z wrogiem przyjdzie do wojny,
Wtedy mu nie da pluć sobie w kaszę.
Ale choć radzą już od dni wielu,
Rada ich dzisiaj spełzła bez celu,
Kogo obdarzyć króla imieniem?
Kto ma panować nad ich plemieniem?
Bo bóg niezgody, Poklus się zjawił
I między nimi niezgodę sprawił.
Co jeden mówi, drugi obala,
Co jeden gani, drugi pochwała...
Choć lud tęsknemi patrzy oczyma:
Króla nie widać — nie ma i nie ma!

Ale radzący, widząc że końca
Chyba nie dojdą, już całą duszą
Postanowili: przed wschodem słońca
Dnia jutrzejszego króla mieć muszą.
„Kto jutro pierwszy oczom się zjawi,
Ten królem, temu los błogosławi.“
Przy wrotach miasta wszyscy więc stają
I na przyszłego króla czekają.
W tem patrzą — idzie zgarbiony drogą
Człowiek odziany suknią ubogą.
„To Abrahamko!“ — wnet zawołali —
Znali go wszyscy, wielcy i mali,
Bo Abrahamko, żydek ubogi,

Nieraz przestąpił ich domów progi.
Handlem się Abrahamko zajmuje,
Wszystko sprzedaje, wszystko kupuje,
A że uczciwy, dobry, zabawny
I sprawiedliwy, więc z tego sławny.
U wszystkich kmiotków on szanowany,
Nawet u panów chętnie widziany.

Więc skoro Lachy starca spostrzegli,
Zaraz naprzeciw niego wybiegli.
Z wielką radością i z krzykiem grzmiącym
Witają żydka swym panującym.
Nie wie Abramko nasz, co to znaczy,
Lecz mu z rycerzy jeden tłumaczy,
A gdy to wszystko Abram zrozumiał,
Bardzo się zmieszał, bardzo się zdumiał,
Myśląc że figle to albo żarty.
Więc rzecze: „Wy z mej sukni podartej
Szydzicie sobie. Czyż to się godzi?”
Lecz lud już z miasta tłumnie wychodzi,
Ciesząc się, krzycząc z całej swej siły:
„Hej, gospodynie! Witaj nam, miły!”

Choć panowanie niektórych łechce,
Abraham o niem i słyszeć nie chce.
Darmo ich błaga, darmo ich prosi,
Darmo się łzami biedny zanosi.
Polanie nie chcą jemu folgować,
Lecz krzyczą ciągle: „Musisz panować!”
Abramko widząc, że nie ma rady,
Przemawia w sposób ten do gromady:
„Panowie mili! Koniecznie chcecie,
Bym wam panował, lecz za nic w świecie
Nie pragnę takich wielkich zaszczytów!
Niech inny będzie królem Lechitów!
Lecz gdy mieć króla koniecznie chcecie,
Słuchajcie rad mych, a mieć będziecie:
Ja do mieszkania pójdeń swojego
I będę prosił Boga Wielkiego,
A Bóg wszechmądry mi swoją wolę
Objawi świecie. A wy zaś w kole

Wielkiem przy moim staniecie domu,
Lecz wniknąć nie wolno do mnie nikomu.
Nie wolno, mówię! Kto się odważy
Wniknąć, tego pewnie śmiercią ukarzę.
Stójcie więc cicho tu w wielkiem kole.
Po trzech dniach boską powiem wam wolę!”

Rycerze stoją według nakazu
Przy drzwiach Abramka i nikt z nich zrazu
Zbliżyć się do drzwi ochoty nie ma.
W tem jeden rolnik, Piast, co straż trzyma,
Tak rzecze do swych współtowarzyszy
Wśród zaleconej przez króla ciszy :
„Hej bracia! Od dwóch dni już tu stoję.
Przekroczyć wolę króla się boję;
Lecz nas zagadka częsta przywabia,
Więc chcę zobaczyć, co król porabia.
Pójdę do chaty, bo wiedzieć muszę.
Klnę się na ciało swe i na duszę!”

I na rozkazy nie zważa święte,
I spieszy do drzwi, a te zamknięte.
Lecz się zaporą długo nie męczy
I drzwi wysadza. Cóż w izbie widzi ?
Tam w środku izby, jak zwykle żydzi,
Stary Abramko na ziemi klęczy,
W modłach gorąco swych zatopiony.
Na widok Piasta rozjaśnia czoło,
I z twarzą wita śmiałka wesolą,
Do straży mówiąc, do przestraszonej :
„Otóż to człowiek serca śmiałego,
Nie znam nad niego odważniejszego!
Kto obaw braci swych nie podziela
I między nimi z odwagi słygnie ;
Kto się do króla wtargnąć ośmiela,
Choć wie, że za to pod mieczem zginie ;
Kto nie odmawia braciom gościny
I dla nich szczerą miłością płonie,
Zaprawdę mówię wam, laccy syny,
Iż godzien usiąść na królów tronie !”

Zaledwie skończył słowa gorące,
Wnet się rozległy okrzyki grzmiące :
„Witaj nam Piaście ! nasz hospodynie !
Niech łaska Bogów na ciebie spłynie !”

Wilhelm Feldman.

Jakimi mają być rodzice jako wychowawcy?

Studjum pedagogiczne,
opracował

Adam Wojdałowicz.

Każdy z nas wie, że człowiek przychodząc na świat nie jest jeszcze doskonałym, ale ma zaród zdolności, które się w dalszym ciągu życia rozwijają. Natura to zaopatrzyła go w te zdolności, bez których nie mógłby być tem, czem w istocie być powinien. Z tego wynika, że zdolności tych nie nabył człowiek własną działalnością, ani przez wpływ zewnętrzny. Dlatego zaś, że zdolności te pochodzą od przyrody, zwiemy je zdolnościami przyrodzonymi. Braku ich nic zastąpić nie może. Podlegają one pewnym stałym prawom, które u wszystkich ludzi są jednakowe. Co do jakości i stopnia zdolności przyrodzonych, spostrzegamy u poszczególnych indywidualów różnice, a więc nie można powiedzieć, że wszyscy ludzie obdarzeni są jednakowemi zdolnościami. Dlatego powiemy znowu, że tylko człowiek człowieka wychowywać może.

Rozwój zdolności może być przez zewnętrzny wpływ albo popierany, albo tamowany. Wpływ taki potrzebny jest, szczególnie w pierwszych latach życia, kiedy to samodzielność nasza nie jest jeszcze stała. Dodawać tu byłoby zbyt czynnem, iż od urodzenia

wystawiony jest człowiek na wpływ innych ludzi. To umyślne i systematyczne wpływanie osób starszych na rozwój i kierunek danych człowiekowi zdolności, nazywamy wychowaniem.

Wychowawcy powinni być sami dobrze wychowani, jeżeli chcą, aby takimi byli ich wychowankowie. Uważać też ma wychowawca lub wychowawczyni, że wychowanie jest zbiorem wszystkich czynności, przez które dziecko dochodzi do tego stopnia rozwoju, na jakim się ludzkość znajduje. Wychowawcy powinni też mieć następujące uwagi na względzie :

- 1) Dziecię, które mają wychowywać,
- 2) Cel, do którego mają dziecię prowadzić, i
- 3) Środki, których należy w czasie wychowania używać.

Niezbędną jest także rzeczą, aby wychowawca, jak i wychowawczyni byli obznajomieni z pedagogiką, czyli nauką o wychowaniu.

Ponieważ pierwszymi i najważniejszymi wychowawcami dziecka są rodzice, dlatego o nich jako o wychowawcach w krótkości pomówimy.

Matka już wtedy posuwa troskliwość do najwyższego stopnia, kiedy w żywocie swym uczuje zaród okazujący życie. W chwilach tak ważnych jak ta jej brzemienności, strzeże się wszystkiego, coby jakimkolwiek sposobem zaszkodzić mogło delikatnemu życiu w samym związku tegoż. A ponieważ właśnie w czasie tym układ umysłu i serca matki udziela się dziecięciu, pomnaża się w matce pilna baczność na wszelkie skłonności i poruszenia swego serca. Każda w tym czasie wzbudzająca się w niej namiętność jest nieprzyjaciółką dziecięcia, które jeszcze nie ujrzało światła.

Z tego ostatniego powodu powinna matka nieustannie czuwać nad sobą, mieć się na baczności i unikać troskliwie wszelkiego przestרחu, gniewu, kłótni, zazdrości i zmartwienia. Chociaż ją nigdy opuszczać nie powinno cnoty miłości, życzliwości, łagodności i cierpliwości, to przecież szczególnie powinna je posiadać, gdy dziecię nosi w żywocie. Tak też każda dobra matka czyni, bo spodziewa się, że cnoty wywymienione ujrzy kiedyś odmłodzone w owocu swej miłości. Każdy z nas wie przecież, że jak gwał-

towna namiętność matki wywiera szkodliwy wpływ na umysł w żywocie będącego dziecka, tak też czerstwość lub słabość matki pokażą się w dziecięciu, jako w owocu jej żywota.

Im bardziej zbliża się do rozwiązania, tem więcej jest umiarkowaną i ostrożną w przyjmowaniu pokarmów i napojów i tem bardziej strzeże się zbytnich poruszeń i natężania ciała. Wie, jak złe skutki w tym czasie z najmniejszej nawet nieostrożności pochodzą, i że śmierci lub kalectwa dziecięcia najczęściej nieostrożność matki jest przyczyną. Mając to ciągle na względzie, winna się wystrzegać wszystkiego, cokolwiek zły wpływ na jej dziecię wyrzucić może.

Pierwsze podwaliny do wychowania dziecka założone są już wtedy, gdy dziecię w zdrowem ciele i umyśle zostało poczęte i na świat przyszło. Rozumną ma być wtedy matka i posiadać powinna wiele środków do wolnego skutecznienia wychowania. Jednem z najpierwszych starań jej winno być to, aby dziecko utrzymać w zdrowiu, przez co się jego siły w miarę wieku pomnażają. Z tego powodu udziela niemowlęciu chętnie piersi i czuwa często całe noce nad jego kolebką, jeżeli życiu dziecięcia grozi niebezpieczeństwo. Trudy, jakie istnieją przy wychowaniu niemowlęcia, ponosi najczęściej sama, bo tylko jej serce potrafi najlepiej odgadnąć, czego pielęgnowanie dziecka wymaga.

Wśród wszelkich trudów jaśnieje na jej czole wesołość i spokój umysłu. Unika troskliwie okazji do zmartwienia, przestachu i zatrwożenia umysłu, a tem samem stara się uniknąć wmieszania trucizny w swój pokarm i krew. Niemowlę, któremu piersi udziela, ma z niej wyssać czysty pokarm, któryby nie był żadną złą żądzą matki zatruty, aby dziecię już w tym pierwszym zasiłku nie przyjęło zarodu przewrotności i zepsucia. Przy odsadzaniu zaś dziecięcia od piersi uważa na naturalną wskazówkę, t. j. na powstawanie zębów, co samo już jest dowodem, że odąd już innym pokarmem żywione być powinno. Najstosowniejsze pokarmy oznacza sama jej miłość połączona z największą przezornością. Równie dbałą powinna być i o czystość zewnętrzną dziecka, pamię-

tając że tem zdrowszy i czerstwiejszy jest człowiek, im czysciejszem powietrzem oddycha i im czysciejszą ma pościel i odzież.

Dla tych powodów powinna każda matka często uchylać drzwi lub okna, aby oczyścić i odświeżyć powietrze w mieszkaniu. Jak bowiem ryba tylko w czystej wodzie, tak i człowiek tylko w czystem powietrzu zdrowym być może.

Tak to na wszystko jest baczna i troskliwa o zdrowie dziecięcia miłość matki! Nic dla niej nie masz nieznośniejszego jak smutny widok nieschludnie utrzymywanych dzieci, u których wyrzuty na ciele i rozmaite choroby z tej powstały p zyczyny. Nie czyni ona tego, co się jej u drugich matek nie podoba. Ubiera dzieci codziennie w czyste sukienki i niczego u nich nie cierpi, coby ją o naj.nniejsze niedbalstwo obwinić mogło.

Dobra matka i wychowawczyni sama też uważa na rzymskie przysłowie: „w zdrowem ciele zdrowa dusza,“ a stosując je do swych dzieci, stara się, aby każdy ich krok i każda chwila przyczyniały się do ich zdrowia. Pomna na skład ciała człowieka, stara się ile możliwości, ćwiczyć i wyrabiać u dzieci pojedyncze tegoż części i zaopatrywać je w potrzebny materiał. Obok ogólnych zasad wychowania cielesnego, uważa na ruchy swych dzieci, przyczem ma wzgląd na dzieci słabowite, tudzież na ich wiek i płeć.

Wiedząc dobrze, że tylko zdrowe pokarmy służą zdrowiu, podaje matka dzieciom pożywienie zdrowe i to takie, które zawiera wszystkie części, do rozwinięcia organizmu potrzebne. Wie, że dziecko potrzebuje więcej pożywienia aniżeli człowiek dojrzały, bo nie tylko żyć, ale i rosnać musi. Początkowo najlepszym pokarmem dla niemowlęcia jest pierś matki; w braku jej podają t. z. zupę Liebiga, albo krowie mleko rozcieńczone i cukrem osłodzone. Zanadto słodkie pokarmy są dla dziecka szkodliwe. Później powinna matka podawać dzieciom takie pożywienie, któreby się dało łatwo przez organizm tegoż przyswoić. Przyzwyczajając też winna dzieci do regularnego jedzenia. Wychowawczyni niech wie także o tem, że wszelkie alkoholiczne napoje dla dziecka są szkodliwe

i że umiarkowanie w jedzeniu i piciu jest cnotą, oraz że zbyt gorąco osłabia ludzkie ciało. Ale i powietrze zbyt zimne i dżdżyste dla dzieci również szkodliwe. Mając to na uwadze, nie hartuje matka od razu dzieci, ale czyni to stopniowo i ostrożnie. Ćwiczy je w potrzebnych ruchach i w oddychaniu pełną piersią, przez co się płuca wyrabia. Kiedy niekiedy za pomocą środków domowych przyspiesza wydzielanie się potu u dzieci, przez co usuwa powody do wewnętrznych wrzodów. W lecie każe je kąpać w rzecznej wodzie, zimową porą zaś w wannie.

Wymiar spania stosuje matka do wieku dziecięcia, bo wie, że ono dłużej niż dojrzały człowiek spać powinno. Nie budzi dziecka nagle ze snu, aby nie wstrząsnąć jego organizmu. Pozwala mu się do woli nabiegać, bo zna przysłowie, że „kto pracuje, ten ma dobry sen.“ Dzieci małe, które nie chodzą jeszcze do szkoły, mogą spać i we dnie. Po pracy, która się przyczynia do wyrobienia muszkułów, pozwala matka dzieciom na wypoczynek, ale nie tak długi, żeby się zamienił w nudy a później i w lenistwo, które jest matką wszystkiego złego. Używając przechadzki lub innych rozrywek, starać się powinny dzieci, wszystkie ćwiczyć muszkuły, nawet mowne przez rozmawianie.

Przy ćwiczeniu zmysłów należy unikać silnych podnieć lub osłabiających wrażeń umysłowych, organa zmysłowe zaś utrzymywać w czystości, nie nateżać za długo i ćwiczyć je ciągle. Ponieważ nerwy służą do czynności duszy, dlatego wychowawczynie winna dzieci do należytego używania tychże przyzwyczajając.

Odzież u dzieci stosuje matka do pór roku i uważa aby była jak najprostsza, czysta, cała i wygodna. Szczególnie bieliznę i pościel należy często zmieniać u dzieci, szyję zwolna przyzwyczajając do zmian powietrza, a nogi utrzymywać w ciepłe. Także zatrudnienie dzieci mechaniczną pracą bardzo jest pożyteczne. Wie matka i o tem, że ciało nowonarodzonego dziecięcia posiada te same organa jak i człowiek dorosły, ale o wiele słabsze. Dlatego pojmie łatwo, iż dziecię od razu nie zdoła o własnej sile chodzić. Dopiero w piątym miesiącu uczy się sie-

dzieć, a po roku życia stać. W początkowych więc okresach potrzebuje starannej pielęgnacji ze strony matki.

Nigdy zaś tkliwe uczucie serca matki nie objawia się tak wyraźnie, jak w czasie choroby dziecięcia. Wtedy z żalnością zauważa najmniejsze cierpienie swego ulubieńca i łóżeczko jego rzewnemi rosi łzami. Lecz któż zdolny odczuć szczęście, które w jej sercu wśród żalu wzbudza słodka nadzieja polepszenia stanu zdrowia ukochanego dziecięcia i to zachwycenie, jakie jej sprawia każdy uśmiech powracającej do zdrowia dziecięcy?

Regulowanie umysłu i kształcenie serca dziecięcia więcej ją zajmować powinno, niż piecza o jego ciało. Tak też czyni każda troskliwa o dobro dziecięcia matka i przyrzeka Bogu, że dziecko stosownie do Jego świętej woli chować i na godnego wyznawcę Chrystusa kształcić będzie. Gdy zaś w dziecięciu władze umysłowe objawiać się zaczynają, rozpoczyna natychmiast wielkie dzieło kształcenia umysłu i serca i uczy odróżniać dobre od złego, z miłością i powagą karci i gani wszelką niesforność, niegrzeczność i uchylbienia; w ogóle usuwa starannie wszystko to, coby w jakikolwiekby sposób zgubnie wpłynąć mogło na przyszłość dziecięcia.

Pierwszą cnotą, którą każda matka koniecznie w młodociane serca wszczepiać powinna, jest serdeczna miłość i niewymuszone posłuszeństwo. Dążąc do tego celu, powinna dziecię zawczasu przyzwyczajać do zgodności w obcowaniu z innymi, do grzeczności względem każdego, do litości nad biednymi i nieszczęśliwymi, do przebaczenia winowajcom — w ogóle powinna zapalać serce młodociane do wszystkiego, co dobre i chwalebne. Taką miłością przejęte dzieci gotowe do wszystkiego dobrego i posłuszne będą najmniejszemu skinieniu kochanych rodziców, i z takiej to miłości wyradza się następnie miłość Boga i bliźniego, która jest niezbędną jako pierwsze przykazanie boskie. Za zniewagę Bogu i bliźniemu uczynioną powinna też matka najsurowiej karać.

Ponieważ matka wymaga od dziecka, aby było posłuszne, więc nie powinna wydawać takich rozka-

zów, któreby dlań były zbyt trudne a tem bardziej niepodobne do wykonania. Przy dawaniu rozkazów winna wszczepiać w dzieci przekonanie, że to, co rozkazuje, jest dla nich pożyteczne. W celu wzbudzenia w nich fundamentu do samodzielnego działania powinna chętnie pozwalać im na to, aby także podług własnego zdania i chęci postępowały, a gdy zbłądzą, powinna prostować ich zdanie i ze skutków ich czynów okazywać im niezbędnosć radzenia się we wszystkim doświadczeńszych od siebie rodziców.

Doświadczyła tego zapewne każda matka, że dziecko chociaż nie śpi, nie bierze jednak od razu udziału w tem, co je otacza. Dopiero po półrocznem pożyciu, oko dziecka zwraca się za błyskotkami. Przyjemnym jest matce zapewne pierwszy uśmiech dziecięcia, bo to objaw pierwszy jego życia duchowego. Po upływie ćwierćrocza pojawia się u dziecięcia słuch, po nim smak, węch i dotyk. Gdy się już dziecko nieco więcej rozwinęło, usiłuje mu matka dać poznać nazwisko przedmiotów, otaczających je, aby nabywało szerszych poглядów.

W drugim roku życia uczy je poznawać swe imię, później odróżniać siebie od innych osób a narreszcie mówić, t. j. powtarzać za matką to, co słyssało. Gdy się w ten sposób wytworzyła w dzieciach świadomość siebie, uczucie, wola i czynności, zaczynają się wtedy bawić. Po zabawie najlepiej poznać człowieka, dlatego też nie powinny matki zabraniać dzieciom pożytecznych zabaw. Od 3-go do 6-go roku budzi się u dzieci fantazja, rozsądek zaś i wola wzmagają się w tym okresie wielce przez zabawę i mowę. W tej też epoce budzi się upór, który rozumna matka zawsze łamać powinna bez względu na to, że dziecko płacze lub narzeka. Nigdy zaś zezwolić nie powinna, aby dziecko coś uporem, popędliwością lub płaczem wymódz na niej mogło. Drzewo póki jest młode i giętkie, trzeba prostować, bo gdy podrośnie i zgrubieje, będzie już za późno. Rzecz ma się tak samo i z dziećmi.

Na zabawy dziecinnie powinni dotyczący wychowawcy zwracać baczną uwagę i podzycać wśród nich u dzieci popęd do czynności i wypowiedania słów

poprawnie. Uważać wszakże należy, aby dzieci nie były zanadto gadatliwe.

Jeżeli upomnienia i nagany matki nie skutkują, musi się wychowawczyni wziąć do ostatecznego środka, do kary cielesnej, którą jednak bez gniewu i popędu wykonać ma. Dziecię musi być przekonane o tem, że z miłości ku niemu wymierza matka karę, ta zaś powinna być zastosowana do wieku dziecka i rodzaju przewinienia. Jeżeli ojciec chce ukarać dziecko, wtedy matka w żaden sposób bronić je nie powinna, aby w niem nie wzbudziła podejrzania, jakoby ojciec niesprawiedliwie chciał je karać. Taki nierozważny krok matki mógłby bowiem spowodować zmniejszenie zaufania i miłości dziecka ku ojcu.

Gdy już dziecię rozumniejszem się stało, kształci w niem matka zmysł pożądania, potem zmysłowe uczucia, z których się wytwarza miłość rodziny, ojczyzny, ludzkości i Boga. Matka powinna koniecznie wpajać w dzieci miłość ku Bogu, chociaż go jeszcze nie znają. Dalej ma wpływać na nie, aby się z obojętnością nie przypatrywały sprawom ogółu, bo z tego wytwarza się samolubstwo, tak społeczeństwu, jak i pojedynczym jego częściom szkodliwe. Przykład w tym razie bardzo skutecznie oddziałują na dzieci. Również brak uczucia u dzieci jest szkodliwy, bo powoduje znęcanie się nad zwierzętami, a następnie także brutalność w obec ludzi.

Z wiekiem potęgują się zazwyczaj u dzieci złe skłonności. W tym więc czasie powinna też matka podwoić swą bacznąść i czynić co się tylko da, aby dzieci na drodze cnoty utrzymać. Wie ona, że głównie od niej zależy korzystne lub niekorzystne oddziaływanie wszystkich instytucyj edukacyjnych na umysł dziecka, i że nauczyciele i duszpasterze częstokroć napróżno pracować by musieli około kształcenia młodzieży, gdyby nie jej pomoc. Rozumie też, że kraj cały na matki zwraca oczy, bo po nich spodziewa się wsparcia, spodziewa się, że dzieci swe na godnych obywateli wychowają. Pragnąc więc służyć rzetelnie krajowi, baczy matka ciągle na swe dzieci nie pozwala im biegać samopas lub wdawać się z niesfornymi dziećmi, natomiast wynajduje zawsze

sposoby uprzyjemnienia dzieciom zabawy w domu pod jej okiem. Nie zraża dzieci za ostrem obchodzeniem się niemi, aby z nich nie wytwarzać mizantropów.

W wolnych od pracy chwilach opowiada dziecku piękne powiastki, ale nie o strachach, aby nie oddziaływać szkodliwie na wyobraźnię dziecka. Przy pokazywaniu obrazków objaśnia mu je i każe objaśnienia te powtarzać. Bogobojności uczy się dziecko najlepiej z przykładów. Na cóż by się zdało, chociażby matka z całą powagą nakazywała dziecku rano i wieczór modlić się, jeżeli sama tego nie czyni?

Chcąc aby się dziecko uczyło miłości ojczyzny, musi mu matka opowiadać najważniejsze jej wypadki dziejowe. Z znajomości przyrody uczy się dziecko miłości Boga, bo w niej poznaje Jego wszechmoc i miłość ku ludziom. Szczególnie powinna każda matka zapobiegać kłamstwu u dzieci i objaśniać im złe skutki tegoż. Aby zaś powody do kłamstwa u dzieci usunąć, skłoną musi być do przebaczenia im dziecinnych ich uchybień, skoro o przebaczenie proszą i gotowe są, poprawić się. Matka powinna też rozwijać u dzieci uczucia, których zadaniem jest, utrzymywać człowieka w należytem stanie. Uczucia estetyczne wyrabia się w dzieciach także przez domowe urządzenia i zabawy. Fantazja upiększa dziecku wszystko przy zabawie, więc takowej nie trzeba kłaść tamy.

Z poznania tego, co dobre a złe, wynikają uczucia moralne. Matka powinna się starać, budzić u dzieci uczucia przyjemne. Stosunki rodzinne dają dzieciom poznać rzeczywiste stosunki w świecie.

Z równą troskliwością stara się dobra wychowawczyni, strzedz dzieci od łakomstwa. Przyzwyczajają je zawczasu, obchodzić się bez tego wszystkiego, co nie koniecznie potrzebne do utrzymania życia. Łakomstwo prowadzi do tajemnych kradzieży, które są zgubne. Cudzych rzeczy dobra wychowawczyni dzieciom ani dotknąć nie pozwala. Zapobiega troskliwie wszelkim, choćby najdrobniejszym kradzieżom i przytacza ciągle dzieciom przykazanie boskie: „Nie kradnij!“ Gdy ujrzy u dziecka coś podejrzanego,

dochodzi energicznie, zkąd ta rzecz pochodzi. Przekonawszy się, iż jest skradzioną, prowadzi dziecko z nią do właściciela, któremu przy dziecku zwraca co mu należy, wymagając równocześnie od dziecka przyrzeczenia, że już nigdy więcej obcej własności sobie nie przywłaszczy. Również energicznie postąpi sobie z wykorzeniem innych wad.

Popęd zbytni do jedzenia i picia powinna matka powstrzymywać u dzieci, by się nie wyrodziły w nich obżarstwo i pijaństwo, jakoteż ociężałość i ospałość. Karmienie zdrowym i prostym pokarmem jest dla dzieci najstosowniejsze. Należy również usuwać popęd do palenia tytoniu i do długiego a bezmyślnego siedzenia. Do towarzystwa ludzi dojrzałych przy ucztach nie powinna matka dziecka przypuszczać. Trzeba je zachęcać do wiedzy, bo przez nią rozwija się moralność. Przez pochwałę za dobre a karę za złe rozwija się u dziecka ambicja. Trzymanie dzieci tak w zanadto wielkiej karności, jakoteż w pobłażaniu jest szkodliwe. Jednym z środków przyzwyczajania dzieci do miłości bliźniego, jest budzenie w nich chęci do obcowania z ludźmi. Zajść skandalicznych w domu powinno się jednak starannie unikać, a to już ze samego względu na moralność dziecka.

Z wszelką troskliwością winna matka baczyć, czy dziecko nie czyta złych książek. Otoczeniu swemu winno być posłuszne. Przyzwoitości uczy się najlepiej z przykładów. Zapobiegać też potrzeba wytwarzaniu się w dzieciach złościwości, pychy, zazdrości i naigrania się z obcego nieszczęścia. Z samolubstwa budzi się nienawiść, zaś pogoda umysłu, uznanie obcych zasług i t. p. przymioty wytwarzają w dzieciach miłość ku bliźnim.

Przyzwyczajając dzieci do obojętnego posłuszeństwa, potulności i uprzejmego porozumienia się z drugimi, wpajając w nie powinna matka ostrożność co do wdawania się w cudze interesa, oduczać brzydkiej ciekawości i gadatliwości a zachęcać do litowania się nad biednymi, jakoteż do grzeczności i uczynności. Stwierdzać to powinna własnym przykładem, rządnością w domu, porządkiem, ochędóstwem i pracowitością. Powinna też wzbogacać umysł dzieci prawdami wiary św. i ułatwiać ćwiczenie się w cno-

tach. Prawdziwie szczęśliwa matka tylko wtedy, kiedy może wyznać sama przed sobą, że uczyniła dla dzieci wszystko, co w jej było mocy. Chętnie natężając wszystkie swe siły do pracy, odmawia sobie snu, rzeka się towarzystw, bo widzi nagrodę za wszelkie poświęcenia w pięknem prowadzeniu się dzieci.

Żądom dziecka sprzeciwia się, ponieważ żądze takie zamieniają się w namiętność. Rozsądna matka kieruje wolą dziecka, która musi być ciągłą, silną a stałą, i wymaga od malca czynów, wynikających z zasad moralnych. Wie także, iż jednym ze sposobów do wytworzenia stałej woli jest harmonijny rozwój cielesnych i duchowych zdolności dziecka, przez co kieruje się jego żądzami. Środkami do tego są zabawy, gimnastyczne ćwiczenia, troska o własne potrzeby, uporządkowana praca, tudzież sumienne wykonywanie robót i zadań.

Wiemy także, że czyny ludzi w ogóle a dzieci w szczególności dadzą się podzielić na trzy kategorie: mus, obowiązek, własna wola. Aby więc czynności dzieci wynikały z zasad moralnych, stara się wychowawczyni lub wychowawca, aby dzieci były posłuszne rozkazom starszych, bo to środek do celu, do prawa moralnego. Jednakowoż tylko w tem powinno być dziecię wychowawcom posłuszne, co się zgadza z zasadami moralności, czyli z moralnością ogólną. Im dziecko jest rozumniejsze, tem mniej też staje się zależnem od wychowawczyni lub od wychowawcy. Rozumna matka żąda tylko od niemoralnego dziecka bezwarunkowego posłuszeństwa, wiedząc dobrze o tem, że dziecko moralne choćby działało z własnej woli, nigdy przeciw intencjom jej działać nie będzie. Tylko dzieci zupełnie zepsute nie słuchają matki. Dla uniknięcia upor, który się w dziecku wyradza przeciwko wszystkim rozkazom niesłusznym, należy starannie unikać takowych. Wiedza i religijność pomaga wielce do czynienia dobrego a unikania złego. Religijność rozbudzać powinna matka w dzieciach ani za wczesnie, ani za późno. Wiedząc o tem, iż cała rodzina ma być wzorem dla dzieci, usuwa wszystko, co jest nieprzykładne. Mam tu na myśli także i służbę.

Co do zabaw, to dodam jeszcze to, iż wybór stosowny tychże dla dzieci jest punktem bardzo ważnym w wychowaniu. Wychowawczynie powinna więc uważać, czy i jak się dziecko bawi. Niechęć do bawienia się jest bowiem smutnym objawem ze strony dziecka. Zabawa dla dziecka jest nie tylko rozrywką, ale fundamentem zdrowia duszy i ciała. Im mniej zbytku i sztuki w zabawie, tem lepszą staje się ona. Gra w karty i tem podobne tem szkodliwiej oddziałują na umysł dziecka, iż wytwarzają w niem chciwość jakoteż złość i nienawiść. Najstosowniejsze zabawy dla dzieci są takie, w których dziecko zachowuje się nie tylko biernie, ale i czynnie. Zabawy oprócz wywymienionych mają także i te korzyści, że pod okiem nadzorca uskutecznione przyczyniają się do utrzymania posłuszeństwa i karności dziecka.

Jak się już wyżej rzekło, wychowanek przywyka do pełnienia swoich obowiązków przez mus, obowiązek i własną (wolną) wolę. Matki wiedzą o tem, że dziecko powoduje się tylko naturą i kieruje się popędem, z którego pochodzi pożądanie, a w końcu i wola. W stosowny również sposób używa tedy matka środków wychowawczych t. j. nadzoru, napomnienia, rozkazu i zakazu, groźby, przykładu, nagany, nagrody, kary, pouczenia i t. d. Za pomocą przyzwyczajenia odzwyczajają się następnie dziecko od złego, a przywyka do czynienia dobrego. Klótnie, sprzeczki, rozpustę i kradzież pomiędzy dziećmi winna matka przez nadzór usuwać.

Co do rozkazów i zakazów, to trzeba uważać, że są to środki, których używamy tylko w poszczególnych wypadkach. Pierwszym ich warunkiem jest rozsądek. Rozkazy i zakazy rodziców mają się zgadzać z nauczycielskimi. Powinno ich być nie wiele, aby je dziecko spamiętało, w przeciwnym bowiem razie, dzieci ich nie wypełnią. Przy krótkich a zwięzłych rozkazach lub zakazach nie powinno się wyjawiać dzieciom przyczyny. W razie niewypełnienia rozkazów lub zakazów następuje kara jako podnieta moralna, która jednakowoż natychmiast i nie w gniewie ma być wykonana. Używaniu chłosty w wychowaniu jestem przeciwny. Karą dostateczną może być także groźne

spojrzenie, niedanie dziecku jedzenia, zatrzymanie go przymusowo w domu a uwolnienie od przechadzki i innych rozrywek. Przy wymierzaniu większej części z wywymienionych kar powinni mieć wychowawcy wzgląd na dzieci chore lub słabowite.

Przez obudzanie bojaźni bożej, posłuszeństwa, sumienności, wstydlivości, przyzwoitości i moralności ułatwia sobie matka wychowanie. Bojaźń bożą obudza przez opowiadanie słowa bożego. Celem bojaźni bożej ma być uwidocznienie dzieciom szczęścia bogobojnych, a nieszczęścia złych ludzi. Również uczy się dzieci bogobojności przez odmawianie z niemi modlitwy, pielęgnowanie nabożeństwa w kościele, uważne rozmyślanie dzieł bożych w naturze, przez własny przykład i napominanie dzieci, aby dobrze czyniły, tudzież aby były rzetelne w wykonywaniu swoich obowiązków.

Wytworzenie posłuszeństwa u dzieci jest bardzo ważne. Każdy wychowawca w ogóle a matka w szczególności uważać winna, że dziecię słuca z bojaźni przed silniejszą wolą, przez miłość ku rodzicom (wychowawcom), ze czci praw wyższych i z miłości ku Bogu. Powaga wychowawców jest środkiem do wytworzenia posłuszeństwa z bojaźni przed silną wolą. Aby wytworzyć posłuszeństwo z miłości ku rodzicom, potrzeba okazywać dzieciom życzliwość, miłość, cierpliwość, sprawiedliwość i współczucie.

Chcąc otrzymać trzeci rodzaj posłuszeństwa, powinien być wychowawca przykładnym. Jeżeli dzieci wykonują trzy pierwsze rodzaje posłuszeństwa, to mają już i czwarty. Aby utrzymać dzieci w posłuszeństwie, winni być wychowawcy doskonalszymi od dzieci fizycznie, duchowo i moralnie. Wobec małych dzieci potrzebniejsza jest wyższość fizyczna. Przeciwnie ma się rzecz z dziećmi starszemi. Wobec tych najważniejsza jest wyższość moralna. Im większe jest posłuszeństwo u dzieci, tem większa i sumiennosc, której najlepiej uczymy przez opowiadanie słowa bożego. Z tego wytwarza się u dzieci miłość własna i poczucie czci. Miłość własna tego rodzaju jest dobra, gdyż człowiek posiadający ją słowo boże wypełnić się stara. Z uczuciem godności własnej da się pogodzić pokora i odwaga.

Wstydlivość rozbudza matka w dzieciach przez ich doglądanie, czy przypadkowo nie obcują z popsutemi dziećmi, przez niebranie ich na huczne zabawy i tańce, przez zatrudnianie dzieci pracami pożytecznymi i przyjemnymi, strzeżenie ich od nudów i lenistwa, ćwiczenie ciała ich przez przechadzki, pozostawianie pod nadzorem nawet w czasie zabawy, przez uważanie na ich miny, gesty i układ ciała, w końcu przez własny dobry przykład. Szczególnie winna matka zważać na przyzwoitość chłopców. Dzieci jej nie powinny mówić lub śpiewać nic nieprzyzwoitego, w obec starszych zachować ciszę i przyzwoitość ; w ogóle na każdym kroku zachować uszanowanie dla matki.

Kary używa matka w trojakim celu, dla zadosyćuczynienia, odstraszenia od złego i jako środek poprawy. Gdy dziecko w czemś samodzielnie przekroczyło, używa matka w obec niego pierwszego rodzaju kary. W innych razach używa kary dla odstraszenia i jako środek poprawy. Najważniejszem zadaniem kary jest przypomnienie karanemu treści przepisów. Wie jednak matka (naturalnie i ojciec lub w ogóle wychowawca), że za pomocą kary jedynie nie rozwija się jeszcze moralności. Stosuje ją tedy do stopnia przewinienia. Chłosty używa umiarkowanie i mądrze. W żadnym jednak razie nie szturka, ani targa lub bije w twarz, bo tego rodzaju kary bardzo są zdradliwe. Grożenie karą a niewykonanie jej równie szkodzi powadze rodziców i w ogóle wychowawców. Wychowawcy uważać i na to powinni, czy sami nie są przyczyną przestępstwa dzieci, co się bardzo często zdarza. Najlepiej jednak jest, obejść się bez używania kar cielesnych. Dzieci powinny o tem wiedzieć, że się je karze z miłości. Czasem potrzebne są dochodzenia i badania przed wymierzeniem kary.

Ścisłe biorąc, możnaby się i bez nagród obejść, ale tak one jak i kary są często w wychowaniu domowem potrzebne. Nagroda przedstawia skutki dobrych, kara zaś skutki złych czynów. Jednakowoż młodzież ma nabrać przekonania, że nie dla nagrody dobrze czyni, lecz z obowiązku, bo kto tylko dla nagrody pracuje, czyni to tylko wtedy, gdy się jej spodziewa. Dwa te środki wychowawcze skutkują po

największej części u tych wychowañców, których sposób myślenia jest zwichnięty. Z tego powodu powinni rodzice wybierać takie nagrody, któreby nie podniecały niższych żądz dziecka. W ogóle trzeba mieć pewien takt w udzielaniu kar i nagród.

Innym środkiem wychowawczym jest współczucie przyjemności. Słowo pochwalne, w ogóle słowo uznania dodaje dzieciom ochoty do czynienia dobrego tak, że się i nadal będą starały takowe wypełniać. Zanadto częsta pochwała szkodzi jednak.

Człowiek wychowuje się przez całe życie. Przyroda jest też jego wychowawczynią. Ta jednak bez obcego współdziałania nie ustrzeże go od błędu. Z tego ostatniego powodu potrzebni są wychowawcy, którzyby mieli świadomość siebie, byli rozumni i znali cel życia ziemskiego. Takimi wychowawcami powinni być przedewszystkiem rodzice. Sami jednak rodzice nie potrafiliby wychować dzieci, gdyby im nie przybyły w pomoc państwo, kościół i szkoła, które są również instytucjami wychowawczymi. Ztąd wynika konieczność dla rodziców zostawiania z niemi w związku. Szkoła jest tylko dalszym ciągiem wychowania domowego i zastępczynią rodziny. Kościół wgląda w sprawy domowe, dotyczące religii i zważa, aby domowe zasady moralne zgodne były z zasadami religijnymi, bo od tego zawisł dobrobyt kraju i państwa. Kościół i państwo winne znowa pomagać szkole.

Przywiązanie dzieci do rodziców i odwrotnie, jest w wychowaniu rodzinnem bardzo potrzebne. Przykład rodziców jest tu jeszcze potrzebniejszy, niż przykład nauczyciela w szkole. Rozsądni rodzice wiedzą, że stosunki rodzinne jak: bogactwo, ubóstwo, choroba, szczęście lub nieszczęście, spokój lub kłopot i t. d., wpływają także na ukształcenie rozumu, rozsądku i serca dzieci. Czynności, jakie rodzice wykonują w domu, tudzież sposób napominania wpływają również ujemnie lub dodatnio na rozwój i moralność dzieci.

Matka jest główną kierowniczką myślenia dzieci; swoim wzrokiem nawet może ocenić swe dziecko i myśl jego odgadnąć. O tem wszystkiem powiada jej

miłość macierzyńska. Chociaż uboga, ale potrafi skutecznie wychowywać. Wszystko, co wynosimy z domu, winniśmy matce i jej troskliwości.

Ojciec jest królem, sędzią i kapłanem w domu. Dlatego powinien być rozumny i poważny. Stosunek rodzeństwa, t.j. sióstr i braci starszych lub młodszych stanowi już rodzaj społeczeństwa. Tu uczą się dzieci sprawiedliwości, przebaczenia, poświęcenia, pobożności i wielu innych pożytecznych cnót. Jako dobry ojciec nie czuje gospodarz domu świętszego obowiązku nad ten, aby dał dzieciom dobre wychowanie, którego rozpoczęcie już z pierwszym rozwijaniem się władz dziecinnych nie jest bynajmniej zawczesne. Wie on dobrze, że „kto chce własny ogród owocowy założyć i hodować, ten od szkółki zaczyna; stare drzewa albo wcale nie, albo z trudnością dają się czepić.“ Czyliż to porównanie drzew z dziećmi nie jest stosownem? Jakikolwiek los majątkowy i stanowisko Bóg dzieciom jego zgotował, to go mało obchodzi, bo w każdym razie nagrodą to dlań będzie, skoro dzieci swe na dobrych chrześcian i ludzi wykształci.

Z tej przyczyny dobry ojciec podziela z matką je d n ą myśl. Podług jego przekonania, miłość Boga i rodziców powinna być najpierwszą cnotą w dziecięciu. Nie zaniedbuje więc żadnej sposobności do wzbudzenia tych dwóch rodzajów miłości w sercu dziecka. Skoro mu się to udało, widzi już założony fundament do wszystkich innych cnót w dziecięciu. Dziecko miłość tę posiadające, będzie najmniejszemu skinieniu rodziców posłuszne, łagodne, cierpliwe i zgodne. Bawiąc się i obcując z drugimi, nigdy nie da przyczyny do kłótni i niezgody. Nad nieszczęśliwymi będzie mieć politowanie i jakiej zdoła, udzieli im pomocy. Przy pracy okaże się pilnem i zachowa wolę Ojca w niebiesiech. Będąc świadkiem czyjego cierpienia, śmiało i gorliwie ujmie się za prawdą i sprawiedliwością, chociażby je to wiele trudu kosztować miało. Żądom i wszelkim skłonnościom do rozpusty oprze się dzielnie, swoje zaś cnoty uwieńczy skromnością. Będzie zadowolone ze swego stanu, gdyż wie, że mugo Opatrzność wyznaczyła i nikomu zazdrościć nie będzie szczęścia.

Z ojcem, którego usiłowaniami powiodło się,

przejąć uczuciem takiej miłości serca swych dzieci, z ojcem tym już wygrana sprawa tak ważna, jaką widzimy w wychowaniu dzieci. Po dokonaniu tego potrzebuje ojciec li tylko jeszcze nauką i własnym przykładem wskazywać ich sercom drogę, którą iść i inne obowiązki, które wykonywać mają.

Zadaniem mężczyzny jest walka z przeciwnościami, pielęgnowanie sztuk, nauki i t. d.; zadanie zaś kobiety szczyblejsze: ona skazaną jest na zajęcie się gospodarstwem domowem. Nie kobieta, lecz mąż powinien pracować na utrzymanie rodziny. U niej przeważa tkliwość, u niego zaś myśl, rozum i wola. On powinien być samowolny, ona podwładną.

Głównym celem wychowania u rodziców ma być wytworzenie w dziecku chęci zbliżania się do ideału. Ideału w zupełności osiągnąć nie można; trzeba się tylko starać zbliżyć do niego. Samo poznanie zasad moralnych nie wystarcza do życia cnotliwego. Dowodem tego jest fakt, że wielu ludzi znają zasady moralności, a nie żyją według nich. Z tego powodu potrzeba człowieka w młodości zaraz przyzwyczajać do czynienia dobrego.

W dalszym ciągu wychowania domowego stara się ojciec w żywych barwach przedstawić dzieciom okropność i niegodziwość zbrodni z jednej, a błogie owoce cnoty z drugiej strony. Ale i małe wady dzieci powinien ojciec wykorzenić. Czuwa więc troskliwie nad tem, aby oddalić od nich wszelką okazję do zepsucia. Jedno z najgorszych jest złe towarzystwo. Często na całe życie już cnota w dziecięciu zabezpieczona, skoro ją wcześniej rodzice pielęgowali. Wiedzą rodzice, że ostatecznym celem wychowania nie jest głównie mowa, ale czyny, z których można poznać ludzi wykształconych lub niewykształconych. Wychowanek powinien się stać tem przez wychowanie, czem go chce mieć wychowawca, (w tym wypadku rodzice). Rozumie się, że zależy od okoliczności, czy się to wykonać da. Z doświadczenia wiedzą rodzice, że można własnym przykładem skutecznie wpływać na dziecko. Naprzód też winni przewidzieć, co się z dziecka wyrobić może (niestety! rzadko tylko przewidują! Przyp. red.) Człowiek od urodzenia nie jest

ani dobrym ani złym, dlatego potrzeba wychowawcy, od którego późniejszy stan duszy człowieka zawisł.

Obok czuwania nad ukształtowaniem umysłu i serca dziecięcia, zajmuje także ojca jego los przyszły na świecie i sposób życia. Mając to ciągle na myśli, nie szczędzi trudów i zabiegów, nie pozwala dziecku w gnuśności i beczynności lat młodocianych marnować i odmawia sobie wielu przyjemności, aby tylko los przyszły dziecięcia zabezpieczyć. Jedyne dobro dzieci osładza ojcu trudy, ułatwia prace i znośnemi czyni umartwienia. Wśród wszelkich trudności obraca oczy swe i myśl na dzieci, których miłość pokrzepia go. Każde smutne przecucie, odnoszące się do nich, przejmuje go na wskrós. Każde niebezpieczeństwo im grożące, ciężkiego nabawia go niepokoju. Od kolebki aż do pełnoletności i po niej jeszcze, czuwa ojciec troskliwie nad losem swego dziecka. Nawet aż do tej chwili, która wszelkie troski doczesne zakończy i rozwiązuje najdroższe węzły na świecie, ciągnie się troskliwość i miłość rodzicielska.

Zadaniem nauki dziecka jest rozwinięcie jego wiedzy i woli na to, aby mogło samowolnie i ze swobodą osiągnąć cel życia ziemskiego. Mając to na myśli, nie pogrąża się ojciec w nieutulonym smutku, dopóki go może pocieszać widok dobrze sprawujących się dzieci. Niechaj mu zostaną wydarte znikome dobra, zniweczone jego słodkie nadzieje — najśłodsza przecież kwitnie mu pociecha, najpiękniejsza nadzieja w jego dzieciach, które on w smutnych godzinach tem czulej przyciska do serca.

Święte te uczucia tak pokrzepiają ojca i dzieci, że błogosławią nawet czasy nieszczęść i doświadczenia, które miłość tak potrafiła uświetnić. Tylko kiedy uczucia te zostaną zranione, kiedy wesołość i spokój zniknie z zacisza domowego, kiedy ojciec za czułą miłość swoją doznaje od syna niewdzięczności, kiedy wyrodna córka dom hańbą pokrywa; wtedy ach! już nie masz żalu większego nad ten, jakiego strapione serce ojca doznaje. Rozpaczałby, gdyby go religia święta nie pocieszała i nie wzbudzała w jego duszy nadziei, że się może jeszcze wyrodne dziecko opamięta i jako syn marnotrawny wróci do Boga i ojczyzny.

W pierwszym roku życia dziecka uważa ojciec najwięcej na jego wychowanie cielesne, czyli pielęgnowanie zdrowia. W drugim roku uczy się dziecko chodzić, mówić, jeść; widzi, słyszy i dotyka się otaczających go przedmiotów, przez co nabywa poglądów, które stanowią treść jego wyobrażeń, uczuć i pożądań, a to jest właśnie początkiem życia duchowego. W trzecim okresie, t. j. do 7-go roku życia pojawia się u dziecka świadomość siebie, pojęcie świata, czyli mierna zmysłowość i duchowość. W perjodzie czwartym, t. j. do 15-go roku życia, wytwarza się w wychowaniu samodzielność, duch potężnieje, pamięć, czucie i wola zwolna biorą górę a powodowanie się zmysłowością maleje. W okresie tym występują również nowe siły, które się nie mogą pogodzić ze zwyczajami, w świecie przyjętymi. Nareszcie w piątym okresie życia dojrzewa organizm, rozwija się jeszcze duch, wyrabia się charakter, który tworzy sobie zasady praktyczne i ideał życia. W tym perjodzie wybiera sobie człowiek zawód, według którego winien się kierować i wpływ wychowawcy ustaje prawie.

Wszystkie te okresy mając na względzie, sprzyja ojciec o ile mu sił starczy rozwojowi dziecka w każdym kierunku. Jak matka troskliwie ćwiczy i zaznajamia swe córki ze wszystkimi niewieściami pracami i do wszystkiego je przyzwyczajają, co im tylko w przyszłości jako gospodyniom przydać się może, tak ojciec ze swej strony czyni co może, aby synów obeznać z obowiązkami stanu, w którym życie pędzić i na wieczne zbawienie zasłużyć sobie mają. W tym celu zaraz od najpierwszej młodości pilnie ich do nauki zachęca, bo wie, że nieumiejętny poślednie w społeczeństwie zajmuje stanowisko. Nadto ma przekonanie, że zdatny i wyuczony młodzieniec posiada mnóstwo uczciwych sposobów zabezpieczenia sobie losu na świecie, nieumiejętny natomiast niczego nie może się chwycić. Rozumny ojciec nie chce przyszłego stanowiska swych dzieci zostawiać losowi szczęścia lub nieszczęścia, dlatego zaopatruje je w różne wiadomości, których ani złodziej nie ukradnie, ani woda nie uniesie, ani ogień nie spali. Wiadomości nabyte

zabezpieczają zawsze i wszędzie każdemu uczciwe utrzymanie, gdy tylko Bóg zdrowia i łaski użyczy.

Środków wychowawczych używa ojciec w podobny sposób jak matka. Gdy pozna zdolności, siły i skłonności każdego ze swych dzieci, wtedy o ile może stara się wpajać każdemu usposobienie, któreby odpowiadało obranemu przezeń zawodowi. Ponieważ zaś ciągle zachodzą wypadki mogące wpłynąć na zmianę obranego już zawodu, przeto nie ogranicza ojciec naukę swych dzieci na obeznanie ich z warunkami jednego tylko stanu, ale pełen przezorności obznajmia je także z innymi.

Postępy synów w wiadomościach odpowiednich przyszłemu ich powołaniu, najczystszą radością przejmują serce ojca. On żyjący — że tak powiem — w swych dzieciach, nie szczędzi zachęceń i rad, aby nie ustawiali w pracy. Nawet wtedy, gdy synowie już są zaopatrzeni na przyszłość i gospodarują samodzielnie, cieszy go ta okoliczność, że może być świadkiem dobrego ich powodzenia. Wspiera ich też radą i pomocą i cieszy się tem, że widzi niezamarnowany owoc swych trudów i swej miłości. Aż do grobu towarzyszy mu ta czuła interesowność. I na łożu śmierci nie zapomina o swych synach, a udziela im ojcowskiego swego błogosławieństwa w tej nadziei, że się z nim kiedyś na wieki połączą.

Co to jest życie? *)

napisała Augusta Finkelstein, † 1884, 20 Stycznia.

I.

Co to jest życie? — Schylona nad księgą
Wiecznych zagadnień o śmierci i bycie,

*) Pod tym tytułem podajemy jedyną może pracę literacką zgasłej w młodocianym wieku nauczycielki, panny Augusty Finkelstein z Medenic. (*Przyp. red.*)

Myśl wstrząsa niebios i ziemi potęgą,
Pytajac : co to jest życie?
Jako świat dawny, tak dawno pałace
Słowo to, w błękit wyrzucone leci...
A nad ludzkością zadumane słońce
W ciszy powstaje i świeci....
Żadna odezwa nie koi nam ducha
I nie rozjaśnia żaden promień nocy...
O! kiedyż wstanie Ten, który nas słucha
Milczący, w pełni Swej mocy? —

II.

Co to jest życie? gra przemian i ruchu,
Harmonii zjawisk ton głośny, przewodni,
Płomyk, co gaśnie przy świecy podmuchu.
I znów się chwyta pochodni...
Co to jest życie? Żebracze łachmany,
Purpura królów, siła myśliciela.
Nędza, co w istnień miliony się wciela,
Włokac materji kajdany...
Upadek duchów, pole walk najkrwawsze,
Gdzie nikt nie wieńczy oręza ni siły,
I gdzie zwycięztwo otrzymuje zawsze
Czarną chorągiew mogiły... .

III.

Co to jest życie? Uśmiechy wiosenne,
Szmer pocałunków, jutrzienka spłoniona,
Zroszone róże, marzenia wpółsenne,
Uścisk co splata ramiona.
Co to jest życie? odwieczna tęsknica
Do oddalonych żywej wody zdrojów
Żar co pierś pali, a ogień podsyca
Burzliwym tchem niepokojów.
Trud bez zapłaty — samotność i wzgarda,
Znój krwawy czoła — i łyzy krwawe oka;
Boleść jak groby czarna — i głęboka,
Dola sieroca i twarda....
Cóż więc jest życie? do czego zbudzone?
Czemu tak strasznie rozłamane w sobie?
O to w błękitach ma swoją koronę,
A trwałość odrodzeń w grobie...

Objawy jego wszędzie, a istota
Niepochwycona, lotna i subtelna.
Dotkniesz go ręką? garść prochu i błota.
Myślą to skra nieśmiertelna.
Gdzie jest ten nikły punkt, ta tajemnica
Spójna, co wiecznie łączy ze znikomem,
I zmiennej formie, która jest jej domem.
Potęgi bytu użyczą?
I komu dano chwycić moment wielki,
W którym materja przyjmuje pałace
Znamiona ducha — te rosy kropelki,
Co rankiem żwierciedlą słońce?

IV.

O myśli ludzka! gdzieżeś ty nie była
Po słowo życia — płomienna i drżąca?
I jaka czara, tuż przy ustach schnąca
W pragnieniu cię nie poiła?
Ty w skwarnej puszczy, co ogniów tych żarem
Starych braminów przeplatała kości,
Szukałaś życia pod mrocznym sztandarem
Bezwzględnej, martwej nicości.
Ty mędrców greckich budziłaś o świecie
Wieków, zadaniem tem nierozstrzygnionem,
A senne sfinksy okiem swem zamglonem
Pytają, co to jest życie?
Lecz twe zdobycze są jak orły wiosną:
Póki im loty potężne nie wzrosną,
Próżno próbują skrzydłami słabemi
Zerwać się wyżej od ziemi.
Aż wreszcie tron swój podniosłaś w błękicie,
Zrzuciwszy z siebie materji znamiona,
Myśli! słyszałaś, jak z piersi miliona
Bił głos od ziemi: co życie?
Więc gdy jak Mojżesz, sama byłaś z Panem
Na górze gromów, błyskawic i cudu,
Nowe się wzniosły ołtarze dla ludu:
Badania nad niezbadanem
I dziś, gdy blaski rozświtu nam dnieją,
Duchy, strudzone walkami, w przedświcie
Z wielką, z ostatnią rozpaczczą nadzieją
Pytają: co to jest życie?

V.

Ileż ty razy, o biedna ludzkości,
Wzniesiesz się jeszcze i padniesz znużona,
Zanim podstawy dla swojej przyszłości
Z własnego zaczerpniesz łona ?
Zanim odbędziesz choć tyle w tym boju,
Z tajemniczością własnego istnienia,
Byś cele swoje, bez łez i cierpienia
Rozważać mogła w spokoju ?
Kiedyż pochwycisz odwieczne i żywe
Ustawy bytu, których nic nie zmienia ?
I będąż one wzniosłe jak pragnienia,
Jak rzeczywistość prawdziwe ?
Kiedy ukoisz się i pójdziesz cicha,
Wytkniętą drogą, bez skargi, świadomie,
Dążąc tam, kędy myśl Boga oddycha
W słonecznych światów ogromie ?
Ale w ludzkości jak klątwa niedoli,
Są takie słowa, których nic nie zgłuszy :
Myśl od nich płonie i pierś od nich boli,
I ciemno robi się w duszy.
I wiecznie, wiecznie — wśród istnień gromady,
Z okiem, utkwionem w dalekim błękicie
Stać będzie człowiek samotny i blady
Pytając: co to jest życie ?

Nasze hasło.

Praciu ! dzisiaj hasło nasze
Praca szczerza a wytrwała ;
Bo już ucichł szcęk pałaszy
I umilkły gromkie działa.
Praca życie nam osłodzi
I zagoi nasze blizny,
A w przyszłości pewnie zrodzi
Szczęście dla drogiej ojczyzny.

Siekierą w ręku Dipold, co dzisiaj sobie hula
Na czele swych krzyżaków, zagraża życiu króla.

Lecz Oleśnicki pana krwi broni swej wylewem
Jak lew, gdy rozjuszony przerażający gniewem ;
W Dipolda serce dzidą wprost mierzył wojak śmiały
I krzyżak jednym pchnięciem padł, krwią zbroczoney
cały.

A król, co w bitwach licznych nietrwożny i ochoczy,
Tam gdzie mu śmierć groziła, sam śmierci zajrzał w oczy,
Młodzieńca poświęceniem do łez dziś rozczulony,
Odpasa miecz od boku i wręcza mu wzruszony.

Lecz młodzian za tę łaskę dziękuje panu skromnie;
Nie królom służyć, Bogu on służyć chce niezłomnie;
Więc przed ołtarzem klęcząc i Twórcę czcząc wspaniale.
Sam jemu się poświęca ku wiecznej Boga chwale.

S a m b o r, 27. stycznia 1885

S. Kohn.

Wieczór wśród ruin.

(Karta z wspomnień z nad Bugu.)

„Gościńce sławy naszej chwastami zarosły,
Rozwalinom Syonu pokrzywy panują,
Po wieżach głos pogrobny puszczyki rozniosły,
A smętne cienia ojców po kątach się snują,
Wskazując zwłoków swych ułamki świetne,
Powyrzucane na śmiecia wymietne“... .

J. P. Woronicz.

Są chwile w życiu człowieka, tak wzniosłe,
piękne i rzewne, iż wspomnienie o nich utkwii
częstokroć na dnie duszy i serca — na zawsze!

Taką chwilą dla mnie był wieczór wśród ruin
starożytnego zamczyska w Białym Kamieniu nad Bugiem.

Było to w r. 1870-m, w czasie kiedy mieszkałem w Sasowie pełen życia i pięknych nadziei, w owym Sasowie, gdzie mi tyle chwil błogo i spokojnie wśród kochanych i kochających, sercu drogich osób — upłynęło, a dziś po burzy życia li tylko wspomnienie po nich w zbolałem sercu mi pozostało...

Otóż pewnego pięknego popołudnia w miesiącu czerwcu wybrałem się z moim przyjacielem J. K. rzeźbiarzem do Białego Kamienia, miasteczka o milę od Sasowa oddalonego, powodowany chęcią zobaczenia ruin zamczyska, w którym się urodził w r. 1639-m Michał Korybut Wiśniowiecki, król Polski — a który panował od 1669—1673 — o którym poeta mówi:

„Osiał Korybut na polskim tronie,
Lecz dużo złego było w koronie. —
Korybut biedny i Polska biedna,
Bo ją trapiła klęska niejedna. —
Turczyn Kamieniec zajął Podolski,
Mało miał wojska słaby król Polski,
Lecz Sobieskiego potężne ramię
W Chocimie siłę pogańską łamie“....

Gdyśmy się zbliżali do miasteczka, słońce chyliło się ku zachodowi, ozłacając swym purpurowym promieniem wierzchołki drzew, malowniczych wzgórz, okalających ową miejscinę nadbużną. —

Wypocząwszy chwil kilka u znajomych, udałem się z moim towarzyszem ku ruinom zamczyska, poniżej których rzeka Bug toczy swe modre fale, przejrzyste aż do dna głębiny, jak serce prawego człowieka. Słońce już zaszło!... Wieczór był cudownie piękny! Miliony gwiazd drżały na niebios lazurze, i kąpały się w brylantowych rzeki falach! Najmniejsza chmurka nie ćmiła błękitu nieba, żaden wietrzyk nie mącił spokoju przyrody, tak było błogo, cicho i spokojnie, jak w duszy człowieka, co w wieczór życia swojego, na swe dzieła spogląda. Taką swobodą tchnęła ziemia i niebo i drzewa i kwiaty, że najbiedniejszy śmiertelnik musiał odczuć rozkosz z życia w swem sercu!

Z poza wzgórz lesistych wyglądał nieśmiało księżyc bladawy; milczący i smutny spojrzął łzawemi oczyma na usypiającą naturę, której on wzbudzić nie mógł, nie umiał, której snu tylko miał być stróżem.

Spojrzał na cień żaloby, jakim się cała przyroda po zniknięciu słońca okryła i swą ciemną oponą całą przyrodę do snu ukołysać chciała — pobladł i zesmutniał więcej. W tem z krzewów nadwodnych wznosił się dźwięczny śpiew słowika, słuchała go cała przyroda, słuchał i księżyc milczący, i jakby zrozumiał w tym śpiewie boskiej pociechy słowa, jakby odgadł w jego tonach myśl wielkiej prawdy: iż każde stworzenie z cichem poddaniem iść ma wskazaną przez Stwórcę drogą i pełnić wiernie powołanie swoje, nie troszcząc się zbytecznie o skutki, bo od tej chwili zajaśniał niezwykłym blaskiem, siłą poddania i ufności. . . .

Postępowaliśmy zwolna po nad brzeg Bugu, przypatrując się to czystym jego nurtom, to rozjaśnionej księżyca tarczy, słuchając cudnego śpiewu słowika. Nareszcie zbliżyliśmy się do ruin zamczyska. Ruiny te, oświetlone promieniem księżyca, po których piał się smętny bluszcz, okolone wszechstronnie splotami płaczących brzoź, na których zwojach i liściach perlily się krople wieczornej rosy, — zrobiły na mnie ogromne wrażenie! Myśl uleciała w krainę przeszłości i nie podobno było przewyciężyć uczucia, które gwałtem przepelniało duszę i całe me jestestwo! Zawolałem z uniesieniem:

„O świadki dawnej potęgi i chwały! przeżyliście ją i dziś żalowaną skargę zanosisie ku niebu, patrząc na swoją niedolę! Odsłaniając poranioną w długich walkach pierś swoją, blizny swojego czoła, szukając, gdzie tych cierpień nagroda? I okazując odartą szatę swoją, pytacie się Boga, czemu ci, którzy siłą uczucia i dostatkami skarbów takie wzniesli gmachy, nie mają dziś za co dla tych inwalidów z walk świetnej przeszłości naszej, dla tych cudnych pamiątek i pomników wielkości swojej, których nieubłagany czas zab niszczył, ubogiej nawet sprawić sukienki?“

Stałem długo, długo zadumany. Zdawało mi się, iż zniewaga pamiątek przeszłości wywoła z grobów cienie wielkich mężów przeszłości, i przesuwają się po rozjaśnionych światłem księżyca ścianach i oknem duszy patrzą w około siebie i łamią ręce w rozpacz, a anioł - stróż niesie im od Boga pociechy słowa, które brzmią w powietrzu w cudnej pieśni dźwiękach.

Z tej zadumy wyrwał mnie nagle śpiew mężczy, poczynający się od słów chorału:

„Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem jak senni ptacy,
Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.“

Śpiew ten tak rzewny powtórzyły echa przyległych wzgórz aż nareszcie skołał, płynąc i gubiąc się w kroplach wieczornej rosy. W tej porze, w takiej ustroni samotnej, przy tak rzewnym nastroju ducha i myśli, śpiew ten był czemś nadzwyczajnem. To też skierowaliśmy nasze kroki w stronę, z kąd takowy nas dochodził. Owóz na samym krańcu ruin, na odłamie kolumny, ujrzelśmy siedzącego mężczyznę o smętnej, pięknej twarzy, podpartego ręką; u nóg zaś jego leżał duży pies, który zobaczywszy nas począł szczekać.

Nieznajomy podniósł się nieco i przywołał psa do siebie. Gdyśmy się do niego zbliżyli i pozdrowili go, on rzekł:

— Panowie w tę oto ustron zapewne zbłądzili?

— Nie — odpowiedziałem. Korzystamy z tak cudownego wieczora i zwiedzamy te oto ruiny, usłyszawszy zaś przed chwilą śpiew, radzi jesteśmy poznać samego śpiewaka.

— A jeżeli tak — odpowiedział nieznajomy, to proszę spocząć — i wskazał nam odłam ruin obok niego leżący. Po krótkim więc przedstawieniu się usiedliśmy, a zamieniwszy kilka zdań ze sobą, w krótkim czasie byliśmy ze sobą prawie na stopie poufałej. Opowiedział nam obcy, że jest Litwinem z okolicy Trok, że w r. 1863 m walczył w oddziale Narbuta, i że z licznej jego rodziny on sam tylko jako jedyna żyjąca pamiątka pozostał, jedni bowiem legli na polu bitwy, inni skonali powolną śmiercią w lochach cytadeli, a inni znowu w stepach Sybiru, w owej rozległej krainie boleści, łez i tęsknoty. On zaś sam po upadku powstania skrył się za granicę, a po długim tułactwie zamieszkał w Białym Kamieniu i sprawuje czynności zarządcy dóbr miejscowych.

— O! gdybym choć raz jeszcze — zawołał z zapamiętem — zobaczył moją ukochaną Litwę, gdybym choć

raz jeszcze zobaczył mą rodzinną wioskę i te lasy dziewicze podszyte niskodrzewiem, gdzie tyle chwil pięknych w młodości mojej mi zbiegło i tyle pięknych nadziei jak nici złotej przedy się snuło przed memi oczyma! O żebraczym kijku, bosymi nogami poszedłbym tam chętnie, byle dziś po latach gorzkiej niedoli, tylu zawodów i po tylu ofiarach łez, krwi i życia — kości swe złożyć wśród drogich i kochających ongi mię serc tylu! — Miejsce to ustronne tutaj, często w wolnych chwilach odwiedzam. Tu swobodnie zapłaczę i podumam nad minioną przeszłością naszą, tu myślę i marzę o mej drogiej, ukochanej Litwie i o druhach moich, których los rozprószył po całym świecie, których nie dosięgła ręka cara i jego służalców — Bergów i Murawiewów. —

Gawędziliśmy potem w późną noc, jak najlepsi znajomi i przyjaciele, bo też nawzajem dobrześmy się zrozumieli! Rozstając się rzekliśmy sobie: „do widzenia.“ Niestety! nadzieje ludzkie zwodnicze! Dziś po latach tylu, gdy to piszę — włos sprószony siwizną, przeszło się wiele i przeboleła niemało, a jednak ten cudny wieczór wśród ruin spędzony tak mile z szlachetnym Litwinem, którego już odtąd nigdzie nie spotkałem wyjechawszy z tamtych stron — utkwił mi na zawsze na dnie duszy i serca. —

Człowiek buduje, a los rozprasza,
Dziwne, ach! dziwne życia koleje,
Gdzież Ty Litwinie, możeś bez poddasza,
I czy się ziszczą nasze nadzieje?

Monasterzyska, w Maju r. 1883-go.

Szymon Chępiński.

Kołysanka.

Spij, moje dziecię, spij!

Oczęta lube zmruż,
O rajskich kwiatach śnij,
Dopóki Anioł-stróż
Nad tobą czuwa w górze.

I wieniec szczęścia wij,
Dopóki lśni w lazurze

Jasno gwiazdeczka twa;
Póki dzieciństwo trwa.

Spij, moje dziecię, spij! —

Spij, moje dziecię, spij,
Aniołku mały mój!

Do swojej gwiazdki mknij,
W jej blaski główkę strój.

Na kwietnej marzeń łące

Kwiaty miłości rwij,

Świeżutkie, woniejące.

Orzeźwiał się ich tchem

Szczęśliwe — snem....

Spij, moje dziecię, spij!

Spij, moje dziecię, spij!

Dziś sen twem życiem jest;

Lecz się ku Bogu wzbij,

I wyproś cnoty chrzest,

Bo świat cię wnet obudzi.

A wtenczas żyj.

Szczęśliwe szczęściem ludzi.

Losem twym — braci los,

Panem — Ojczyzny głos.

Spij, moje dziecię, spij!

Spij, moje dziecię, spij,

Aż matka zbudzi cię,

Wołając: wrogów bij,

Bo szarpią — męczą mię.

Wtenczas precz z snem — słabością!

Obudź się, walcz i żyj,

Potężny swą miłością.
Jaką broń los da — bierz,
I wolność, miłość szerz.
Lecz teraz, dziecię spij!

Potok złoty, 7. września 1884.

Julian Nowakowski.

Do mojej się... Świętej modliłem.

Zadzwonił już dzwonek,
Ucichnął skowronek,
A słowik do pieśni się zrywa —
I ziemię i ludzi
Nim słońko przebudzi,
Zaległa noc głucha, nieżywa.
Lecz zanim powieki
Sen zamknie daleki,
Gdy dzwonek odezwie się z wieży,
Wraz z dzwonka wołaniem,
Z nas każdy przed spaniem,
Z modlitwą do Stwórcy pobieży.

Na dzwonka to echo
Spieszyłem z uciechą
I zawsze wspomnieniem mnie miłem,
Za jego dzwonieniem
I ja też z natchnieniem
Do mojej się Świętej modliłem.

Nelin.

Ach! nie pójdę za innego.

Na balu lub na wieczorze
Zawsze patrzę w oczy jego,
Już i mama nie pomoże —
Ja nie pójdę za innego!
On tak czule ścisnął rękę
I wyszeptał do mnie z cicha:
„Nie wiesz, jaką cierpię mękę
— Kocham ciebie — pierś usycha —
I żal gnębi serce moje.
Krew się ścina — myśl się burzy —
W duszy takie niepokoje...
Wszystko smuci — wszystko nuży.“
Boże! rzekłam: nie wiesz Panie,
Jak mię również smuci — boli...
Lecz cóż? mama nie przystanie.
Mama na to nie pozwoli...
A on westchnął — łza mu spadła
I zwilżyła mi sukienkę;
Jam tę boleść wnet odgadła
I ścisnęła go za rękę.
On mię ujął w swe ramiona —
Długom ssała oddech jego
I tuliła się do łona...
Ach! nie pójdę za innego!

Alfred.

Modlitwa.

„Bądź wola Twoja.“

O! gdybym Boże, śmiał Cię prosić o co,
Gdybyś mniej szczęściem usłał moją drogę, —
Tak się uroczo gwiazdy w niebie złocą...
Lecz ja Cię o nic prosić już nie mogę! —

Po błoniach kwiaty pełne barw i woni,
Tyle z nich dziewic wije wieńców sobie ;
Oby choć listek przypadł do mej skroni....

Lecz — i tej prośby, nie śmiem zanieść Tobiel

A tam widziałem : co się szczęściem zowie,

Jak sobie gniazdo nucąc ptaszki wiły,

Jak otoczyło ich ptaszęce mrowie...

— Lecz o to Boże ! prosić nie mam siły !....

Bom ja przetęsknił, za czem tęsknić było,

Bom już obiegał wszystkich myśli biegi ;

Jeszcze mi tylko tęskno za mogiłą,

Jeszcze umarłych chcę zwiększyć szeregi....

A gdyby jaki żebrak przed kościołem

Prosił cię za mną, o mój dobry Boże :

Wysłuchaj starca, co pochyłem czołem....

.... Lecz i o n za mną prosić cię nie może !....

Jeśli tam kwiatkom wyschniętym na piasku

Przywieje chmurka by je dżdżem urosić,

Może tam dziewczę przechodząc o brzasku

Zerwie i ołtarz.... — i ta nie śmie prosić !....

Może ktoś za mną łzę uroni z oczu.

O ! to łza jego spadnie na mnie pewnie, —

Bo jam dla wszystkich chciał zniknąć w przezroczu ;

I Ty odtrącisz i tę modłę gniewnie.

Bom ja przetęsknił moje młode lata,

Bom ja to szukał co mógł łonić z siebie,

Bom ja me życie zagrzebał dla świata.

Jakież głos za mną dojdzie Cię aż w niebie ?....

Lecz zanim losy moje śmierć rozplączę,

Wyrok nad płonnym życia padnie kłosem,

To jeszcze z serca prośbę tę wysącę,

Coś mi dozwolił : „Pogódź mię z mym losem !“

1880.

Jan Narcyz Daszkiewicz.

Pożegnanie Szuparki.

Jam dzisiaj tu a jutro tam,
Jak nami los frymarczy,
Ostatnią pieśń zanucę wam:
Niech ta za wdzięczność starczy!
Pożegnaj was --- pożegnaj już,
Pożegnaj białe ściany,
Zostawię zwiędłe liście róż,
Zostawię dom kochany!

O! jakże luby listków szmer,
Jak cudny blask księżyca!
Mnie wiedzie w dal przeznaczeń ster,
A w duszy tkwi tęsknica.
O! błogo było, błogo nam!
Rozkoszne były chwile,
Lecz cóż ja dziś w podziękę dam
Za dnie, co zbiegły mile?!

Dziś rozłączenia nadszedł dzień,
Więc precz z boleścią jawną!
Niech pierzcha błądny smutku cień,
Wesołość wróćmy dawną!
Niech nam wesoła zabrzmie pieśń,
Niech usta się zaśmieją!
Odrzućmy precz zwątpienia pleśń,
A cieszymy się nadzieją! —

Janina Antonowiczówna.

Zwątpienie.

Orle to były, sokole loty
/ Za młodych lat,
Gdy natchnień jaśniał dla mnie wiek złoty,
Szczęścia lśnił kwiat.

Duszą bujałam wśród wonnych błoni
I kwiecia róż,
Myśl wysyłałam w chyżej pogoni
Wśród wichrów burz.
Nie straszne były grzmotów odgłosy,
Ni fale chmur;
Odważną byłam patrząc w niebiosy,
Wolną wśród gór.
A chciwą dłonią zrywałam róże,
Piłam ich woń,
Choć nieraz ciernie ostre i duże
Krwawiły dłoń.
Lecz czas ubiegał i więdły kwiaty
Mych barwnych róż,
Listek za listkiem leciał skrzydlaty
Na falach burz.
Za każdym listkiem biegła część życia
I uczuć skarb,
Twarz się starzała jak listki kwiecia
Wybladłych farb.
I nic już w koło — nic prócz cmentarza,
Wichrów i burz,
I jedną pieśń mi echo powtarza,
Że jesień już.

Mościska. 2. stycznia 1885.

Janina Antonowiczówna.

Kanarek i słowik,

bajka poświęcona w dowód głębokiej czei autorce —
„wiecznych dumań,”

Janinie Antonowiczówniej.

Raz kanarek przy blasku księżyca
Do słowika w te przemówił słowa :

„Czemu pieśnią lud się twą zachwyca,
Choć nie sztuczna pieśni tej osnowa?

Przecież głos mój ma to w sobie właśnie,
Ze go chwałą, bo tak dźwięczny, śpiewny;
Czemuż jednak w obec twego gaśnie,
Czemuż czucia głos twój budzi rzewny?

Czemuż ten, którego tak kształcili
Ludzie, swej nie szcędząc mu nauki,
W obec ciebie się napróżno sili,
Choć wymagań nawet nie znasz sztuki?”

Słowik na to: „I cóż w tem dziwnego,
Kiedy śpiewasz, co wpojono w ciebie,
A ja śpiewam z głębi łona mego,
Ból i radość — wszystko snując z siebie.

Ty nastrojasz głos twój do prawideł,
Krępujących cię na każdym kroku,
W górę lot unosi mnie mych skrzydeł,
Wolny śpiew rozlega się w obłoku.

Póki pieśni dźwięk przeniknie łono,
Póki miłość schroni się pod strzechą,
Póty śpiewem szczupłe raduj grono,
Mój zaś w wszystkich niechaj budzi echo.” —

Próżno sztukmistrz według starej normy
Tony łączy w harmonijną całość:
Niczem sztuki wyszukane formy,
Gdzie porywa grą uczucia żałość.

G. Kohn.

Niepewne światło

(z Zedlitza.)

Przez dzikie manowce, urwiska i skały
Przedziera się człowiek, wędrowiec wytrwały,
I choć szumi potok, choć wezbrała rzeka,
To wstrzymać nie zdoła pielgrzyma — człowieka.

I choć mu nad głową gromadzą się chmury,
Choć słyszeć się daje huk gromu ponury,
I noc całkiem ciemna bez gwiazdy promienia,
On dąży wciąż naprzód, naprzód bez wytchnienia.
W końcu, widzi — w dali światło jakieś pała,
Może błędny ognik? może gwiazdka mała? —
Światło to tak piękne, tak świeci do koła,
Tak mu się uśmiecha, do siebie go woła.
Strudzony wędrowiec przyspiesza więc kroku,
Ten promyk łudzący wciąż mając na oku.
Powiedzcież, to światło, poranneż to zorze?
Urocząż to miłość? — czy błąda śmierć może? —

Wiźnica na Bukowinie.

Alma Kováts.

Zacisze leśne

(z Frydryka Salleta.*)

Rycerz w lesie z lubą swą
Gwarzy z dala wrzawy,

*) Podajemy niniejszem w własnym przekładzie jedną z najpiękniejszych balad tego poety. Sallet (ur. w r. 1812-m na Szląsku pruskim, † 1843 tamże) należy do szkoły romantycznej, a choć z starej rodziny szlacheckiej, baronowskiej nawet, jest demokratą na wskrós. Gdzie walczy imieniem idei ludzkości, widzimy drogą nam cząstkę ducha Szyllera w jego pieśniach: dlatego też przezwano go „śpiewakiem wolności.“ Jako oficer pruski śmiał on wykroczyć przeciwko wszechwładnemu wówczas militarystom i dostał się do twierdzy: z niej wysłał w świat swoją „pieśń prześladowanego“ gdyby grzmot zapowiadający burzę. I burza z r. 1848-go oczyściła też powietrze z reakcji, z miazmów dworskich, z wpływów biurokracji, ale „śpiewak wolności“ nie doczekał się już tej chwili wyswobodzenia.

(*Uwaga tłumacza.*)

Ściska dłoń, pieści ją,
Serce bez obawy.
Zamilkł bój,
Kwiatków rój
Wdzięcznie się uśmiecha.
Fala łśni,
Lasek drży,
Słowik smętny wzdycha.

„Zdała ja tu, zdała tu
Rodzimego gniazda:
Świat mój w lesie, w wonnym mchu,
Tu mi błysła gwiazda!
Tu mi żyć,
Tu mi śnić,
Pieścić ciebie z cicha!
Fala łśni,
Lasek drży,
Słowik smętny wzdycha.

„Ale cóż za dziki ton
Ciszę tę przerywa?
Kwiatki tulą główkę swą,
Echo się odzywa!
Trąby dźwięk,
Wojny jęk
Wkrótce nas rozgoni.
Pędzi w bój
Zbrojnych rój,
Pędzi hurma koni.“

Rycerz, co do boju zwykł,
Z pochwy miecz obnaży,
W cieniach już gałązek znikł.
Znikł z kochanki twarzy.
Cóż za cios,
Lubej głos
Za bój mienić wstrętny!
Fala łśni,
Lasek drży,
Słowik wzdycha smętny,

Dziewczę opuszczone, już
Łzami się zalewa,
Płaczą kwiaty obok tuż,
Strumyk skargi śpiewa.
Boju śpiew

Znikł wśród drzew,
Gubi się po błoni.
Pędzi w bój
Zbrojnych rój,
Pędzi hurma koni.
Z boju rycerz wraca zdrów,
Z boju za powrotem
Wśród nęcących duszę snów
Sypia pod namiotem ;
Jego straż,
Lubej twarz
W śnie mu się uśmiecha:
Fala łśni,
Lasek drży,
Słowik smętny wzdycha.

S a m b o r, 11. lutego 1884.

G. Kohn.

Pociecha śpiewaka

(z Justyna Kenera.*)

Choć mi nie zapłacze
Kochanka na grobie,
Płakać będą kwiaty
Rosą w nocnej dobie.

*) Podajemy niniejszem w tłumaczeniu panny Janiny Antonowiczówny piękną pieśń poety Justyna Kenera, należącego wraz z Szwabem, Uhlandem, Lenauem, Chamissem, Zedlitzem i wielu innymi do szkoły romantycznej. Czytaliśmy już wiele tłumaczeń z niemieckiego według wszelkich reguł, „na urząd“ jak to mówią zrobionych. Ale rzadko czytaliśmy tak swobodne a przytem tak piękne. *(Przyp. red.)*

Choć mnie nie popieści
Ni łza ni westchnienie,
Księżyc zadumany
Przeszłe swe promienie.

I gdy wszyscy ludzie
O mnie już zapomną,
Błonia te rozległe
Piosnki me przypomną.
Kwiaty, gaje, błonie,
Księżyc w gwiazdek wieńcu,
O te nie zapomną
O swym ulubieńcu!

Czortków, 24. maja 1884

Janina Antonowiczówna.

Bibliografia.

Rozpoczynamy niniejszem dział nowy w naszym wydawnictwie, dział bibliografii, a czynimy to głównie z intencją zapełnienia luki, która się ogółowi czytającemu dosyć dotkliwie dała w znaki. I rzeczywiście! wydawnictwo literackie, (a że nasze jest na wskrós literackiem, ktoby o tem wąpił!) wydawnictwo takie nie może i nie powinno obejść się bez działu bibliograficznego. Że nie możemy zbyt wiele miejsca poświęcić ocenieniu książek tam, gdzie miejsce takie rzucupłe jak u nas, i gdzie trzeba uwzględnić także potrzeby współpracowników, to pojmie każdy; ale nie myślimy też, ograniczyć się na gołosłownem przytoczeniu tytułów dzieł i ceny tychże, jakto się nieraz praktykuje w naszych pismach publicznych. Zwolenników zaś zasad naszych i przyjaciół, którzy nam książki swoje przysłali do oceny, upraszamy jak najusilniej i to imieniem dobrze zrozumianego wła-

snego ich interesu, aby nie żądali od nas bezwzględnych pochwał. Krytyka podnosząc dobre strony każdej sprawy, nie powinna omijać i zbywać milczeniem złych, krytyka zaś, która by szanować osobistości, nigdzie nie znachodzi stron ujemnych, jest po największej części sama bardzo ujemną. (Redakcja „Roczników Samborskich.”)

[Wisła. Album poświęcone „ofiarom powodzi.” Nakład i wydawnictwo koła literacko-artystycznego w Krakowie. Skład główny w krakowskiej filii księgarni Gebethnera i Wolffa. Redaktor Juliusz Mien. Kraków 1884. Format in quarto stronnic 44. Cena 1 złr. 50 ct.]

Słusznie rozpoczynamy szereg naszych ocen literackich od „Wisły”, ponieważ dochód z tego dzieła przeznaczony dla ofiar powodzi w Galicji, a same dzieło nęci oko wytwornością swoją jak i treścią. Drukarnia „Czasu” w książce tej złożyła nowy naśladowania godny dowód, że sztuka drukarska nie zeszła jeszcze do rzędu prostych rzemiosł — dla chleba, do którego to stopnia nieumiejętni drukarze w Galicji wszędzie usiłują ją ściągnąć. Wielką zaletę książki stanowią druk czysty, ilustracje świetnie wykonane, autografy pism znaczniejszych autorów i nuty. Mniej nierównie zadowolnia nas wybór prac literackich, przyjętych do albumu. Moglibyśmy nawet redaktorowi słuszny zarzut robić z tego powodu, iż kosztem wielu uzdolnionych starych lub młodych autorów polskich, których prace nie zostały umieszczone w albumie, pozwolił rozwielić się autorom francuzkim — ale to rzecz gustu. Cięższy zarzut musimy mu uczynić z powodu umieszczenia zbyt częstego listów dziękczynnych lub z przeprosinami, nie mających po największej części żadnej wartości literackiej i czyniących prawdziwą ujmę wydawnictwu. Sądzę, że każdy z czytelników bezwzględnie podzieli moje zdanie, jeśli twierdzić będę, że wśród powodzi tych listów jedyne tylko listy Kraszewskiego z Magdeburga, choć w języku francuzkim wystylizowane, pozostaną na zawsze cenną pamiątką dla każdego Polaka. List pani Julii Adam został już należycie oceniony w „Gazecie Narodowej,” list Sienkiewicza zaś

czyni ujme autorowi samemu z powodu brzydkiego egoizmu, o którym tak wymownie świadczy.

Świetnie przedstawiają się jednak obok nut i rysunków w albumie, liczne poezje wielu znanych nam, lub nieznanych jeszcze autorów, aforyzmy, prace prozą. Z pomiędzy prac prozaicznych musimy pierwszeństwo dać noweli Sewera, którą nierównie wyżej stawiamy od „roboczych krów“ Lama, a to z powodu, że nam maluje stosunki naszego ludu wiejskiego z taką szczerością, prostotą i wniknięciem w samą rdzeń rzeczy, iż nam się zdaje, że widzimy tych prostych ludzi występujących z ciasnych ram obrazka powieściowego, poruszających się i rozmawiających z nami.

Z pomiędzy autografów obok autografu Kraszewskiego najwyżej cenilibyśmy autografy Mickiewicza i Zaleskiego, a to tem bardziej, ponieważ zawierają poezje dotąd nam nie znane wieszczów Litwy i Ukrainy.

Wierszów jest tyle a między nimi tyle dobrych i pięknych w albumie, że trudno wszystko omówić: omówimy chyba wybitniejsze. I tak wiersz Mikołaja Bołozza Antoniewicza „Dąb i wierzba“ zasługuje na wzmiankę z powodu myśli pięknej i głębokiej, zawartej w nim; Artura Barthelesa „Nasze wady,“ ozdobiony oprócz tego nutami i winietą kolorową, jest bardzo pouczający i dowcipny i bardzo na czasie tak jak wszystkie prace znanego tego humorysty; „Stach“ Marji Konopnickiej jest to wiersz prosty i rzewny; śliczny też wiersz Deotymy „Dwa pokolenia,“ ale z pomiędzy warszawskich współpracowniczek najbardziej przemawia do serca naszego młodziutka jeszcze Hajota (panna Bogucka) wierszowanem pytaniem swoim „Czemu?“ Asnyk w swoim wierszu „Tyle nasion spotyka zagłada,“ ozdobionym winietą Stasiaka, jak zawsze okazuje się mistrzem formy i myśli; przenikający do głębi serca w prostocie swojej jest wiersz Wincentego Stroki „Przy chorem dziecięciu,“ ozdobiony ponadto jeszcze prześliczną ryciną St. Grocholskiego, a nieznanemu nam poecie, Karolowi z Myślenic, autorowi wiersza „Czy to prawda?“ rokujemy wielką przyszłość, jeżeli dalej w kierunku

tym pracować będzie, bo widzimy w nim autora, który nie tylko rymy składa, ale także myśli. Aby i francuzkich współpracowników nie ominąć milczeniem, to nadmieniamy, że nam się nie źle podobały wiersze Jakuba Normand, Emila Zoli i Sully Prudhomme, ale nierównie lepiej jeszcze wiersz Franciszka Coppée, który dla własnego użytku przełożyliśmy na język polski, nie mogąc go jednak w przekładzie tym podać dla użytku publiczności, ponieważ prawa tłumaczenia zastrzeżono.

Co do rysunków, to bez przesady można mówić, że wszystkie nęcą oko, a dosyć będzie przytoczyć imiona mistrzów, jakimi są: Matejko, Siemiradzki, Kossak, Walery Eljasz, Ludomir Benedyktowicz, Styka i inni, aby mieć wyobrażenie o bogactwie niepospolitem treści ilustracyjnej tego wydawnictwa. Z pomiędzy prac młodszych malarzy „Głowa dziecięcia” L. Horowitza przedstawia się bardzo udatnie, z pomiędzy prac starszych „Ostatni przyjaciel” Juliusza Kossaka głęboko obmyślany co do treści swojej, a rysunek Walerego Eljasza „Dotknięty powodzią” bardzo stosownie obmyślany co do chwili.

Co do aforyzmów — to na aforyzmy Oktawiusza Feuilleta i Wiktora Cherbulliez nie zgadzamy się wcale, natomiast dobrą jest myśl Wiktora Hugo, że „kochać, to działać.” Nieznany autor twierdzi także w książce omówionej przez nas, że „nie dosyć na tem, myśleć, śnić i marzyć, nam trzeba działać, żyć i życiem darzyć.” A więc dobrze! działajmy i wspierajmy cele tak szlachetne i w tak pięknej i ponętnej formie nam podanej, w jakiej się przedstawia na widok publiczny wydawnictwo „Wisły.”

[Zdzisław Lesło. Wiązanka Poezyj. Kołomyja 1884. Nakładem księgarni Macieja Michty. Druk Antoniego Hollandra. Dwunastka. Stronic 48. Cena 30 ct.] Mamy przed sobą pierwsze prace młodego człowieka, który nie jest pozbawiony talentu poetyckiego, ale któremu jeszcze wiele brakuje do doskonałości. Dowiedzieliśmy się, że pochodzi z rodziny, która nam dała autora „Dziewczęcia z Sącza,” śp. Romanowskiego, z którym młody Lesło blisko ma być spokrewniony. To też chcielibyśmy zwrócić uwagę jego na to, że spadkobiercom wielkich imion

nie wolno być małymi. Niech pracuje nad sobą, niech pracuje z należytą rozwagą i namysłem, niech — ulegając namowom drukarzy — nie drukuje zaraz cokolwiek mu się przemknie przez głowę, niech się nie własnej próżności, ale doświadczonych autorów radzi, a może jeszcze doprowadzić daleko.

„Wiązanka poezyj“ wydana przez niego, nie traciłaby na wartości, gdyby ją uszczuplono o dwie trzecich części. Autor, nie umiejąc korekty prowadzić, prowadził ją bardzo niedbale, a w druku widzieliśmy jeszcze dwa razy tyle błędów, ile wytknięto w korekcie. Razić musi także niepospolicie, że autor rzeczy znane powszechnie ogółowi, jeszcze w osobnych uwagach objaśnia. Książka przecież, o ile wynika z treści i układu, nie przeznaczona ani dla nieuków, ani dla dzieci. Brak też często należytego związku w pojedynczych poezjach. Razi niewymownie wiersz „Jak ja marzę,“ zwłaszcza w zakończeniu swoim, zaczynajacem od słów: „Kukułeczko moja luba! Witaj nam!“; razi w „Modlitwie śpiewaka“ trywialny wiersz do Matki Boskiej:

„W proch chylę czoło — przy Twojej nodze,
A ty ciernistej błogosław drodze;“

razi niepniej wiersz następny, nie pozostający w najmniejszym związku z poprzedzającym. A mimo to, mimo wszystkich tu wytkniętych braków, natrafiłszy w pracach młodego Lesły na ślady potężnego talentu, któremu tylko życzyć trzeba więcej samopoznania, więcej wprawy, więcej nauki i ręki doświadczonej zdolnego kierownika, aby się wyrobił. Znaleźliśmy nawet w „Wiązance tych poezyj“ obok wierszów wcale nie udatnych także takie, które zasługują na zaszczyt, aby figurowały w większem nawet wydawnictwie, i przytaczamy je :

ALELUJA!

Ledwie ranek się rozświeca,
Dzwonią dzwony po kościołach...
Aleluja — radość wznieca, —
Radość czystą w miastach — siołach.
Z pogodnymi spieszą licy
Wszyscy radzi i ochoci,

Oddać Panu na stolicy
Hołd — nim słońko brzask ozłoci.
Och! wesoło wszędy — w koło
Uśmiech szczęścia w twarzach gości,
„Aleluja“ woła siolo, —
„Chrystus zmartwychwstał w niskości!“
A mnie w sercu coś przycichło —
Myśl tam — gdzieś u kresu buja...
Och! — gdybyż nam rzec już rychło:
„Polska wstaje“ — aleluja!!!“

Silne też uczucie i plastyczność obrazowania
przebija się w zakończeniu wiersza, niewłaściwie zaty-
tułowanego „kołysanką:“

Oko się klei — chyli się głowa —
Ciało spoczynku spragnione —
A tu mi w duszę złata myśl nowa,
Trąca o struny zwolnione —
I w jakąś rzewną spływa piosenkę.
I serce dumką zapala,
I pióro w drżącą wciska mi rękę.
I sen z powieki oddala. —
Hej! — zamierz sobie, ty duchu młody —
Do lotu rozwiń twe skrzydła
I w raj twój uleć — w ten raj pogody,—
Bo ziemia ta mi już zbrzydła.
Ucichła dzienna wrzawa. Sen błogi
Wszystko już wprawił w uśpienie, —
O swojej drodze słodko śni drogi
I nocne snują się cienie.
To zmarłych ojców duchy powstały
Z mogił zapadłych wiekami, —
A uwieńczonych wawrzynem chwały, —
Zbudzone płaczem i łzami —
I po tej czarnej stąpają ziemi
Nieskałanemi stopami, —
Podnoszą miecze rękami swemi —
Krew z nich zmywają łzami —
I na świat patrzą gorzko a łzawo —
Z piersi im lecą westchnienia, —
Może — wspomnieli cię stara sławo, —
Może wzbudzili marzenia,
A potem z jękiem, co się w hymn łamie

Lecą pod gwiazdy tam lśniące,
Za nimi modły w skrwawionym blamie —
Modły serdeczne — gorące —
I tam w nadziei jeszcze ostatniej, —
Wskazując rany i blizny, —
W prochu — i we krwi korzą się bratniej—
Wskrzeszenia prosząc Ojczyzny. —
Zstępuje anioł, przed majestatem
Ustawia urnę zakrytą
I starą księgę z krwawym tematem... —
I owcę mieczem przebitą —
Pan tajemniczą urnę odsłania
I coś tam z cicha w niej liczy. —
Potem otwiera księgę skonania...
Pełną łez krwawych — goryczy —
I coś dolicza i błogosławi
I miecza kawał wyciąga
I ni się oko owcy załzawi,
Choć mu śmierć jeszcze urąga...—
A ojców duchy jękną straszliwie —
Jęk ten ich skrzydła roztrąca, —
I na tę ziemię patrzą gniewliwie
Płynąc przy świetle miesiąca. —
I znowu groby się otwierają —
Zaskrzypi spróchniałe wieko... —

Rzeczywiście nie wiemy co mówić w obec przytoczonych tu próbek? Chwalić bezwzględnie nie możemy, ponieważ autor z przyczyn przez nas podanych nie zasługuje na podobną pochwałę; ganić bezwzględnie nie możemy także, ponieważ bądź co bądź nie jest on zwyczajnym i bezmyślnym rymokletą.

[Biblioteczka dla dzieci i młodzieży. Wydawnictwo kieszonkowe Wilhelma Zuckerkandla. Złoczów. Książeczka I. O Janie Kochanowskim przez Bronisława Sokalskiego. Stronic 62. Cena 25 ct.] Cieszy nas, jeśli wśród nawału spekulantów literackich i księgarskich, którzy dyskredytowali i dyskredytują ciągle literaturę, pojawiają się także osoby, którym dobro kraju, polegające na wychowaniu sumiennem młodej generacji, leży na sercu. Każdy krok na tem polu uważamy za postęp, który z radością witać wypada, z radością może tem większą, jeśli Polak starozakonny poczuwa

się do obowiązku w obec kraju i bierze inicjatywę w rozpoczęciu podobnych dzieł, tem bardziej, iż dotąd niestety! żydowskim księgarzom w znacznej części mieliśmy tylko do zawdzięczenia „romanse kryminalne,“ wielce budujące dla kryminalników i „dzieła,“ które istnieją li tylko dla prenumeratorów, ale unikają starannie światła krytyki.

Pań Wilhelm Zuckerkandel rozpoczyna z swoją „biblioteczką dla dzieci i młodzieży“ wielce użyteczne wydawnictwo dla generacji wzrastającej, tem użyteczniejsze może, iż podaje w niej same rzeczy oryginalne. Program wydawnictwa bardzo urozmaicony: mieści w sobie popularnym stylem napisane życiorysy wielkich mężów, historyjki, wiersze opracowane dla wieku młodego gałęzi wiedzy w rozmaitych tejże kierunkach i t. d.

Zaraz pierwszy tomik odnoszący się do jubileuszu „księcia poetów“ podaje nam życiorys tegoż, skreślony umiejętną ręką Bronisława Sokalskiego. Widzimy jak w panoramie życie wielkiego poety przesuwające się przed okiem dziatwy: wszystko to urozmaicone wierszami z dzieł Kochanowskiego stosownie dobranymi i uwagami i objaśnieniami, zbytecznymi może dla dorosłych, ale niezbędnymi dla wieku młodocianego. Wydawnictwo to powinno znaleźć pokup wielki, ponieważ cena bardzo przystępna, a treść wielce pożyteczna.

Następne tomiki tego wydawnictwa omówimy w tej mierze, w jakiej nam nadesłane zostaną.

[O życiu i utworach Fryderyka Chopina, szkic krytyczno biograficzny Władysława Wszelaczyńskiego, dyrektora Tow. przyj. muz. w Tarnopolu. Tarnopol. Nakład księgarni Leopolda Gileczka. Druk Józefa Pawłowskiego. Mała ósemka. Stronic 96. Cena 90 ct.]

Z zadowoleniem witamy to dziełko, wydane nakładem jednego z naszych prowincjonalnych księgarzy, który wstępując w poczet wydawców rozpoczyna karierę od wydawania dzieł pożytecznych, a nie stara się o to, powiększyć szeregi wydawców powieści sensacyjnych, choć towar ten lichej niestety większy ma pokup u naszej publiki niż dzieła naukowe i pouczające, opracowane sumiennie i starannie.

Co do zewnętrznej strony wydawnictwa, to powinniśmy zaznaczać, iż wyszczególnia się czystością druku i gustowną powierzchownością — może nawet zanadto gustowną i wytworną na prowincję. Pomyłek niema wiele i te nie rażą; ale jeśli wydawca pragnął, aby się książka dostała w najszersze koła publiczności, to powinien był wystarać się o tańszą i bardziej pojedynczą edycję. Prawdziwy znawca nie będzie się pytał ani drożył o cenę dobrego dzieła; ale ile jest takich znawców, ile jest myślących czytelników? Bardzo mało! A ogół nie pyta, co dzieło warte, ale jaką ilość arkuszy zadrukowanej bibuły dostanie za najtańsze o ile można pieniądze.

To są jednak uwagi, odnoszące się li tylko do wydawcy, uwagi oparte na doświadczeniach własnych, a któreśmy p. Gileczkowi podali w intencji, aby z nich korzystał na przyszłość. Co się tyczy dzieła samego, to zasługuje ono, aby obszerniej pomówiono o niem, a choćby nawet i z tego powodu, że monografie podobnego rodzaju u nas w Galicji bardzo rzadkie. Autorowi książki zaś, p. Wł. Wszelaczyńskiemu należy się publiczne podziękowanie za piękną pracę, którą wzbogacił literaturę ojczystą. Życiorys Chopina opracowany z wyczerpującą dokładnością aż do najmniejszych szczegółów. Autor oparł studjum swoje o Chopinie na licznych źródłach, które sumienie przytacza, a praca, choć naukowa, nie napisana przecie stylem suchym, profesorskim, ale tak że i publiczność mniej wybredna korzystać z niej może. Z obrazową niemal wiernością widzimy skreślony aż do najmniejszych odcieni i szczegółów charakter Chopina jako Polaka miłującego ojczyznę, jako sławnego kompozytora, jako marzyciela i poety, jako kochanka. Widzimy to burzliwe pasowanie się z życiem i z stosunkami, krępującemi geniusz twórcy, to wielkie podobieństwo z autorem „Balladyny.” Zaglądamy w tajniki jego duszy; przysłuchujemy się entuzjastycznym ocenom tak zimnych zazwyczaj krytyków niemieckich; towarzyszymy Chopinowi w podróży do Paryża; jesteśmy świadkami przyjęcia, jakie mu zgotowała stolica nad Sekwaną, i gdzie obok niego, obok mistrza tonów, żyli i działali wówczas mistrze słowa: Mic.

kiewicz, Słowacki, Zaleski; widzimy ostatnie dni jego żywota zatrute nieszczęsnym stosunkiem z głośną powieściopisarką George Sand i widzimy na końcu poetę tonów konającego i na łożu boleści znowu pogodzonego z światem, z ludźmi i wierzącego w lepszą, zagrobową przyszłość.

Z wielkiem zadowoleniem i wielką korzyścią czytamy dzieło p. Wszelaczyńskiego i robimy mu tylko jeden zarzut a mianowicie, że nie obdarzył naszej literatury muzycznej większym szeregiem prac podobnych, do których on powołany jak żaden inny, a których brak czujemy dotkliwie.

[Polskie dzieje i nadzieje. Poezje ks. Franciszka Sawy. Książka wydana na korzyść szpitala dla ubogich chorych w Buczaczu. Nakładem zarządu szpitalnego (Dr. Edwarda Krzyżanowskiego) w Buczaczu 1884. Mała ósemka. Stronic 291. Cena 2 złr.]

Znamy osobiście inicjatora tego wydawnictwa i nie obce nam też ofiarne jego życie i poświęcenie się dla ogółu. Warto więc pomówić obszerniej o dziele przezeń wydanem a które leży przed nami. Są to „poezje ks. Franciszka Sawy,” po największej części historycznej treści. Czytaliśmy je uważnie i nie możemy im zaprzeczyć pewnej wartości poetycznej. Jeśli jednak wolno zrobić wydawcy uwagę, tobym mu zrobił uwagę tego rodzaju, iż bez potrzeby umieszczono przedmowę autora na czele książki, ponieważ przedmowa ta całą treścią swoją razi. Odwołuje się autor w niej na przychylnie oceny śp. Hipolita Stupnickiego, którego znaleźmy osobiście i który nie był, nie jest i nie będzie dla nas powagą na polu literatury poetycznej, który był znawcą dobrym rzeczy gospodarskich, ale nie poetą. To jeszcze dobrze, że poezje ks. Sawy bardzo silnie i dodatnio przemawiają za sobą i nie potrzebują nieszczęsnej tej reklamy. Będziemy je więc oceniać na podstawie własnej ich wartości, a nie na podstawie tego, co mówił o nich Stupnicki.

Autor opisuje w swych poezjach wielce patrijotycznej treści dzieje męczeństwa narodu polskiego. Wszystko to napisane z wysokim nastrojem poetycznym, tak że się pojedyncze usterki prawie gubią.

Zaraz na wstępie mówi autor:

„Słysz ziemio polska — a uważ narodzie!
Wiarą świat stoi, niewiarą się zmienia,
Idź drogą wiary — a strzeż się zwątpienia!
Jeżeli swą drogę w dziejowym pochodzie
Zaznaczysz szlakiem łez pełnym i krwawym,
Jeżeli krwią spłyną dziejowe Twe karty:
Strzeż się zwątpienia, aza też otwarty
Próg niebios Tobie i synom Twym prawym?
Z Bogiem — i w Bogu — a z wiarą — i w zgodzie
Polska ziemico i polski narodzie!”

Następują historyczne podania, których w całości przytaczać nie możemy; przytaczamy zatem najwybitniejsze.

W „Pułkowniku Korffie” opisuje nam autor typ tak rzadki szlachetnego Moskala, który, opierając się wszelkim pokusom przeciwdziała rozkazom cara i szczeni bezbronnych ofiar, przeznaczonych na rzeź, a zmuszony osobnym rozkazem do wykonania woli możnowładcy, w łeb sobie pali.

W dumie o „Sawie,” który dla Polski zginął, opisuje autor dzieje zapewne jednego z swoich przodków. Sawa ciężko ranny dostaje się na końcu do niewoli, a dowiedziawszy się przypadkowo, że jest w mieszkaniu moskiewskiego pułkownika Salamona i na gościnie u tego, woła z oburzeniem:

„Ja nie chcę łaski takich gospodarzy!
Poco mię leczą a krwawią ojczyznę?
Wolę robakom służyć za zgniliznę,
Niż służyć wrogów celom samowolnym..
Puśćcie mię! puśćcie... ja umrzeć chcę wolnym!”
I szarpnął bandaż i jeden i drugi
I rzucił od się het przez pokój długi,
A krew lunęła strumieniem czworakim,
I skonał Sawa... lecz skonał — Polakiem!!” —

W „piątym Maju,” który całym układem swoim przypomina nam tragedje fatalistyczne Greków, schodzi się na dniu owym dwunastu młodych przyjaciół przy wesołej biesiadzie i przyrzekają sobie, że sięrok rocznie w ten sam dzień znowu schodzić będą. Tymczasem los nieubłagany zmiata jednego po drugim, ostatni dwaj (ks. Kamil i Szeliga) schodzą

się rzeczywiście, ale — w kopalniach Nerczyńska i giną tam obaj w dzień piątego Maja.

W „Pokucie zdrajcy“ opisuje autor żywymi barwami wyrzuty sumienia Polaka, który zdradził swoich współbraci a który tylko pod tym warunkiem może znaleźć rozgrzeszenie, jeśli znajdzie kącik niezamieszkały przez współziomków swoich. Skazaniec jak drugi „Ahaswer“ szuka, ale daremnie. Wszędzie natrafia na współziomków. Żywi odwracają się od niego z pogardą, udaje się więc w krainy, niezamieszkałe przez nikogo, w puszcze. I to daremnie. Żali się spowiednikowi.

„O starcze, starcze! mówiłem wprzód tobie,
Że tam nie było rodaka.

Nie było żywych — lecz w każdym tym grobie
Kości żołnierza Polaka.“

Do rozpaczki przywiedziony obiecuje zdrajca spowiednikowi wszystko, czegoby tylko pragnął, aby mu wrócił spokój sumienia.

„Jeśli jest tylko dla mnie przebaczenie;
Bierz włości, zamki, bierz złoto;
Życie mi odbierz, a daj rozgrzeszenie,
Wszystko ci oddam z ochotą!“

I otrzymuje odpowiedź :

„Zatrzymaj złoto i zamki i włości;
Jeśli mi nimi wszystkie łzy pościerasz,
Jeśli poległych wskrzesisz nimi kości,
Jeśli tułaczów po świecie pozbierasz,
I ojców synom — synów wrócisz matkom,
I wrócisz szczęście pałacom i chatkom,
A nawet pamięć zatrzesz łzami swemi
Tych wszystkich nieszczęść, coś widział na ziemi:
Wtenczas dopiero szczęśliwa ojczyzna
I rozgrzeszenie i synowstwo przyzna;
Inaczej choćbyś cierpiał całe wieki,
Prawdziwej skruchy łez wylewał rzeki:
To choć dla skruchy Bóg przebaczyć raczy,
Naród ci nigdy — nigdy nie przebaczy!“

Rzecz ta robi potężne wrażenie i jest obok „Pułkownika Korffa“ bez zaprzeczenia najlepszym poematem epicznym w całym zbiorze.

Drobne, po większej części okolicznościowe po-

ezje zamykają zbiór, ale nie podnoszą jego wartości. „Czy znacie ten kraj?” rzecz słaba. Jeden z tych drobnych wierszów tylko zasługuje według naszego zdania na wzmiankę. Jest to „Dziecię i matka.” Przytaczamy go:

„Mamo! ach mammo — urwij mi różę,

Co ją tam widzę — tę białą. —

Masz ją ot synu — w życia podróży

Mało ich synu, ach mało! —

Ja nie chcę pączka, daj mi tę białą,

Co się tak pełno rozkwita;

Mój ty maleńki, ta już przestała,

Nikt się już o nią nie spytał! —

Ej czemu mammo! ot ja ją wolę,

Jest przecież wziąć co do ręki. —

Oj lepszą, lepszą ma pączek dołę,

Niż pełna, synu maleńki!

Pączek ma piękną przyszłość przed sobą,

Z pełnej wiatr listki obdziera,

I kiedy tamten piersi ozdoba,

Ta się już chyła, umiera!

I tobie może, gdy się rozwiniiesz,

Kwiat marzeń pozdziera burza;

I powiesz gdy się z szczęściem rozminiesz:

Ach lepszy pączek niż róża!

I będzie pączek miłszym ci wtedy,

Wzgardzisz rozkwitłą choć dużą;

I z bolem może powiesz ty kiedy:

Gdybym był pączkiem — nie różą!” —

Mimo wszelkiego uznania jego zdolności nie możemy jednak autorowi oszczędzić jednej skromnej uwagi: ks. Sawa sypie jak z rogu obfitości wiersze w rodzaju „o to i kłopotu,” „bierzy i pacierze,” „który i górę,” „biwaku i taką” i t. p., w jednym miejscu rymuje nawet „piersi i mierzi,” a w drugim „kto chce i łechce.” Ej! coby na podobne końcówki mówili Lenartowicz, Giller i Kołakowski, autorowie posiadający nierównie większą wprawę a zapewne i sławę literacką od Stupnickiego? coby na to mówili lekceważeni i ignorowani przez Stupnickiego poeci nowsi Bełza, Ordon i inni?

Zewnętrzna forma książki przedstawia się wcale

pokaźnie, papier piękny, druk (A. Müllera syna w Stryju) dosyć czysty. Niezbyt liczne myłki drukarskie można usprawiedliwić wielką odległością miejsca druku, razi jednak zupełny brak spisu tychże. Czy szanownemu wydawcy nie była znana okoliczność, że każda porządna drukarnia obowiązana dostarczyć bezpłatnie spisu pomyłek, z jej powodu powstałych?

Dzieło ks. Sawy polecamy gorąco wszystkim prawdziwym patriotom, wszystkim dobrodziejom celów publicznych i wszystkim, którzy miłują dzieje męczeństwa narodu polskiego.

[A. Sozańskiego ciekawe szczegóły z literatury i bibliografii tudzież z innych umiejętności. Nakładem autora. Kraków 1885. Druk Wł. L. Anczyca i spółki. Wielka ósemka. Stronic 342. Cena 3 złr.]

Znamy osobiście zamieszkałego w Koble pod Samborem autora przytoczonego tu dzieła, który u wielu ludzi używa sławy dziwaka, dziwaka może także i z tego względu, iż posiada nieusprawiedliwione niczem dziwactwo, być naukowo wykształconym, a to nie płytko i powierzchownie tylko, jak wielu ludzi. Nie jest to zatem mąż jak to mówią „i do tańca i do różańca“; od „tańca“ bowiem uchroni go powaga naukowa, do „różańca“ zaś nie będzie miał także szczególnego nabożeństwa jako człowiek wolnomyślny, jako ewangelik i jako namiętny nieprzyjaciel wszystkich tajnych i jawnych jezuitów.

Dzieło jego, które tak skromnie zatytułował „Ciekawe szczegóły z literatury i bibliografii,“ czytaliśmy z wielkiem zajęciem i przyznajemy otwarcie, że tytuł za skromnie dobrany w stosunku do dzieła i do wartości tegoż. Jest to raczej systematycznie opracowana „Historja książki w wszystkich jej fazach jako szerzycielki oświaty“, przyczem szanowny autor główny nacisk kładzie na objawy życia umysłowego w wszystkich jego kierunkach w Polsce, nie pomijając jednak milczeniem literatury zagranicznej. Jest tu także często wzmianka o rozmaitych autorach i szczegółach z ich życia; te jednak wobec działalności zbawiennej książek drugorzędną tylko odgrywają rolę. I nie dziwota! nie jeden autor wstydziłby się pewnie, pisać w tym języku, którego używa do potocznej

mowy i nie jeden musiałby się rumienić ze wstydu, gdyby książka jego nie przedstawiła się w lepszym świetle niżli jego życie.

Autor materiały do swego dzieła zbierał skrzętnie przez 25 lat, i tej też niezinordowanej, mrówczej pracowitości mamy do zawdzięczenia tyle ciekawych szczegółów, z których się składa całość. Jest to zbiór dat naukowych, historycznych, statystycznych, bibliograficznych i innych, o jakie rzadko. Czasem, (i to przy nawale takiej pracy nie powinno nikogo zastanawiać) czasem myli się autor, np. na stronicy 33, gdzie twierdzi, że w r. 1880 m było w Galicji 36 tylko księgarzy i antykwaryuszów, licząc 8 na Lwów, 5 na Kraków a resztę 23-ch na prowincję. Możemy mu udowodnić, że na prowincji wówczas już było co najmniej 28-u, nie licząc księgarń i antykwarni w Krakowie i we Lwowie, których liczba wówczas także nierównie większą była, niżli Sozański podaje. Myli się także autor, jeśli na stronicy 173 j twierdzi, że w 19 m stuleciu pojawia się dwóch tylko Fredrów autorów: Aleksander ojciec i Aleksander Jan syn, którzy tak jeden jak i drugi piszą tylko komedje, Aleksander ojciec tworzył także poezje drobne i bajki, nietylko komedje, a w „Polihymnii,” ogłoszonej nakładem Jana Juliana Szczepańskiego we Lwowie w r. 1827-m widzimy także wiersze trzeciego Fredry, Maksymiliana, który wcale nie jest dzieckiem 17-go lub 18-go stulecia. Na oczywistej pomyłce polega także twierdzenie na str. 63-j, jakoby w latach od r. 1772—1848 we Lwowie nic nie drukowano oprócz „Gazety lwowskiej” i kalendarza. Produkowano rzeczywiście wtedy we Lwowie bardzo mało, tak mało nawet, że w stosunku do owych czasów teraz prawie na prowincji więcej wydają książek niż wówczas we Lwowie, ale drukowano przecież, a ja sam posiadam wielką ilość lwowskich druków z owych czasów.

Autor, podając nam tyle ciekawych szczegółów z życia poetów i żebym się tak wyraził „z dziejów książki,” wyliczając z pedantyczną niemal ścisłością, ilu prenumeratorów miały niektóre dzieła i zaznaczając fakt, że pewne dzieła w handlu księgarskim zostały nawet wyczerpane, zapomniał jednak donieść

publiczności, ile dzieł zostało rozdanych, aby wyczerpanie nakładu przyspieszyć, i ilu prenumeratorów figuruje w listach prenumeracyjnych, chociaż centa nie zapłacili a może i nie zapłacą.

Bardzo ciekawe są wzmianki autora o kradzieżach literackich, o prześladowaniu książek, o niedozwolonych przedrukach, o ruchu księgarskim w ogóle. Dzieło to zasługuje na uwagę badaczy naszych i uczonych w kraju, których niestety tak niezbyt wielu! Gdyby to w Niemczech, we Francji lub w Anglii!!... Ale u nas dzieje się inaczej, księgarz nie weźmie podobnego dzieła w własny nakład, publiczność nie kupi, a autorowi, jeśli zamożny, pozostaje tylko to zadowolenie, że może pracę pół wieku wydać własnym nakładem, a jeśli dobrze pójdzie, dołożyć z kieszeni swojej kilkadziesiąt guldenów.

[Nauka języka polskiego dla izraelitów, opracował Izydor Bernfeld. Część I. Lwów, 1885. Nakładem towarzystwa „Przymierza braci.” Dwunastka. Stronic 62. Cena 12 ct.]

„Jeśli się góra nie chce zbliżyć do Mahometa, toż Mahomet musi się zbliżyć do góry.” Przysłowie to wschodnie przyszło nam na myśl przy sposobności rozglądania się w książeczkę, którą postanowiliśmy ocenić. I rzeczywiście „górami nie przepartą, której nie zmusimy, aby się do nas zbliżyła, ale do której zbliżyć się musimy, aby przełamać jej upor,” górą taką jest ciemnota i brak wszelkiego wykształcenia u tłumu, którego nie zmusimy do oświaty i którego nie przekonamy o jej potrzebie i nie pouczymy prędzej, dopokąd sami nie zrzucimy pychy z serca i nie przemówimy do ludu — zamiast salonowym językiem wykształconych — narzeczem ludowym, a choćby zepsutem, a choćby nawet żargonem z pod Zarwanicy.

Doniosłość tej myśli pojął całkowicie pan Bernfeld i wydał dla niższej klasy żydowskiej swoją „naukę języka polskiego” z objaśnieniami w żargonie, używanym w XVIII. stuleciu w Niemczech oficjalnie u wszystkich rzezimieszków (tak zwanej „Gauersprache”) a który niestety u naszych żydów galicyjskich z warstw niższych odgrywa rolę języka krajowego.

Książka ta nie jest przeznaczona ani dla naszej żydowskiej, ani też dla naszej katolickiej inteligencji, nie potrzebującej jej zgoła, również nie dla dzieci starozakonnych klasy niższej, przypuszczamy bowiem, że dzieci te chodzą do szkół publicznych i kształcą się w nich na równi z dziećmi katolickimi, albo przynajmniej powinny się kształcić; książka, wydana nakładem Towarzystwa „Przymierza braci” i ułożona przez p. Bernfelda, przeznaczona głównie na to, aby się z niej uczyli języka polskiego żydzi za starzy, aby do szkół uczęszczać, ale mogący jeszcze za pomocą wskazówek udzielonych im w żargonie żydowskim, uczyć się jako tako po polsku.

I tak jak książka praktycznie ułożona dla potrzeb warstw niższych, tak też sposób jej rozszerzenia między tłumem; rolę kolportera nie przyjmuje bowiem na siebie panicz we fraku i wyglansowanych rękawiczkach, ale prosty żyd w jarmurce i chałacie, któremu się też najłatwiej uda sztuka, przekonać brodatych i pejsatych swoich kundmanów o pożyteczności dziełka p. Bernfelda. Dziełko to polecamy też upośledzonej naszej i ciemnej na umyśle braci izraelskiej, aby się uczyła zeń, bodaj czytać i rozumieć po polsku, jeśli już myśleć po polsku nie potrafi.

[Gazeta Polska, pismo polityczne, wychodzące w Czerniowcach dwa razy na tydzień pod redakcją Klemensa Kołakowskiego. III. Rocznik. Numera 1—17. 1885.]

Ponieważ do działu bibliograficznego, wprowadzonego w nasze wydawnictwo, właściwie należą tylko książki i pisma belletrystyczne, nie zaś pisma treści politycznej, to może i o „Gazecie Polskiej” zamilczelibyśmy na tem miejscu, gdyby nie tendencja jej, kwalifikująca ją na ocenę.

„Gazeta Polska” wychodzi już trzeci rok pod umiejętnem kierownictwem mego przyjaciela i zwolennika politycznego, p. Klemensa Kołakowskiego ze Lwowa, który redakcją czerniowieckiego pisma objął i do Czerniowiec się przeniósł nie dla osobistych widoków, ale celem budzenia życia w kolonii polskiej, rozprószonej po Bukowinie, względnie po Czerniowcach.

Zbawienne owoce tej czynności widzimy na każdym kroku, widzimy w redagowaniu pisma, które się pod jego kierunkiem coraz pomyślniej rozwija, widzimy w udziale, jaki on bierze w życiu publicznem Polaków czerniowieckich, widzimy w sprawozdaniach Czytelni polskiej w Czerniowcach, której członkiem jest Kołakowski.

„Gazeta Polska“ w ostatnich czasach przyniosła fejetony bardzo pouczające i cenne, odnoszące się do historycznej przeszłości Bukowiny, a skreślone piórem umiejętnem Aleksandra Morgenbessera; przyniosła obrazy z przeszłości Bukowiny, naszkicowane przez autora, podpisującego się pseudonimem Walentego Ćwika. Dla płci pięknej przynosi oprócz tego w łamach swoich zajmujące noweli i nowelki, i od 1. stycznia b. r. zacząwszy co dwa tygodnie bezpłatny książkowy dodatek powieściowy.

Przypominamy także przy tej sposobności, że również nakładem redakcji „Gazety Polskiej“ w osobnej odbitce wyszedł prześliczny poemat „Czarodziejska sujarka“ naszej poetki narodowej, Mariji Bartus, a który kosztuje 1 złr.

Prenumerata na „Gazetę Polską“ jako na pismo polityczne jest wcale przystępną, bo kosztuje w miejscu rocznie 9 złr., półrocznie 4 złr. 50 ct., kwartalnie 2 złr. 50 ct. miesięcznie 1 złr. z przesyłką pocztową rocznie 10 złr., półrocznie 5 złr., kwartalnie 2 złr. 75 ct., miesięcznie 1 złr. 10. ct. Adres Redakcji: Klemens Kołakowski w Czerniowcach, ulica Siedmiogrodzka. l. 3.

[Von Nah und Fern, tygodnik illustrowany literacki pod redakcją Dr. Edmunda Veckenstedta. Nakład i wydawnictwo firmy Denicke. 1—10 zeszyt wydania zeszytowego. Lipsk, 1885. Cena kwartalna 2 marki 60 fenników, czyli 1 złr. 55 ct.]

Pismo „Sfinx,“ o którym donieśliśmy w poprzednim roczniku, przestało wychodzić. Natomiast redakcja, aby zadość uczynić najwybredniejszym nawet wymaganiom, przekształciła dawniejsze swoje, co do formy zewnętrznej jeszcze dosyć niepokazne pismo na nierównie wytworniejsze wydawnictwo illustrowane, wychodzące pod tytułem „Von Nah und Fern.“

I przyznajemy chętnie, że w nowem piśmie li-

terackiem, które witamy życzliwie jako kolegę na polu szerzenia oświaty, wzrasta niebezpieczny rywal dla pism starszych nawet, jakimi są „Gartenlaube“ i „Über Land und Meer.“ Redaktor, doktor filozofii Edmund Veckenstedt, znany z prac swoich o Łotyszach, o Litwinach i innych szczepach słowiańskich, prowadzi redakcję umiejętnie i dokłada wszelkich starań, aby postawić wydawnictwo swoje na tej wyżynie, do której dążyć powinno każde porządne wydawnictwo literackie, a młode jeszcze bardziej od starego.

Przeglądaliśmy uważnie zeszyty nam nadesłane i chociaż jeszcze nie wszystkie prace literackie, w tych kilku zeszytach zawarte, ukończone całkowicie, to i z tego byliśmy zadowoleni, cośmy widzieli. Redaktor stara się rzetelnie o zadosyćuczynienie programowi swemu, a zwłaszcza o to, aby treść pisma o ile można odpowiadała tytułowi tegoż „Von Nah und Fern,“ oznaczającemu po polsku „Z daleka i z bliska.“ To też pismo, które niniejszem omawiamy, przynosi artykuły „z daleka i z bliska“ w wielkiej obfitości, jakoto: obrazki z podróży, szkice, prace naukowe i badania a wszystko to upięknione ilustracjami, których nie powstydzilyby się najgłośniejsze pisma warszawskie.

Obecnie „Von Nah und Fern“ drukuje równocześnie w łamach swoich dwie obszerne i zajmujące powieści, jedną pod tytułem „Po dziesięciu latach“ Maurycego Jokaja a drugą, która się w 7-m zeszycie pod tytułem „Ukochany i stracony“ rozpoczęła Gustawa Lössla. Z ukończonych powieści wymieniam: „Z czasu ćwiczeń wojskowych,“ humorystyczną powieść z odpowiednimi ilustracjami komicznymi i „Szalonego na rozkaz“ powieść obszerną i zajmującą berlińskiego fejletonisty, Dr. Maksymiliana Ringa. Ostatnia powieść, z której księgarnia już zrobiła odbitki książkowe, zasługuje z powodu niezwykłej swojej treści, aby ją z osobna omówiono. „Szalony na rozkaz“ maluje nam wiernie życie i intrygi dworskie w Niemczech w ubiegłym stuleciu, kiedy to pierwsze lepsze małe książątko w państewku swoim wykonało despotyzm, o którym obecnie nie mamy wyobrażenia nawet. Oto treść powieści na historycznym tle osnutej:

Księżę Teodor, możnowładca taki w małym kraku niemieckim, którego nazwę nam podać autor zapomniał, jest to sobie monarcha butny, nietościwy i marzący tylko o rozszerzeniu splendoru domowego. Żywy kontrast do ojca tworzy córka, księżniczka Julianna, której dusza kochająca i młoda nie pragnie zaszczytów książęcych, ani blasku, ale szuka swobody, którą ma wieśniaczka prosta, a której odmówiono dziecku księcia, krępując je względami i etykietą dworską. Serce to niezepsute jeszcze przez zetknięcie się z światem, uzyskał dla siebie młody kawaler dworski, baron Eberstein, który jej na polowaniu życie ocalił.

Księżę obsypuje go łaskami i dostojnościami, ale wydać córkę za niego, to byłoby ubliżeniem godności książęcej. Dla Julianny wybrany już na męża księżę następca tronu sąsiedniego państwa, a chociaż księżę Paweł używa sławy hulaki, rozpustnika, pijaka i gburą, to nie waha się księżę Teodor ani chwili, wydać córkę wykształconą i tkliwą za niego, bo sódziwia się z tego związku wzrostu splendoru pańskiego. Tymczasem córka, rozkochana na zabój w Ebersteinie i nienawidząca księcia Pawła, schadza się dzień w dzień w osamotnionym pawilonie z kochankiem swoim, z którym się nawet umawia co do planu ucieczki, zaniedbując przytem wszelkich środków ostrożności. Zdrajcy donoszą księciu Teodorowi o tajemnych schadzках córki. Księżę łapie kochanków na gorącym uczynku, a córka zrozpaczona zgadza się na ślub z wstrętnym jej księciem Pawłem, aby tylko kochankowi ocalić życie. Wspaniałomyślny ojciec na pozór daruje życie nieszczęsnemu kochankowi, w rzeczywistości zaś nocną porą i przymusowo oddaje go — do domu warjatów, aby tamże pokutował za niesłychane szaleństwo, iż się odważył oczy swoje podnieść do córki panującego. Tymczasem Julianna wychodzi za mąż za wstrętnego jej Pawła, Eberstein zaś z rozkazu okrutnego księcia Teodora bywa traktowany z wszelką surowością jako nieuleczalny szaleniec. Po długim pobycie w domu obłąkanych obawiając się wreszcie o własny rozum, usiłuje nieszczęsny wśród nocy burzliwej i ciemnej ratować się ucieczką. Ucieczka nie udaje się jednak i powoduje tylko srogie kalectwo i

chwilowe przytępienie umysłu. Ale Bóg łaskaw! Książę Teo dor zapada na chorobę nieuleczalną, śmiertelną, wobec śmierci czuje potrzebę ulżenia grzeszemu swemu sercu, przywołuje więc córkę do swego łoża boleści i wypowiada jej się z grzechów. Po ukończonej spowiedzi umiera. Córka, pochowawszy ojca i rozwiedziwszy się za pozwoleniem brata swego a następcy tronu z nieulubionym mężem, udaje się w ślad za kochankiem, którego uwalnia z domu obłąkanych i którego czułością i przywiązaniem troskliwego serca wylecza.

Oprócz wymienionych tu dłuższych prac literackich godne są uwagi drobniejsze powiastki i szkice, oraz prace naukowe Dr. Veckenstedta, Dr. Reyhera i innych, jakoto: „Podanie łotyskie o stworzeniu świata“, Dr. Veckenstedta, „Proces o czary“ Jana Kruzego, szkic etnograficzny o cyganach Dr. Veckenstedta, artykuły o cholercy, o pielęgnowaniu zębów i inne popularne lekarskiej treści Dr. Reyhera, artykuł o kartach do grania i wynalezieniu tychże D. Colonusa, artykuł o wulkanach Jana Steinbrücka i inne.

Z pięknych ilustracji pisma podnosimy jako niepospolicie udatę: ilustrację zamku królewskiego Eskorialu w Madrycie, widoki Paryża, Algieru, Kairu, polowanie na jaguara, portret przedstawiający rumuńską cygankę, portret przedstawiający króla Franciszka I. francuskiego, wewnątrz chińskiej świątyni pogańskiej w Padang i inne. Oprócz tego okładzinka każdego zeszytu zaopatrzona humorystyczną ryciną ze stosownem objaśnieniem.

Wydawnictwu młodemu życzymy powodzenia!

[Grażyna, die schöne Fürstin, eine litauische Sage, übersetzt ins Deutsche von A. E. Bolek, nebst Anhang enthaltend Faris und Alpuhara. Cieszyn, 1860. Druk Karola Prochaski. Dwunastka. Stronic 80. Cena 1 złr.]

Nie omówilibyśmy z pewnością książki tak starej, a w dodatku tak dalece pozbawionej wszelkiej wartości literackiej, gdyby towarzystwo „Szomer Izraela“ nie wstawiło się za tem drańciem i nie polecilo jego zakupna swoim członkom, jak o tem donosi „Dziennik Polski.“ Ostrzegamy zatem niedoświadczoną publiczność przed nabywaniem tego śmiecia, gdyż najgor-

szy przekład Mickiewicza (a mamy takich niestety dosyć!) zawsze jeszcze lepszym będzie od Grażyny p. Bolka. Kto nie włada dostatecznie ani językiem polskim, ani niemieckim, kto się sercem nie wsłuchał w piękności naszych wieszczów, kto ich kaleczy nie-
miłosiernie, tłómacząc dosłownie i jeszcze chwali się z tego, ten niech nam nie plugawi pamięci Mickiewicza koszlawym przekładem swoim. Na dowód prawdy przytaczamy tu niektóre ustępy:

„Dich, weissfüssiger Renner, rege!
Felsen, Geier! aus dem Wege!“

co ma znaczyć:

„Pędź, latawce białonogi!
Skały z drogi, sępy z drogi!“

albo:

„Doch was gewann ich für die Müh'n und Wunden,
Ja! welchen Nutzen hat es mir gewährt,
Dass ich, ins Erz aus Windeln umgebunden,
Mich hab', ein Fürst, von Pferd milch genährt?“

co ma znaczyć:

„A ja com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od małego wieku
I z pieluch zaraz przewiniony w zbroję,
Książę jak Tatar żył o końskim mleku?“

albo też:

„Der Samum, Oberster der afrikan'schen Stürme,
Besichtigt auf dem Kies dort seine Wäll' und Thürme,“

co ma znaczyć:

„Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.“

Sądzę, że nie trzeba więcej, a jednak takich próbek przytaczałbym z łatwością jeszcze krocie i nie dochodziłbym końca.

[Wiener Illustriertes Journal. Familienblatt für Salon und Haus. Nowy tygodnik literacki ilustrowany, wychodzący we Wiedniu pod redakcją Alfreda Schönwalda i F. Krenbergera. Numera 8-10. 1885. Cena roczna 3 złr., półroczna 1½ złr.]

Nie mamy o tem wyobrażenia, jak to łatwo w większem mieście stołecznem wydawać i redagować pismo literackie. Kilka powieści i nowel, kilka szkiców więcej powieściowej, niż naukowej treści,

kilka udatnych obrazków, a pismo już gotowe. Przytem jeśli wydawnictwo pokażne a papier elegancki, to publiczność rzadko tylko ma głębsze wymagania. Przyznajemy jednak chętnie nowemu pismu, że treść jako na pismo początkujące nie źle dobrana. Widzimy obok prac zupełnie nieznanych nam autorów i autorek także prace autorów, mających taki rozgłos jak Jokaj, który przed publicznością występuje z historyczną powieścią „Do czego kobieta zdolna?” i nie możemy zaprzeczyć, że cynkografię żurnalu świetnie są wykonane. Historyczny kalendarz tygodniowy, dołączony do każdego numeru, zdradza nawet obszerniejszą znajomość z dziejami Polski redaktora albo jego współpracowników. Wydawnictwo to polecamy amatorom lekkiej, taniej i przyjemnej lektury.

[Das Wissen der Gegenwart, czyli: Wiedza nowożytna, wydawnictwo illustrowane, wychodzące w oprawnych tomach w małej ósemce. Wydawca F. Tempski, właściciel księgarni i drukarni w Pradze czeskiej. Cena tomu 60 ct.]

Była to bardzo szczęśliwa a mógłbym nawet bez przesady twierdzić: genialna myśl, która wydawcę spowodowała do popularyzowania wiedzy ludzkiej w książkach, starannie i gustownie wydawanych a przytem tanich. Kto dzisiaj kupi sobie leksykon cały, aby zaspokoić ciekawość swoją wyłącznie co do przedmiotu pewnego, i kto wreszcie zaopatrzony tak dalece w gotówkę? Z pojedynczych tomów zaś wydawnictwa Tempski'ego prawie każdy bez wyjątku korzystać może, ponieważ każda taka książka poświęcona osobnej gałęzi wiedzy. Tu znajdzie ciekawy czytelnik informacje z dziedziny historii powszechnej, historii naturalnej, astronomii, fizyki, matematyki, filozofii, sztuk pięknych, obrazki z podróży, opisy krajów, życiorysy sławnych mężów i t. d. Polecamy cenne to wydawnictwo ogółowi czytającemu jak najusilniej, i sądzymy nawet, że w niedalekim czasie żaden człowiek zamożny i mający jaką taką pretensję do inteligencji, nie będzie się mógł obejść bodaj bez kilku tomów wydawnictwa „Wiedzy nowożytnej.” Obszerniejszy i więcej szczegółowy rozbiór wydawnictwa tak pięknego i przynoszącego chlubę

wydawcy zastrzegamy sobie z braku miejsca dla następnych roczników.

[Die Dioskuren. Rocznik literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro-węgierskiej. Pismo zbiorowe, w wielkiej ósemce wychodzące. XIV. rocznik. Stronic 547. Wiedeń, 1885. Nakładem Towarzystwa. Drukowane w cesarskiej drukarni. Dochód z tego wydawnictwa przeznaczony na wyposażenie szkoły wyższej żeńskiej we Wiedniu. Cena 2 złr. 50 ct. w obrębie monarchii austro-węgierskiej, w Niemczech 5 marek czyli 3 złr.]

Towarzystwo urzędników monarchii austro-węgierskiej, istniejące jako korporacja już przeszło 20 lat, założyło w r. 1872 m obok istniejącej już „Gazety dla urzędników“ rocznik literacki w języku niemieckim pod tytułem „Dioskuren.“

Celem właściwym pięknego tego wydawnictwa jest szerzenie oświaty i obznajomienie inteligentnych czytelników z wszelkimi objawami życia umysłowego w obrębie monarchii austro-węgierskiej, jak to wyczerpująco wykazują sprawozdania rokrocznie ogłaszane przez Dra Schwingenschlögla, a wreszcie i sama treść pojedynczych tomów. Oprócz tego z celem literackim połączony także cel humanitarny, ponieważ dochód z tego wydawnictwa przeznaczony na ufundowanie i wyposażenie wyższej szkoły żeńskiej dla córek niezamożnych urzędników we Wiedniu. Sprawozdanie zaś, w X-m roczniku umieszczone, wykazuje, że wówczas już na ten cel uzyskano sumę 3527 złr., która to suma z dnia na dzień wzrasta.

Co do prac literackich, to wykazują roczniki wcale pokaźny poczet bądźto prac oryginalnych, bądźto tłumaczeń z wszystkich języków koronnych, a nawet i z obcych, jakoto: z francuzkiego angielskiego, hiszpańskiego, perskiego, japońskiego i innych. Może ten lub ów, który obok niemieckiego języka posiada także obcy, wołałby aby prace w obcych językach w oryginale zamiast w tłumaczeniu zostały umieszczone, ale toby koszta druku niezmiernie podniosło a nie możemy także żądać, aby każdy czytelnik rocznika obok niemieckiego władał jeszcze 16 ma językami obcemi.

Już w poprzedzających tomach widzimy wielką

obfitość materiału literackiego, która nie da się nawet wyczerpująco omówić. Z tłumaczeń z polskiego zaś podnosimy jako najbardziej udatne Dra Maurycego Rappaporta, Lwowianina tłumaczenia poetyczne z Asnyka, Lenartowicza i Bohdana Zaleskiego (patrz rocznik X. str. 425 i 426) i tłumaczenia i objaśnienia poetów prozą Dra Henryka Blumenstoka. Są to bardzo cenne prace naukowe, że tylko przytoczę „życiorys Słowackiego“ (rocznik III., str. 374), „życiorys Bohdana Zaleskiego“ (rocznik VI., str. 352) i tłumaczenie „Nocy letniej“ Krasieńskiego (rocznik X., str. 145.) Nie zgodzilibyśmy się jednak z autorem co do zdania, że polska scena nie posiada dotąd właściwych dramatów i dramaturgów. Mamy dramaty Słowackiego, niestworzone wprawdzie dla niemieckiej sceny, ale dla polskiej i mamy dramaty i komedje takich pisarzy, jakimi są Feliński, hr. Starzeński, Mikołaj Bołoz Antoniewicz, Józef Korzeniowski, Brzozowski, Fredro, Kamiński, Narzymiski, Bałucki, Abrahamowicz i wielu, wielu innych. W dziale tłumaczeń, zawartych w rocznikach pisma, nam życzliwie przez redakcją udzielonego, można także uważać za mistrzowskie tłumaczenia z włoskiego Kajetana Cerri, który sobie literaturę Włoch obrał jako specjalność, w której jako tłumacz drugiego chyba nie będzie miał obok siebie. Z prac oryginalnych poprzedzających roczników najwyżej stawiamy niezrównane „obrazki z Wschodu“ kawalera de Vincenti, jego „Abu-Rahuela, rzeźbiarza krzyżów“ (rocznik III., str. 217), jego „cudotwórców pustyni“ (rocznik VI., str. 9), jego „obrazki rodzajowe z życia Felachów,“ (rocznik X., str. 113.) Zaiste! ubolewać wypada nad tem, że dotąd nikt się nie zdobył na tłumaczenie na język polski tych pięknych prac głośnego podróżnika i znawcy Wschodu, jakim jest kawaler de Vincenti, kiedy fejetony naszych pism politycznych często są zapełnione i przepełnione nawet miernotami, tłumaczonemi z niemieckiego. Prawdziwie arystokratycznym stylem napisany i głębokiem uczuciem wyszczególniający się jest szkic powieściowy hrabiny Anny Pongrącz „Małżeństwo praktyczne“ (rocznik XI., str. 255), a napisany tak sympatycznie szkic powieściowy „Stare panny“ mężatki Nory Görner

(rocznik XI., str. 333), zamieszkałej w Pradze, pocieszy może niejedną starą pannę i pogodzi z swoim losem. Z prac naukowych, w poprzedzających rocznikach zawartych, podnosimy prace chemika Klecyńskiego, filozofa Gansera, studjum „o systemie nauki w Stanach zjednoczonych” Karoliny Gretschnigg (rocznik III., str. 488), prace Dra Ilga, odnoszące się do rozwoju sztuki pięknej, pracę redaktora pisma „o kostjumach pstrych i figurami ozdobionych” (rocznik XI., str. 167), wreszcie życiorysy większych poetów i prozaików i szkice charakterystyczne z ich życia, jakoto: szkice o Lessingu, o Szyllerze, o Kotzebue'm, o Uhlandzie, o Horacym. Dział prac naukowych zamykają obrazki z podróży i szkice z życia i obyczajów obcych narodów. Dział poetyczny z ostatnich lat ma licznych przedstawicieli i przedstawicielki i widzimy wiele znajomych nam imion, że między innymi tylko wymienię imię Dra Alberta Zippera ze Lwowa. Pierwszą rolę jak zawsze odgrywają tu jednak poeci i poetki jak Dr. Jan Nordman, Robert Hamerling, Dr. Ludwik August Frankl, Ludwik Foglar, W. Constant, Juliusz von der Traun (Aleksander Schindler), Betty Paoli, Ada Christen, hr. Wilhelmina Wickenburg-Almasy, Małgorzata Halm i inni.

Temi słowami zamykamy przegląd poprzedzających roczników, aby miejsce zostawić dla więcej wyczerpującego rozbioru prac, zawartych w najnowszym (XIV.) roczniku.

Z pomiędzy bogatego działu powieści zaraz pierwsza: „Rakoa” (rocznik XIV., str. 41) zaszczytnie znanego powieściopisarza kawalera de Vincenti uderza niepospolitością pomysłu. Oto jej treść:

Doktor Pablo Lucientes, przewany „Rakoa”, wdowiec i zapalony wielbiciel sztuki, który sam posiada galerję cennych malowideł, wpadł na oryginalny pomysł założenia domu obłąkanych — dla obłąkanych artystów, których według własnego pomysłu leczyć zamierza, aby tym sposobem dla ojczystej sztuki uratować bodaj ten lub ów talent. Tej idei poświęca on całe swoje mienie, zdrowie, czas swój, poświęca siebie samego; wyrzekłszy się bowiem dobrowolnie całej swojej lekarskiej praktyki, pozostaje — lekarzem ar-

tystów warjatów, córkę zaś swoją, młodą i urodziwą Safirę mianuje dozorczynią w tym szpitalu sztuki. Do tego elizjum warjatów dostaje się przypadkowo młody a na umyśle zupełnie zdrowy malarz Petrus B., odwiedzając Burgos. Od razu zyska on przyjaźń zacnego gospodarza, który go wtajemnicza w szczegóły swego życia i oprowadza po świątyni sztuki, obznajomiwszy go poprzód z ich mieszkańcami i wytłumaczywszy mu swój „system“ kuracji. Petrus, który już poprzednio miał sposobność podziwiać dziwotwory lekarskich adeptów sztuki, jakoto: ludzi wyrastających z drzew, tury w mitrach i tiarze, lanszafty szafirowe i ponsowe, miasta pływające po morzu i unoszone na barkach nowomodnych świtezianek, tryskających ogniem z piersi — przysłuchuje się temu wszystkiemu dosyć cierpliwie. Tymczasem krótki jego pobyt u doktora wystarcza, aby miłość wzbudzić w sercu młodziutkiej Safiry, która mu przyznaje, że bez niego żyć nie może, oraz uwagę jego zwraca na szczegól, że młody flecista i malarz Don Eugenio nie jest warjatem w rzeczywistości, ale warjata tylko udał z miłości dla niej, aby na ten sposób łatwiej uzyskać przystęp do świątyni doktora Rakoy. Petrus, któremu się hoża dziewica spodobała od razu, czuje dla niej żywą sympatję, która się potęguje aż do uczucia miłości; ale Eugenio również nie bywa obojętnym, miotany uczuciem zazdrości, coraz mniej zachowuje pozory obłąkania tak, że uradowany lekarz uważa go prawie za wyleczonego, pomyślny ten rezultat przypisując „systemowi“ swemu. Tymczasem Petrus oświadcza się wprost ojcu, zdziwionemu tem oświadczeniem, o rękę panny i otrzymuje odmowną odpowiedź, ponieważ jak stary twierdzi „córka jego niezbędnie mu jest potrzebna dla uzupełnienia systemu“. Rzeczy dochodzą do ostateczności: Petrus zakochany w Safirze album swój malarski wypełnia wyłącznie głowaniami, noszącymi jej rysy. Przypadkowo album ten dostaje się do rąk Eugenia. Eugenio, wściekły z zazdrości, drze go na kawałki, Safira nadbiega i wyrывa. Krzyk, hałas! Eugenio pchnie ją nożem w piersi. Lekarz przybywa na miejsce i uznaje, że rana nie jest śmiertelną. Eugenio wpada w rzeczywiste obłąkanie i jako niebezpie-

czny furjat, nie zgadzający się żadną miarą z spokojnymi szaleńcami doktora Rakoy, przymusowo oddanym zostaje do domu warjatów. Po tygodniu wyzdrowieje Safira, a ojciec przyzwala na ślub swojej córki z młodym malarzem. „Bierz ją, synu, rzeczże wzruszony, system mój zabiłby ją.“ W kilka lat po tym wypadku umiera także stary Rakoa, a umiera jako idealista aż do ostatniego tchnienia, nie ocaliwszy dla ojczystej sztuki ani jednego artysty, ale ubogi i opuszczony od wszystkich. „Artyści“ jego objedli i ogołocili go aż do nitki, a cała spuścizna, którą pozostawił po sobie — to kilka mniej lub więcej udatnych obrazów.

W „Silianie“ (rocznik XIV., str. 236), powieści nadzwyczajnie delikatnie nacięniowanej i jak gdyby napisanej dla młodych panien, hrabina Anna Pongrácz wtajemnicza nas w dzieje serca niewieściego, które chociaż zdradzone, jednak usprawiedliwia kochanka, przebacza mu, a gdy tenże porzucony przez własną żonę zalotnicę, zmuszony przez nią do rozwodu po sześciu latach pożycia małżeńskiego i opuszczony, z śmiercią się pasuje, czuwa przy łożu boleści, ratuje dnie kochanka i staje się dlań aniołem opiekuńczym i drugą matką dla jego dzieci. Charaktery świata wielkiego w stolicy protestanckich Niemiec są w „Silianie“ z niemniejszą wiernością oddane, jak charaktery prostaczków, odgrywających trzeciorzędą rolę w powieści tej.

Nowela „Wyleczony“ (rocznik XIV., str. 118) Węgra Ludwika Hevesy — to prawie żywy kontrast „Rakoy.“ Tak jak tam zdrowy na umyśle Eugenio udaje warjata, aby na końcu rzeczywiście w nieuleczalne wpadać obłąkanie, tak tu obłąkany skutkiem nieszczęsnych wypadków familijnych Stefan Viragh de Erny odzyskuje skutkiem gwałtownego wstrząśnienia przytomność umysłu na nowo, wyrzeka się niedorzecznych urojeń i wydaje córkę za kochającego ją od dawna młodego malarza Fennera, który w stanowczej chwili życie swoje dla niej poświęcił, aby ją wyratować z groźących powodzią fal Cisy.

„Straszna godzina,“ powiastka Janiny Wünsche (rocznik XIV., str. 481) przenosi fantazją czytelnika w Stany zjednoczone, w krainę ekscentryczności, wiel-

kich wynalazków i wielkich zbrodni. Uwodziciel z ofiarą swoją pędzi koleją w dal, aby uchodzić zemsty rodziców znieważonych, a raczej, aby ofiarę swoją, którą otumanił przysięgami miłości, schronić w miejscu bezpiecznym i wymusić na rodzicach jej znaczny wykup. Tymczasem nastaje „straszna godzina,” godzina, w której kochanek-zdrajca spostrzega, iż wagon ostatni, wagon zajęty jedynie przez niego i jego ofiarę, odczepił się od innych i że śmierć grozi tuż pod bokiem. W obec śmierci grożącej mu, zrzuci nędzarz z siebie maskę i przedstawia się w prawdziwym świetle jako tchórz i egoista. Z wstrętem odwraca się uwiedziona Elly od niego, a on nie dbając o życie kochanki, wyłamuje drzwiczki wagonu i spuszcza się z szybkością błyskawiczną na dół. Tymczasem nadjechał drugi pociąg z rodzicami uwiedzionej, szukającymi dziecko. I — o dziwo! — Elly została nieuszkodzona, nietknięta nawet, pociąg bowiem nadjechał na innym torze. Ciało natomiast uwodziciela leży zdruzgocone i zmiażdżone nie do poznania. Elly poznała rodziców a rodzice tulą ją do łona, i skończyła się „straszna godzina,” w której dziewczica młoda przeżyła wszystko, o czem tylko fantazja rozgorączkowana marzyć może, aby na końcu stanąć u portu przebaczenia i pokoju.

Dział powieściowy w XIV-m roczniku jest w ogóle bardzo bogaty; nie możemy się jednak przy każdej z tych powieści z osobna zatrzymać, ponieważ i inne prace domagają się tego, aby je omówiono. Między niemi znachodzą się także niektóre drobiazgi literackie, oznaczające niejako granice, gdzie się stykają powieść i rozprawa naukowa. Tu należą po części: Hermana Meynerta sceniczna pogadanka o trzech artystach, noszących imię La Roche (rocznik XIV., str. 223), Heleny Stöckl „Ojczysta poetka” (rocznik XIV., str. 355), w której autorka podaje nam ciekawe szczegóły z życia mało znanej dotąd poetki Janiny Marji Sedelmeyerówniej, nauczycielki z Solnogradu; wreszcie Henryki Kühne-Harkort „Bluety” (rocznik XIV., str. 463.)

Z rzeczy naukowych zasługuje na uznanie Brunona Waldena „literacka medytacja” (rocznik XIV.,

str. 106.) Rzecz ta, choć drobna co do rozmiarów, niemniej przez to starannie i wyczerpująco opracowana. Trafne są w niej zapatrywania, na które się zgadzamy całkowicie i życzymy, aby wszędzie zostały zastosowane. Autor nie szczędzi ostrych prawd publiczności, ale prawdy te zbawienne jeszcze za mało są znane i smak literacki zanadto zepsuty lekturą sensacyjną, aby artykuł taki mógł uzyskać uznanie poza szczupłym obrębem właściwych literacko wykształconych czytelników. Rozprawa Ludwika Percy „Don Karlos w świetle badań historyków hiszpańskich“ (rocznik XIV., str. 64) rzuca nowe a ciekawe światło na historję nieszczęsnego królewicza i na intrygi dworskie, których zgubnym uległ wpływom. Równocześni historycy hiszpańscy nie chcą widzieć w Don Karlosie owego idealnego bohatera cnoty, którego nam Szyller przedstawia w osobie królewicza: zwalają więc na niego rozmaite winy, usprawiedliwiając równocześnie jego ojca Filipa II., owego kata w szacie królewskiej. Ale są to usiłowania dosyć nieudane tem bardziej, że między znalezionymi po Filipie listami i dokumentami, których zostawił krocie, nie masz ani jednego dokumentu zawierającego winę właściwą i powód, za który karano Don Karlosa, ojciec zaś twierdzi stanowczo, że nie karano go „ani za herezję, ani za bunt.“ Nie jest za tem pozbawione podstaw twierdzenie, że akta procesu Don Karlosa z rozkazu jego ojca zostały umyślnie zniszczone. Wymaganiom naszych historjografów i filozofów sędzę, że zadość uczynią rozprawy filozoficzne: „Źródło naszej wiedzy,“ studjum teoretyczne Antoniego Gansera (rocznik XIV., str. 168) i „dyskusje“ Bernarda Rotensteina (rocznik XIV., str. 424), szczególnie te ostatnie, które w formie licznych zapytań i odpowiedzi, jakoteż konsekwencyj wyprowadzonych tak z jednych, jak i z drugich starają się rozjaśnić rozmaite kwestje wątpliwe życia i wiedzy. Może nie ze wszystkim zgodzilibyśmy się na ten sposób rozwiązania ważnych zagadnień ludzkości, ale zgadzamy się bezwarunkowo na wniosek konkluzyjny stanowczego autora: „Postęp jest bądź co bądź zawsze postępem, a nie reakcją, on jest urzeczywistnioną dążnością do ogólnego humanizmu, i w osiągnięciu tego celu jedynie znajdzie

ludzkość swoje szczęście, swoją swobodę i idealną treść swego wszechbytu.“

„U stóp Epomea“ Emmy baronowej Dinklage (rocznik XIV., str. 7) i „Predil i Pontebba“ Lakromy (rocznik XIV., str. 307) — są to nbyto obrazki z podróży a raczej obrazki rodzajowe z życia ludu włoskiego; do tej samej kategorii zaliczyłbym także Nordmana obrazek z podróży „Zell am See“ (rocznik XIV., str. 3.)

Z prac dramatycznych znajdujemy aż cztery w książce. Są to: urywek z „Andromaki“ Racine’a w tłumaczeniu Dory Gagern (rocznik XIV., str. 93) i 3 urywki z oryginalnych tragedij: Franciszka Nissla „Timur w Ispahanie“ (rocznik XIV., str. 206), Wilhelma Wartenegga „Rosamunda“ (rocznik XIV., str. 320) i Frydryka Pichlera „Róża z Jerychonu“ (rocznik XIV., str. 471). Pisać piękne tragedje i dramaty, nie każdemu dane; ale czy nie byłoby lepiej umieścić jedną rzecz wykończoną całkowicie, niżli tyle urywków, a choćby nawet urywków czarujących pięknnością? Skrupuł ten literacki pozostawiam do rozwiązania nietylko redakcji, ale także czytelnikowi.

Z tłumaczeń poetycznych wypada mi wymienić prześliczne tłumaczenia, dokonane z francuzkiego poety Gustawa Nadaud przez Betty Paoli, oraz tłumaczenia z węgierskiego poety Petöffy’ego, z rumuńskiego poety Dulfu i z polskich poetów Ujejskiego i Wasilewskiego.

Z poezij oryginalnych wymieniam wiersze Dra Jana Nordmana, Roberta Hamerlinga, Szczepana Miłowa, Ferdynanda Saara, Dra Ludwika Augusta Frankla, Jelli Zednik, Łucji Kämpfer, Ludwika Foglara, Alfreda Friedmana, Augusta Silbersteina i innych.

Wytworne to i piękne a przytem niepospolicie tanie wydawnictwo polecamy tym wszystkim, którzy czują potrzebę skojarzenia zwaśnionych narodów i duchów za pomocą jednego potężnego czynnika, sztuki, o którym się tak pięknie wyraża Ferdynand Saar w wierszu swoim „Pogodzenie się z losem“ (rocznik XIV., str. 83), przełożonym przez nas na język polski:

„Rośnie szary cień powoli,
Wszechstworzenia zamilkł głos,
Serce wpośród ziemskiej doli
Trwoży się o przyszły los.
Czy mi róże niesie w darze?
Czy uwieńczy szczęściem skroń?
Czy mnie na stracenie skarze,
Pchnąc w bezdenną, czarną toń?
Niech jakkolwiek los się sroży,
Jam ramieniem działał swem,
Jak mi duch nakazał boży,
Zysku nie szukając w tem.
Ku twej czci mój duch się sili,
Sztuko! ty oczyścisz z plam:
Więc nie zleknię się też chwili,
Która śmiercią grozi nam!”

Sambor, 27. Lutego 1885.

G. Kohn.

Nekrologia polska ostatnich lat dziesięciu

od r. 1875 aż do końca Stycznia 1885.

Egipcjanin na stole biesiadniczym wśród wesołej zabawy ustawiał trupią główkę, żyd w sądny dzień wspomina o swoich nieboszczykach, a chrześcjanin w dzień zaduszny wieńczy groby umarłych. I redakcja „Roczników Samborskich“ poczuwa się do obowiązku bodaj pobieżnie, bodaj w kilku słowach wspomnieć o niektórych ważniejszych postaciach w narodzie, uległych w walce z życiem. Zeszli z tego świata w r. 1875. Paulina Wilkońska, głośna powieściopisarka i współpracowniczka „Sobótki,” książki pamiątkowej, którą my literaci polscy poświęcili s p. Goszczyńskiemu i w której też redaktor „Roczników Samborskich“ pierwszą swoją pracę polską umieścił. W tym samym roku naród polski dotkliwą poniósł stratę przez śmierć filozofa Karola Libelta również współpracownika „Sobótki.“

w r. 1876. Seweryn Goszczyński, autor „Zamku Kaniowskiego“ dnia 2⁵/₂ we Lwowie, August Bielowski, historyk, dyrektor Ossolińskiej Biblioteki i współpracownik „Sobótki,“ Seweryn Korzeliński, weteran z r. 1831 i współpracownik „Sobótki“ i Adam Gorczyński powieściopisarz, znany pod pseudonimem Jadama z Zatora.

w r. 1877. Łucjan Siemieński, powieściopisarz i poeta, umarł w Krakowie.

w r. 1878. Ernest Buława, czyli Władysław hr. Tarnowski, podróżnik, poeta i współpracownik „Sobótki.“

w r. 1879. Tomasz Olizarowski, poeta ukraiński, także współpracownik „Sobótki.“ W tymże roku umarli też Stanisław Kunasiewicz, historyk we Lwowie (patrz moje „Wrażenia z podróży“) i Józef Lauterbach, młody poeta i krytyk w Drohobyczu (patrz VII. rocznik samborski). W swojej „nowożytnej krytyce“ wystąpił Lauterbach w obronie galicyjskich pisarzy wobec nienawistnej tymże niemieckiej krytyki.

w r. 1880. Dr. Maurycy Rappaport, Lwowianin i tłumacz polskich poetów, umarł w Wiedniu i Ozyasz Gotthelf, kupiec samborski umarł w Samborze, głośny ostatnim swoim zapisem, którym przeznaczył dom swój na fundację szpitalu.

w r. 1881. Jan Nepomucen Bobrowicz, wydawca polskich klasyków (patrz V. rocznik samborski) i Zygmunt Sidorowicz, malarz głośny, o którym obszerniej pomówimy w następnym roczniku.

w r. 1882. Włodzimierz Wolski, autor „Halki,“ umarł w Brukselli.

w r. 1883. Józef Jakubowicz, autor ludowy, prezes rady powiatowej brzeżańskiej i współpracownik „Sobótki,“ Stanisław Suffczyński poeta i współpracownik „Sobótki,“ Marja z Rusiłowa współpracowniczką „Roczników Samborskich,“ Bolesław Rembowski, współpracownik „Roczników Samborskich,“ Józef Szujski i Henryk Schmitt, historycy i Wł. L. Anczyc, głośny poeta ludowy i dramaturg, autor „Kościuszki pod Racławicami,“ „Emigracji Chłopskiej“ i innych dramatów ludowych, w tymże roku umarł też Alfred Barwiński (Nadbużanin) współpracownik „Sobótki.“

w r. 1884. Stanisław Grudziński, poeta i współpracownik „Sobótki,“ umarł w Warszawie.

w r. 1885. Dr. Tadeusz Żuliński, głośny lekarz i literat, współpracownik „Sobótki,“ umarł we Lwowie 1⁸/₁, Antoni Edward Odyniec, głośny poeta, autor „Felicjty,“ umarł w Warszawie, Kalikst Wolski, literat i współpracownik „Sobótki“ umarł w Krakowie 2²/₁.

Sprawozdanie z czynności moich.

Składam niniejszem jako wynik ostateczny czynności moich, dla dwóch towarzystw dobroczynnych samborskich dla każdego z osobna po 25 złr., czyli razem wzięwszy 50 złr. Niech mi nikt nie zarzuci, że dochód mały, albo książka mniejsza niż dotąd, publiczność sama sobie winna temu, jeśli uszczuplić musiałem nietylko wysokość datków dobroczynnych, ale i rozmiary książki choć tyle miałem materiału literackiego, iż wydawnictwo mogłem nawet rozszerzyć. Ci, którzy mnie dotąd rzetelnie wspierali i wspierają, wiedzą że te uwagi do nich się nie odnoszą. Ale jest wielka ilość przedpłacicieli, którzy sobie kpią i z celów wydawnictwa i z wydawnictwa samego; są nawet i tacy, którzy mi nigdy nie płacili ani grajcara, na zawezwania kilkakrotne ustne i pisemne milczeli jak zakłęci a mają przecież pretensję, aby imiona ich figurowały w listach prenumeracyjnych jako imiona protektorów celów publicznych. Tym panom oświadczam niniejszem, że rozważałem należycie doniosłość ich zażaleń i przekonałem się, że są uzasadnione; wydrukuję tedy chętnie szanowne i znaczne ich imiona w osobnym spisie — „krzywdzicieli celów dobroczynnych.“

Prawdziwych znawców i zwolenników mego wydawnictwa, którzy książki kupują nie na funty, lecz według treści, sędzę że zadowolili najzupełniej obecny skład wydawnictwa tem bardziej, że nawet z artykułu „Bibliografia“ mogą nabrać przekonania, że redakcja utrzymywała ciągle i utrzymuje stosunki z znanymi literatami i wydawcami w kraju i zagranicą, i że ci nierównie więcej poważają wydawnictwo moje, aniżeli reszta moich ziomeków. Na końcu uwiadamiam szanowną publiczność o tem, że chcąc bodaj cokolwiek

odszkodować tych prenumeratorów, którzy rzetelnie płacili, postanowiłem, że według możebności każdy prenumerator, który zapłacił całkowicie kwotę 1 złr. 80 ct., otrzyma bezpłatnie odbitki z dawniejszych lat w wartości 30 ct., a kto zapłacił 2 złr., odbitki w wartości 50 ct., lub inne jakie dzieło, którego wybór sobie zastrzegam. Prawo do tego wyszczególnienia tracą bezwarunkowo wszyscy, którzy w chwili zamknięcia rachunków, częściowo lub całkowicie z przedpłatą u mnie zalegają, wszyscy przedpłaciele samborscy i przemyscy, jako mający moje roczniki o 25% taniej, wszyscy współpracownicy, którzy korzystają z bezpłatnego otrzymania wydawnictwa, wszyscy przedpłaciele, którzy jako pośredniczący w doręczeniu mniej płacą i wszyscy ci, którzy samowolnie mniej płacili niż się należy, a choćby różnica tylko 30 ct. wyniosła. Wybór dzieł zastrzega sobie redakcja, a reklamacyj nie przyjmie i nie uwzględni żadnych.

S a m b o r, 5. Marca 1885.



G. Kohn,
redaktor i wydawca.

Spis pomyłek.

<i>Str. wiersz</i>	<i>zamiast :</i>	<i>czytaj :</i>
24 3	ścǳniony	ścǳiony
25 34	pracy trudów	pracy, trudów
48 7	erzeigt	erzeugt
50 25	młodzienczej	młodzięnczej
51 19	zamiarach	ramionach
59 3	zblednie	zblednieć
71 33	także	także
72 28	się	się
78 14	tuliła	tuliła
85 6	przyjaźń	przyjaźni
87 14	ludźmi	ludźmi
91 25	jetem	jestem
92 19	spokoj, nie	spokojnie
94 12	ociębia	ociębiała
95 17	jakiemś	jakimś
95 24	duszej	duszej
107 30	kobietóm	kobietom
115 1	bołi	boli
135 2	okołicznosc	okolicznosc
137 32	św Jana	św. Jana
138 17	stylu	stylu
138 21	Uskutecznienie	Uskutecznienu
139 29	od odpowiedzialnego	od tak odpowiedzialnego
139 34	kostorysach	kosztorysach
152 13	przyczyny	przyczyny
156 38	ze	że
156 41	dzieci nie pozwala	dzieci, nie pozwala
160 23	nadzoru napomnienia	nadzoru, napomnienia
161 41	godnosc	godności
164 16	czepić	szczepić
165 29	Jedno	Jedną
168 7	zawodowi	zawodowi.
168 29	20 Stycznia	20. Stycznia
185 14	Alma Hováts	Alma Kováts
188 3	Księżyc	Księżyc
190 25	Barthelesa	Barthelsa
195 14	wiersze opracowane	wiersze, opracowane
198 46	się rok rocznie	się rokrocznie
201 35	kładzi	kładzie
203 7	ksigarskim	księgarskim
204 22	cimnej	ciemnej
204 24	po.sku	polsku
206 5	Veckenstdt	Veckenstedt
207 20	sdodziewa	spodziewa
220	w spisie umarłych z roku 1876 z winy autora zapomniano o hr. Fredrze komedjopisarzu.	
223	przedostatni König	Hönig
227 2	Stochów	Stachów

Uwaga wydawcy: Za liczne te pomyłki przeprasza redaktor publiczność: nie powstały one ani z jego przyczyny, ani też z przyczyny współpracowników, ale spowodowane zostały jedynie nieoględnością drukarską.

R



Spis przedpłacicieli.

Biała i pow. bialski: Dr. Bogdanik, Czytelnia kasynowa, Robert Foedrich, c. k. Starosta, Dr. Bernard Ichheiser, Michał Jaworski, Dr. Łazarski, Dr. Stiasny i Dr. Tugendhat, w Białej, Katarzyna Godlewska w Kętach, Nikodem Bojakowski, Robert Dobrzański, Gmina miasta Oświęcima, Ludwina Lulla, Maykowski, Dr. Gustaw Nowak, Okuniewski, Płachecka i Polaszek, w Oświęcimie.

Bohorodczany: Gąsiewicz, Sobota i Szeliński, w Bohorodczanach.

Borszczów: Jan Biesiadzki, ks. Guła, Hordyński, Alojzy Kopystyński, Kazimierz Kozicki, Kulczycki i Stanisław Przybyłowicz, w Borszczowie.

Brody: Garwoliński, Gaudnik, Goldlust, Łobos, Popiel i Antoni Witosławski, w Brodach.

Brzesko: Aurelia Arvay, Madejski i Matusiński, w Brzesku.

Brzeżany: Bissinger, Dzbański, Kolasiński, Kurowski, Wł. Łobos, Rąmski, Antoni Sabatowski, Dr. Tupec i Złochowski, w Brzeżanach.

Brzozów: Asłanowicz i Dr. Henryk Lic, w Brzozowie.

Buczacz i pow. buczacki: Bojarski, Hanik, A. Jeżewski, Dr. Krzyżanowski, H. Marcinkiewicz, Nęcki, Dr. Obtułowicz, Reprezentacja miasta Buczacza, Dr. Ślęczka, Alojzy Sonnewend i K. Stupnicki, w Buczaczu, Bogucki, w Rukomyszu, Chełpiński, Heldenburg, Smolik i Zuker, w Monasterzyskach i Romuald Krzyżanowski, w Sokołowie.

Chrzanów i pow. chrzanowski: Dr. Pawlas, Kamila Sporyszowa i Jarosław Stebelski, w Chrzanowie, Etgens i Oraczewski, w Krzeszowicach.

Czortków: Dr. Adamski, Bieńkowski, Hołubowski, Kuczyński, St. Linde, Juliusz Niewiadomski, c. k. Starosta w Czortkowie, Potocki, Dr. Stöckli i Zieleniewski, w Czortkowie.

Dąbrowa i pow. dąbrowski: Zygmunt Brochwicz Rogoyski, c. k. Starosta, Szczerbiński, Trzecicki, burmistrz miasta Dąbrowy, Dr. Wąsikiewicz, Dr. Wolff, Mikołaj Zagórski i Dr. Zaręba, w Dąbrowie, Dr. Kluczycki, w Medrzechowie.

Dobromil: Dr. Bieńczewski, Dr. Cwiklicer, Czytelnia kasynowa, Alojzy Schneider i Klemens Tergonde, w Dobromilu.

Dolina: Jankowski i Kossakiewicz, w Dolinie.

Drohobycz i pow. drohobycki: S. A. Apfel, Karol Bayer, Dr. Fruchtman, Emil Komarnicki, Jan Niewiadomski, Emeryk Turczyński, Wierzbicki i Wolski, w Drohobyczu, König, Krużlewski, Lustig i Nowacki, w Medenicach

Gorlice: W. Biechoński, Walery Rogawski, burmistrz miasta Gorlic i Dr. Śleczkowski, w Gorlicach.

Gródek i pow. gródecki: Dr. Frydman, Mühlner, Nowosielski, Świtalski i Świszczowski, w Gródku, Dr. Henryk Koli-szer, w Czerlanach.

Grybów: Alojzy Muszyński, w Grybowie.

Horodenka i pow. horodeński: Gaspary, Michał Lenar-towicz, Marja Łucka, baron Jakub Romaszkan, burmistrz miasta Horodenki, Teichman i Juliusz Zulauf, c. k. Starosta w Horodence, Bładowski, ks. Jan Długiewicz, Dunajewski, Dr. Grabowski, burmistrz miasta Obertyna, Grüberg, Nahlik i Edward Piepes w Obertynie.

Pow. husiatyński: Bolesław Tencza, w Kopyczyńcach.

Jarosław i pow. jarosławski: Bubella, Dr. Ruczka i Starkłówna, w Jarosławiu i Marceli Świechowski, w Radymnie.

Pow. jaworowski: Głuszkiewicz, w Krakowcu.

Kałuż: Hisztyn, Przystalski, Skrowaczewski i Szopiński, w Kałuzzu.

Kamionka Strumiłowa: Gmina miasta, Janicki i Łem-picki, w Kamionce.

Kolbuszowa: Zygmunt Kuczkowski, w Kolbuszowie.

Kołomyja: Jan Dębicki, Funkenstein, Dr. Głaczyński, Godlewski, ks. Koblanski, Dr. Maramaros, Ostaszewski, Dr. Pia-skiewicz, Rybczyński, Schindler, Sendzimir, Sidorowicz, Thür-man junio, Dr. Trachtenberg, burmistrz miasta i Salamon Wieselberg, w Kołomyi.

Kosów: Bursa, Klusik, Manasterski, Niedźwiedz, Dr. Pietrzycki, Roszkiewicz, Hipolit Sabat, c. k. Starosta w Koso-wie, Sielecki, Winiarski, Józefa Wiśniowska, Dr. Wilkowski i Dr. Wurst, w Kosowie.

Kraków i powiat krakowski: Bobriker, Bociański, Bor-kowski, Estreicher, Justyn Głowacki, Dr. Michał Ichheiser, Ju-liusz Kuhn, Józef Łepkowski, Józef Łukaszewicz, Dr. F. Pięko-siński, Walery Rzewuski, M. Schlesinger, Dr. Weigel i Dr. Zoll, w Krakowie, Stanisław Homolács, w Balicach.

Krosno i pow. krośnieński: Brodnicki, Herman, Jacie-wicz i Dr. Mazurkiewicz, w Krośnie, Dłużniewski, Goldhammer, hr. Cezar Męciński, Minkusiewicz i Staruszkiewicz, w Dukli, Jan Wejde, w Cergowej.

Limanowa: Jan Weyda, w Limanowie.

Lisko i pow. liski: Czytelnia kasynowa, Dr. Freysinger i c. k. Starostwo, w Lisku, Juliusz Riedl i Morwitzer, w Ustrzy-kach dolnych.

Lwów i pow. lwowski: Bank kredytowy, Dr. Berliner, Dr. Alfons Bińczewski, Dr. Blumenfeld, Michał Bogdanowicz, Dr. Byk, Czapczyński, Antoni Czarkowski, Tadeusz Czarko-wski, Dr. Czeszer, M. Diamand, Doboszyński, Fanni Ehrensaal, Mikołaj Epstein, Zygmunt Frey, Dr. Goldman, Dr. Gottlieb, Grabiński, Dr. Gross, Dr. Hefern, Dr. Herschman, Dr. Holzer, Samuel Horowitz, Zygmunt Jasiński, Dr. Jেকেles, Klipunowski, Dr. Koliszer, Wł. Kostro, M. Krasucki, Teofil Łucki, Dr. Mar-celi Madeyski, Jerzy Mayer, Maurycy Muszkat, M. Nirenstein

St. Niezabitowski, Walenty Nowak, Antoni Pfeiffer, Piepes, Posner, Przyszlak, M. Pyszyński, Zygmunt Richtman, Dr. Wł. Rieger, Dr. Tadeusz Rutowski, Dr. Schaff, Marceli Studziński, Dr. Skałkowski, Karol Sklepiński, ks. Szafarski, Dr. Kazimierz Szczerowski, Edward Weigol, Dr. Weiss, Jan Welichowski, Jan Wewiórski, Dr. Wolski. Liberat Zajączkowski i Dr. Zucker, we Lwowie, Karol Berchard, w Szczercu i Zygmunt Groblewski, w Winnikach.

Łańcut i pow. łańcucki: Dr. Bielański, Jan Cetnarski, Dr. Fleszar, Edward Glasz, Antoni Hanusz i Alina Kahane w Łańcucie, Antoni Lukszandel, Karol Prochaska i ks. Słupek, w Leżajsku, Aleksander Czepielewski, Głębocki, Haiter i ks. Władysław Studziński, w Przeworsku.

Mościska i pow. mościcki: Dorożewski, Szalbot, w Mościskach, Zahradnik w Sądowej Wiszni.

Nowy Sącz: Feliks Ritter i Dr. Schornstein, w Nowym Sączu.

Pilno i pow. pilzneński: Józef Korpanty i Leopold Płaziński, c. k. Starosta w Pilźnie, Jan Kochanowski i Górski, w Strzegonicach.

Podhaje i pow. podhajecki: M. Borowski, burmistrz miasta Podhajec, Czytelnia kasynowa, Alfred Dajewski, Wł. Łoś, St. Matkowski, Andrzej Nowacki, Karol Popiel, c. k. Starosta w Podhajcach, Henryk Sternschuss, Fr. Stobiecki, August Szczerowski i Wł. Warywoda, w Podhajcach, K. Zaremba, w Adamówce i O. Rosmarin, w Nowosiółce.

Przemyśl i pow. przemyski: Baranowski, Dr. Baumfeld, Czyrowski, Karol Dobrzański, Dr. Doliński, M. Dornwald, Dr. Aleksander Dworski, burmistrz miasta Przemyśla, ks. Jabłonowski, A. R. Janeczek, Kwaśniewski, Dr. Łobozewski, Nowy młyn parowy, Dr. Orłowski, Dr. Rosenbach, Skala, Dr. Skórski, Dr. Smutny, K. Stupnicki, Leon Szczerbiński, Dr. Tarnawski, Karol Tomkiewicz, Walery Waygart i Fr. Zych w Przemyślu, Adamski i Medweczki, w Niżankowicach.

Przemyślany i pow. przemysłański: Baranowski, Towarzystwo kasynowe, Dr. Waligórski i A. Wybranowski, w Przemyślanach, hr. Franciszek Potulicki, w Glinianach.

Rohatyn: Cholewiński, Dr. Flecker, Wiktorja Szwarcowa, Teliszewski i Leokadja Żytyńska, w Rohatynie.

Rudki: ks. Kamiński, Kurek i Zbrożek w Rudkach.

Rzeszów: Dr. Als, Dr. Barzycki, ks. Fałat, Dr. Fechtdegen, ks. Gryziecki, Wojciech Kalinowski burmistrz miasta Rzeszowa, M. Markiewicz, Henryk Masacz, Dr. Samuel Reich, ks. Szul i Dr. Zbyszewski, w Rzeszowie.

Sambor i pow. samborski: Szymon Berger, Dr. Biegel-meyer, ks. Gasior, Dr. Irzyczek, Roman Jaworski, ks. Bronisław Karakulski, Wilhelm Kasperek, G. Kohn, Frydryk Körber, F. Kołczykiewicz, Wilhelm Krywald, Frydryk Kuhnen, Wilhelm Kuhnen, Salamon Medlinger, Karol Negrusz, Dr. Niedźwiedzki, Paszkiewicz, Pawlikowski, Aleksander Siara, Pinkas Sobel, Juliusz Turteltaub, ks. Aleksy Watulewicz i Eustachy Zajączkowski, w Samborze, Dr. Dolański, w Rakowej.

Sanok i pow. sanocki: Dr. Gawęł, Ichel Herzig, Dr. Iskrzycki, Ludwika Kahane, Lenkiewicz, Padykułski, Dr. Wł. Skalski, Michał Skulski, Leon Studziński, c. k. Starosta w Sanoku, Świrczyński i Zarewicz, w Sanoku, Dr. Dukiet i ks. Chilla, w Rymanowie.

Pow. skałacki: H. Goldlust, Goldstern & Löwenherz, St. Kądzielski, Emil May, Herman Ostersetzer, Resch, Decydery Schneider, burmistrz i Józef Tiger, w Podwołoczyskach.

Śniatyn: Maciej Bäcker, Dzundza i Fr. Howorka, w Śniatynie.

Stanisławów: Artychowski, Borecki, Czołowski, R. Jastrzębski, Dr. Ignacy Kamiński, burmistrz miasta Stanisławowa, Dr. Katzenellenbogen, Kajetan Kopacz, Felicjan Milerowicz, Dr. Mroczkowski, Dr. Niementowski, Piotr Sedelmeyer, Teodor Stachiewicz, Dr. Walery Szydłowski, Juliusz Turczyński i Ignacy Zdrassil, w Stanisławowie.

Staremiasto i pow. staromiejski: Jerzy Koudelka, w Staremiście i Józef Jankowski, w Chyrowie.

Stryj: Dr. Filip Fruchtman, burmistrz miasta Stryja, Leon Gaertner, ks. Humiński, Celestyn Jaworski, Józef Kosterkiewicz, Józef Lechicki, Artur Malewski, Manasterski, c. k. Starosta i Własek, w Stryju.

Tarnopol i pow. tarnopolski: Jakub Blumenfeld, I. Brand († $2\frac{1}{2}$ 1885), Dr. Delinowski, Jakub Gall, Hirschhorn, Józef Ingwer, Lacek, Dr. Mantel, Michałowski, Rościsław Piątkiewicz, Rossin, Dr. Schmidt, Silkiewicz, Dr. Sternklar, Dr. Trzcieniecki, Dr. Weisstein, Wszelaczyński, Leon Willner i hr. Jan Konrad Załuski, w Tarnopolu, Jakub Willner, w Białe pod Tarnopolem.

Tarnów: Dr. Glaser, Dr. Goldhammer, M. Grabowski, W. Kalicki, Kornel Kossak, Dr. Lerner, Fr. Łazarski, Macuciński, Dr. Merz, Nunberg, J. O. ks. Ludwik Łodzia Poniński, c. k. Starosta w Tarnowie, Dr. Ringelheim, Karol Rudolf, Ruszczyński, Dr. Salamon, Dr. Schanzer, Dr. Stańko, Dr. Stojakowski i Ryszard Zawadzki, c. k. Prezydent sądu w Tarnowie.

Tłumacz i pow. tłumacki: Jakubszy, Ornstein i Sierpiński, w Tłumaczu, Godzisław Kobuzowski i Witosławski, w Tyśmienicy.

Trembowla: ks. Kaliniewicz, ks. Kamiński, Stanisław Lipnicki, Dr. Olpiński, burmistrz miasta Trembowli, ks. Piaszkiewicz i St. Szaynowski, w Trembowli.

Wadowice: Czytelnia, Danecki, c. k. Prezydent sądu, Dr. Iwański, Lipka, Nowaczyński i Wilczyński w Wadowicach.

Wiedeń: Bernard Kohn, we Wiedniu.

Wiźnica (na Bukowinie): Rudkowski, Sozański i Sworakowski, w Wiźnicy.

Zaleszczyki: Antoni Bielański, Antoni Gross i Dr. Schrenzel, w Zaleszczykach.

Zbaraż: Kruh, Kukawski, Macieszkiewicz, ks. Soja, Dr. Tyralski i ks. Wójcik, w Zbarażu.

Złoczów : Dr. Eisenberg, Dr. Heyne, Dr. Homme, Dr. Misky, Karol Poglies, c. k. Prezydent sądu, ks. Stochów i Dr. Wesołowski, w Złoczowie.

Żydaczów i powiat żydaczowski : Manasterski, w Żydaczowie, Antoni Stecher i Wawrzyniec Zaremba w Mikołajowie, Erazm Horszowski w Drohowyżu, Bałaban, Dr. Chomicki, Dr. Sztencel i Piotr Tyszkiewicz, w Żurawnie, br. Marcin Kalinowski, w Czerteżu (2 egzemplarze.)

Preumeratorowie niewiadomi z miejsca pobytu : Edward Schenk, w Buczaczu (?), J. Cieślowski, w Czortkowie (?), baron Brückman junior z Wołoszczy, we Lwowie (?), Janusz Rypuszyński, w Sanoku (?).

TREŚĆ.



	Str.
Alfred Ach! nie pójdę za innego, wiersz	180
Antonowiczówna Janina Myśli Kraszewskiego, fantazja	21
„ „ „ Rozmaici, powieść	49
„ „ „ Pożegnanie Szuparki, wiersz	182
„ „ „ Zwątpienie, wiersz	182
„ „ „ Pocięcha śpiewaka (z Justyna Kerner) pieśń	187
Bartus Marja Biały Narcyz, powieść poetyczna	28
Chełpiński Szymon Wieczór wśród ruin, opowiadanie	173
Daszkiewicz Jan Narcyz Modlitwa, wiersz	180
Feldman Wilhelm Odczyt o Janie Kochanowskim (z tytułową ryciną)	3
„ „ IV. Z podań legendy żydowskiej. Król Abramko, legenda dziejowa wierszem	145
Finkelstein Augusta Co to jest życie? medytacja poetyczna	168
Fr. H. Kantata na uroczystość odsłonięcia pomnika Kazimierza Brodzińskiego	42
Kohn G. Niektóre uzupełnienia do odczytu Wilhelma Feldmana, jakoteż niektóre przekłady na język niemiecki pieśni Jana Kochanowskiego	17
„ „ Jakie są właściwe zasługi Kazimierza Brodzińskiego, studjum uzupełnione przekładem na język niemiecki satyry Brodzińskiego: „Żal za polskim językiem.“	43
„ „ Gdzie my dziś? trylogja myśli	141
„ „ Bitwa pod Grunwaldem (z Juliusza Lothara) balada	172
„ „ Kanarek i słowik, bajka wierszowana	183
„ „ Zacisze leśne (z Frydryka Salleta) balada	185
„ „ Bibliografia (oceny rozmaitych dzieł, uzupełnione przekładem na język polski wiersza Ferdynanda Saara: „Pogodzenie się z losem.“)	188
„ „ Nekrologia polska z ostatnich lat dziesięciu	219
„ „ Sprawozdanie z czynności moich	221
Kováts Alma Nasze hasło, wiersz	171
„ „ Niepewne światło (z Zedlitza) wiersz	184
Ł . . . z T . . . Felicja Polka, balada	26
„ „ Dwie siostry, sonet	131
Nałecz Pius z Witoszyna Skarga do Boga, wiersz	140
Nelin Do mojej się . . . Świętej modliłem, wiersz	179
Nowakowski Julian Zgasły pochodnie! wiersz	37
„ „ Kołysanka, wiersz	178
Solecki Edmund Leon Nasze budowle pamiątkowe w Galicji. II. Kościół parafialny rz. k. w Drohobyczu (z 2-ma litografiami)	131
Wojdałowicz Adam Jakimi mają być rodzice jako wychowawcy? studjum pedagogiczne	149
Dr. Zipper Albert Pomnik Kazimierza Brodzińskiego w Tarnowie, szkic prozaiczny (z drzeworytem)	38

Główny

SKŁAD NASION


TEOFILA ŁUCKIEGO

we Lwowie

poleca do wiosennych zasiewów

WSZELKIE NASIONA

jarzyn, kwiatów, traw, lucerny, buraków olbrzymich pastewnych i marchwi, nasion drzew wszelkich ekonomicznych i rolniczo postępowych.

 Cennik główny odseła na żądanie franco.